

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Marek Nowakowski**

**Chłopak z gołębiem  
na głowie**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Chłopak z gołębkiem na głowie

Przystanąłem pod murem i wcisnąłem dwa palce do przetyka. Jednocześnie drugą ręką sprawdziłem pieniądze w kieszeni. Palczatka nie pomogła. Pieniądze były. Mocno opilem się tej nocy i wszystko wirowało przed oczyma. Puste ulice. „Paradis” wypuł swoich ostatnich gości. Już widno. Czas przed wschodem słońca. Ludzi nie widać. Przejechała polewaczka. Strumień wody bryzgnął na chodnik. Zmoczył mi twarz. Niewiele pomogło.

O wielokolorowy, tryśnij swoją tęczę! Znowu spróbowałem ulżyć sobie palcami.

Na nic. Tylko szarpało bebechy. Znowu sprawdziłem kieszeń. W porządku... Ta pamiętna pierwsza wypłata za książkę. Wytoczyłem się z „Polonii”. Była zima i padał śnieg. Cieszyłem się z tych pierwszych pieniędzy za pierwszą książkę. Szedłem czarną, nocną ulicą i śpiewałem. Zatrzymali mnie milicjanci. Wyciągnąłem dowód. Czytali, przeglądali, świdrowali mnie oczyma. Pozwolili iść dalej. Potoczyłem się na dworzec. Padał śnieg i miałem w kieszeni pierwsze honorarium. Moje życie zmieniło się w sposób oczywisty. Na dworcu w tamtych czasach gnieździło się wielu włóczęgów, złodziejasków i naciągaczy. Rozglądałem się poszukując znajomej twarzy. Był taki jeden. Czarny, brudny i obdarty, zwany Mulatem. Jego zaprosiłem. Od dziadka klozetowego kupiliśmy butelkę. Zamknął nas w kabinie. Na zakąskę dał chałę. Siedząc na sedesie, ucztowaliśmy z Mulatem. Bardzo już pić nie mogłem. Szarpało bebechy. Przysnąłem. Obudziłem się samotny. Mulata nie było. W pierwszym odruchu, wynikającym z życiowego doświadczenia, sprawdziłem kieszenie. Pieniądzy też nie miałem. Tylko w kondonierce, małej kieszonce spodni, pozostał pięćdziesięciozłotowy banknot. Zerwałem się i wybiegłem. Kto zabrał forszę? Mulat, a może milicjanci, kiedy wyciągałem dowód. W dowodzie trzymałem pieniądze. Miałem taki zwyczaj. Mógł też dziadek klozetowy zrewidować... Mulata jeszcze kilka razy widziałem w tamtych czasach. Witał się ze mną serdecznie, raz nawet zaprosił na wódkę. Co mogłem mu powiedzieć?

Tym razem była dziesiąta książka i honorarium znacznie większe od pierwszego. I letnia noc. Noc pijanych wspomnień. W „Paradisie”, gdzie tyle godzin przesiedziałem na wysokim stołku, barmanką była ta piękna sprzed lat, co w knajpie „Lotnik” podawała węglarzom stakany gorzały i golonkę z tartym grochem.

Patrzyłem na nią zachłannie i słowem odezwać się nie śmiałem. Twarz miała szlachetną, czystą, jak z portretu. Tej nocy w „Paradisie” zobaczyłem ją po raz pierwszy po wielu, wielu latach i twarz miała tak samo czystą, szlachetną. Dziwne. Wtedy, przed laty wracałem z *La Strady*, ogłuszony tym rykiem porzuconego Zampano na pustej plaży pośród wzburzonych fal. Doszedłem do knajpy „Lotnik”, ta z portretu, księżniczka plugawego szynku, napelniła szklaneczkę wódką i ciągle ten ryk Zampano słyszałem, a przed oczyma szara droga w deszczu i dziwaczny pojazd na trzech kółkach prowadzi Zampano, z tyłu wczepiona w jego bary Gelsomina, która wyglądała jak przestraszony, zmokły ptak.

Chciałem kogoś jeszcze spotkać z tamtych lat. W bramie narożnej kamienicy stał Mieciu Łapka, złodziejski emeryt, z bezwładną, sparaliżowaną ręką. Ten słynny niegdyś as doliny poznał mnie od razu i uśmiechnął się szeroko. Bezwładna ręka zwisała jak doczepiona, drugą, zdrową, klepał mnie zamaszycie i powtarzał: – Gites, gites.

Oni, ci starzy złodzieje, tak wystają w bramach o różnych porach dnia i nocy, przyrośnięci do osłupków zanikającej z roku na rok dawnej zabudowy miasta. Stoją i patrzą. Mieciu Łapka chwalił moje dobre ubranie, buty, sztuczne zęby, które dostrzegł natychmiast, i dłonie, jak mówił, niewypracowane. Po prostu cieszył się szczerze z tego przypadkowego spotkania.

Zza pazuchy waciaka wyciągnął jakąś buteleczkę. Pociągnąłem łyk i mdły zapach zadławił wprost. Woda brzoza. Mieciu Łapka do końca wypróżnił flakon.

– No i co tam u ciebie? – zapytał.

W odpowiedzi błysnąłem jak talia kart tym honorarium za dziesiątą książkę. Wcale nie takie wielkie pieniądze, ale w setkach był to spory plik. Mieciowi Łapce zaświeciły się oczy.

– Nadziany jesteś – stwierdził z uznaniem. Z głębi bramy wysunął się chłopak z gołębiem na głowie. Jak cień zbliżył się do nas. Jego oczy też zaświeciły na widok pliku setek.

– Synek – zapytał go Mieciu Łapka – gdzieś tak zabradziażył?

Ten młody z gołębiem na głowie nie usłyszał pytania. Wpatrywał się w czerwone papierki. Ja patrzyłem osłupiały w gołębia na jego głowie. Wreszcie ocknąłem się i odliczyłem dwa banknoty.

– Można by jakąś flaszkę... – zacząłem. Mieciu Łapka przytaknął.

Przeszliśmy do następnej bramy. Zaczynało wschodzić słońce. Martwe niebo pojaśniało różowo. W następnej bramie stał wózek inwalidzki. Beznogi Przybysz spał z szeroko otwartymi ustami. Handlował wódką.

– Dawaj.. – ten młody z gołębiem na głowie wyciągnął rękę.

Dałem dwie setki. Cały ten plik wsunąłem do bocznej kieszeni marynarki. Zawirowało mi w głowie. I czy to woda brzoza tak rozebrała, zatoczyłem się i usiadłem na żelaznym, brodatym Mikołaju w rogu bramy.

Z dołu patrzyłem na tego młodego. Dlaczego gołąb siedział na jego głowie? Zwykły uliczny gołąb. Dziób wtulił w pióra i mrugał niebieskimi jak paciorki oczyma. Oswojony? Może okulał lub skrzydło ma przetrącone...

– Synek... – odezwał się Mieciu Łapka. – Weź flaszkę.

Z głębi bramy dochodziło pochrapywanie Przybysza. Jego piękna twarz rzymskiego senatora, z siwymi włosami, zwrócona była do jasności, która powoli wypierała mrok z bramy.

– Widziałeś? – rzekł Synek i poruszył gwałtownie głowę.

Gołąb wysunął dziób i zatrzepotał skrzydłami, łapiąc równowagę.

– Co? – zdziwił się Mieciu Łapka.

– Ile ten frajer ma pieniędzy?

– To wcale nie frajer – zaprzeczył Mieciu Łapka. – Kumpel z miasta.

Ten młody z gołębiem na głowie przyjrzał mi się uważnie.

Chciałem się odezwać, ale nawet głosu z gardła wydobyć nie mogłem. Tylko pokiwałem głową, krztusząc się i przyciskając niebezpiecznie wzdymające się policzki.

– Kumpel... – powtórzył za Łapką ten młody z gołębiem na głowie – ale frajer.

Utkwił drapieźny wzrok w bocznej kieszeni mojej marynarki. Odpowiedziałem spojrzeniem pełnym wyrzutu. Oczyma chciałem powiedzieć mu o mieście i o sobie... O Łapce i innych jemu podobnych, którzy znali i szanowali mnie przecież. Ten młody odwrócił wzrok.

– W łeb go! – powiedział. – I cała forsa do podziału na dwóch...

Rozejrzał się. Na chodniku przed bramą spostrzegł połówkę cegły. Postąpił krok. Tracił cegłę butem. Zazgrzytała.

– W łeb go! – powtórzył zaciekle i pochylił głowę.

Gołąb znów zatrzepotał skrzydłami, łapiąc równowagę.

Dlaczego nie odleciał? Jak przyrośnięty do głowy tego chłopaka. Mieciu Łapka przestał się uśmiechać. Po jego twarzy porośniętej rzadkim zarostem przeleciał nerwowo skurcz.

– W łeb – powiedział połykając sylaby – to ja mogę ciebie, głupi wilku!

Ten młody z gołębiem na głowie roześmiał się wzdorliwie.

Już nie patrzyłem na nich. Zobojeźniałem.

– Znam go z miasta – docierał z góry gniewny głos Mieciu Łapki. – Kiedy on przychodził do miasta...

– Psychodził, psychodził... – przedrzeźniał ten młody bełkotliwą mowę Mieciu Łapki – ale przestał przychodzić... Ja teraz przychodzę. Trafia się frajer i trzeba go oskubać. No!!! – jego głos brzmiał natarczywą zachętą.

Mieciu Łapka zaniósł się kaszlem.

Z trudem dźwignąłem ciężką głowę.

– Chcesz zapalić? – zapytał pośpiesznie Mieciu Łapka.

Pokręciłem głową przecząco.

Wtedy ten złodziejski emeryt popchnął młodego w głąb bramy.

– Na co czekasz? – warknął. – Bier od Przybysza gorzałę!

Ten młody z gołębiem na głowie powoli zbliżył się do inwalidzkiego wózka, w którym spał beznogi z twarzą rzymskiego senatora. Szarpnął go za ramię.

– Trafił się frajer... – usłyszałem jego przenikliwy szept. – A szmalu ma w karmanie cały kusz.

Coś jeszcze szeptał, gestykulując niecierpliwie.

– Bier flaszkę i spierdalaj – gniewnie przerwał mu Przybysz.

Tu, na tym odcinku ulicy, gdzie pozostały jeszcze stare kamienice, Przybysz cieszył się powszechnym szacunkiem. Gieroj bez nóg. Przedwojenny.

– Ale taki nadziany... – ten młody jeszcze mówił z nadzieją w głosie.

Odpowiedzi nie było. Zachrapał Przybysz. Wrócił ten młody z butelką. Odbił korek. Podał Mieciu Łapce jako najstarszemu. Zagulgotał przelyk złodziejskiego emeryta. Długo ciągnął. Wreszcie odstawił flaszkę od swoich zachłannych ust. Podał mnie. Ledwo przełknąłem mały łyżeczek. Nie chciała wchodzić do środka gorzała.

– Nawet chlać nie umie – zawarczał ten młody z gołębiem na głowie.

Wyszarpnął z mojej dłoni butelkę.

Dźwignąłem się niezgrabnie.

– Pójdę...

– Trzymaj się! – Mieciu Łapka klepnął mnie w ramię.

Wyraźnie ucieszył się i stanął między mną a tym młodym, odgradzając nas w ten sposób.

Powłokłem się ulicą, nad którą zawisło już słońce. Odprowadziło mnie zimne, wilcze spojrzenie tego młodego. Ale gołębia na jego głowie już nie było. Kiedy odfrunął?

## Stara ulica

Miesza tu mi się w głowie. Stare z nowym. Nawet po kawie. Podparta belkami kamieniarupieć. Odlani z żelaza Mikołaje przycupnęli w kącikach bramy. Podwórze kończy się blokiem z czerwonymi balkonami. Tam znajdowały się kasy wyścigowe, a tu bar zwany „Przechodnim”. Tam gdzie kasy, teraz „Rotunda”, okrągła kawiarnia, dają koniak i piwo, są też automaty do gry. Tam gdzie bar „Przechodni”, teraz agencyjny lokalik o przyćmionych światłach i z trunkami zagranicznych marek na półkach. Podają pizzę. Przychodzą młodzi, modnie ubrani chłopcy i takie same dziewczyny.

– Whisky z lodem – mówi taki jeden i zerka na sąsiadkę.

Właściciel nastawia kasetowy magnetofon z nowoczesną muzyką. W barze zwanym „Przechodnim” pijali dawniej węglarze, kontuar obity był cynkową blachą i syczało piwo, wędrując pod ciśnieniem z beczki do gumowego szlauchu. Przez gęstwą pijących na stojąco przepychali się do szynkwasu dwaj wybitni artyści z dawnych czasów. Poeta Gałczyński z piękną szpakowatą czupryną i aktor Kurnakowicz, schludnie ubrany, z muszką bordo pod szyją, wspierający się na bambusowym parasolu. Poeta Gałczyński wychylał małą wódkę, zapijał piwem. Aktor Kurnakowicz setkę przegryzał śledzikiem w oleju lub połówką faszzerowanego jajka w skorupce.

W barze „Przechodnim” w drugiej salce wisiało na ścianie pochyle lustro i odbijały się w nim sylwetki pijących. Jeszcze dawniej, opowiadał znajomy fryzjer, była to prywatna knajpa i właściciel miał kanarka Kubusia. Kubuś umieszczony był w klatce nad kasą. Właściciel co jakiś czas wsuwał wskazujący palec do klatki. Kubuś obstukiwał palec malutkim dzióbkiem. Podawali tam barszcz ukraiński w filiżankach i rankiem, kiedy przychodzili pierwsi klienci, których suszyło po wczorajszym, właściciel, nim odmierzył im kacową setkę czyściochy, polecał ten ukraiński barszcz właśnie.

– Na początek podkładzik, rebiata – powiedział.

Po tym wszystkim dawnym został tylko wysoki kaflowy piec w zielonym kolorze. Lustra nie ma. Nikt z dawnych ludzi tutaj nie przychodzi.

Kawiarnia „Rotunda”, choć taka nowoczesna, okrągła i cała oszklona jak oranżeria, ciągle te kasy wyścigowe z odległych czasów przypomina. Brama była długa, wąska i wchodziło się na podwórze otoczone starymi, liszajowatymi i popękkanymi murami. Tam znajdowały się kasy i gracze obstawiali gonitwy na polu. Przy wejściu mieli swoje hazardowe kramiki ci, co trzymali trzy miasta i lusterka. Ten od lusterek, przekładając nimi jak zongler, wołał: – Lala płaci, lala traci!

Ten od trzech miast też miał jakieś swoje powiedzonka.

Ci od lusterek i trzech miast, opowiadał znajomy fryzjer, bywali klientami u niego w zakładzie. Niektórzy podawali mu swoje typy wyścigowe. Kilka razy wygrał, a ich często łapała milicja, nie zawsze bowiem ten, co stał na świecy, potrafił ostrzec skutecznie. Wtedy fryzjer biegł do znajomych w komendzie. Nie odmawiali mu tej grzeczności, nieraz zwalniali przychwyconych szulerów, a oni nigdy nie zapominali o fryzjerze.

– Podali mi taką jedną gonitwę – wspomina znajomy fryzjer. – Kupiłem bilet za dwadzieścia, nie miałem akurat pieniędzy przy sobie, a to był wybuch. Za te dwadzieścia dostałem wypłatę czterysta. Żebym tak obstawił więcej. Wybuch... – powtarza wspominając to zdarzenie sprzed dwudziestu lat.

Do „Rotundy” zachodzą jeszcze dawni gracze. Przyzwyczajali się do tego miejsca i tu studiują programy, podkreślając i znacząc swoje typy na jutro. Wpadają na piwo rzemieślnicy z pobliskich warsztatów. Najczęściej tapicer. Przychodzi z własną wódką i pije spod stolika. Jest taki emeryt z sygnetem. Spotyka się tutaj z kolegą, też emerytem. Kolega często wyciąga gruby, wypchany portfel, pełen papierów, legitymacji, zaświadczeń, listów, i szuka tam czegoś.

– W takim chaosie robisz wszystko – mówi ten z sygnetem i patrzy na to grzebanie z niechęcią.

Kolega wygrzebał wreszcie z pliku papierów dwudziestozłotowy banknot. Ten z sygnetem dołożył taki sam. Wysłali chudego, niestarego, co tam chodzi między stolikami i wszystkich zna. Poszedł. I mimo brzęku automatów do gry „Rotunda” ma w sobie coś dawnego. Może dlatego, że po obu jej stronach pozostały jeszcze stare kamienice. Ten odcinek ulicy liczy ze dwieście metrów. Na dwóch rogach stoją mężczyźni. Więcej na tym przy placu. Mniej tam, gdzie tę ulicę przecina druga ulica, też ze starymi kamienicami. Przy placu jest sklep monopolowy. Tam gdzie tę ulicę przecina druga ulica, nie ma nawet sklepu z winem. Mężczyźni są w różnym wieku. Wśród nich jeden mój rówieśnik z kropką wytatuowaną na policzku. Często zachodzą do kiosku i wykupują cały spirytus kosmetyczny. Sprzedawca uśmiecha się ironicznie i z głośnym stukotem wystawia na ladę buteleczki. Oni, ci kupujący, skrupulatnie wytrząsają z kieszeni drobniaki. Spirytus wypijają w pobliskiej bramie, gdzie dawniej miał swoje miejsce beznogi Przybysz w inwalidzkim wózku. Przybysza już nie ma. Umarł. Na tym rogu przy placu jest jeszcze jeden stary bar. Ale wewnątrz ma zmienione, wyższą kategorię, i nie ma już wcale dawnych kelnerów.

Jedna z nich, kiedy już nie starczało pieniędzy na zagrychę, miała zwyczaj mówić z uśmiechem: – Więc do wódeczki polecam wodę pompejańską. – Tak poetycznie nazywała zwykłą wodę, kranówę.

Do tego baru zachodził niegdyś znany z wielodniowych hulank krawiec Witkowski. Słynął z dobrego kroju garniturów, a do tego potrzebował tylko jednej miary. Szli u niego ubrania rozmaici znani ludzie, między innymi Leopold Tyrmand. Krawiec Witkowski lubił artystów i kredytował im bez oporu. Jeszcze przed kilkoma laty wchodził do tego baru przy placu i wołał: – Stawiam kolejkę dla wszystkich!

Wtedy cisnęli się do wnętrza nawet ci, co wystają na ulicy i z mozołem składają drobne monety na spirytus kosmetyczny. Krawiec Witkowski już nie zachodzi tutaj. A jeszcze dawniej specjalnością zakładu były końskie potrawy i z pobliskiego wydawnictwa przychodziły redaktorki ze swoimi autorami. Między tymi dwoma rogami, stanowiącymi granicę starej ulicy, przechadza się krzepki starzec w cyklistówce. Oczy ma białe, twarz czerstwą, brutalną. To dawny zapaśnik. Tak mówią. I dawny urke. Od lat taki sobie spacerowicz. I w upalne lato czy zimą odprowadza swych kompanów od kieliszka do domu. Wszystkich przetrzymuje, a piją po równo.

Wczoraj znów zobaczyłem tego krzepkiego starca. Stał na tym rogu przy placu. Tylko swoją starą cyklistówkę zmienił na bardzo popularną obecnie okrągłą czapkę z twardym, lakierowanym daszkiem, zwaną dokerką. Zmierzył mnie białym okiem czujnego zwierza. Znamy się z widzenia. Przecież mijamy się tyle lat.



## Sezon

Matka od czasu do czasu wybuchała.

– Co ja mam z tego życia! Dla ciebie tylko szkoła i szkoła!

Dosyć umiejętnie naśladowała wymowę ojca.

Wtedy przypominałem sobie chłopaków z paki Janka Piechura z Bud, którzy często przedrzeźniali ojca. W tej zabawie najważniejszą rolę odgrywały pamiętne Ostatki, kiedy ojciec postanowił zorganizować w szkole pieczenie pączków i zachęcał dzieci do przynoszenia mąki, z której komitet rodzicielski miał wypiec pączki. Ci z paki Janka Piechura z Bud pokrzykiwali zza krzaków: – Dzieci, przynieście munczki, wypieczemy punczki!

Ojciec wybuchy matki przyjmował tak samo jak wrzaski chłopaków z Bud. Zupełnie obojętnie. Nawet nie unosił głowy znad zeszytów z klasówkami matematycznymi, które zwykle wieczorami poprawiał. Był odporny i cierpliwy.

– Skóra nosorożca – tak to nazywała matka i długo jeszcze wypominała mu różne sprawy z przeszłości.

Przede wszystkim tę swoją chorobę jeszcze sprzed wojny, kiedy leżała kilka miesięcy w szpitalu, a ojciec, zajęty budową szkoły, zapominał ją odwiedzić choćby raz w tygodniu.

– Myślałam wtedy zupełnie poważnie o rozwodzie – mówiła – gdyby nie to, że Marek był taki malutki...

Ojciec całkiem jawnie chichotał nad zeszytami. Matka, do reszty już wzburzona, wychodziła ze stołowego pokoju trzaskając drzwiami.

W tym to czasie zaczął bywać w domu moich rodziców pan Hipolit Zabrodzki. Popowstańniowa tułaczka rzuciła go do naszego miasteczka i na stałe już tu pozostał. Był kuśnierzem i miodoustym szarmantem z przyczernionym henną wąsikiem. Kobiety po trzykroć całował w rękę i nieustannie używał zwrotu „łaskawa pani”, zaciągając śpiewnie.

Odwiedzał nas przynajmniej raz w tygodniu, wywołując znaczne ożywienie opowieściami o klientach swej kuśnierskiej pracowni we Lwowie. Bywały to przeważnie osoby z wyższych sfer, hrabiowie, baronowie, naftowi potentaci z Borysławia czy Drohobycza i ich piękne, eleganckie żony i córki. Futra, które im szył, również sporządzane były z najcenniejszych skór.

– Elki, cybety, oposy, sobole, norki, tumaki... – wyliczał z lubością pan Hipolit Zabrodzki – albo karakuly bagdadzkie czy brajtszwance, wiecie państwo, to jagniątko wyjmowane z łona matki, cudowne, jedwabiste futerko...

Jednak nie tylko o tych futrach kosztownych opowiadał. Najchętniej właściwie o ludziach, którzy je nosili. O ich słabostkach, fantazjach, hulankach i szerokim geście. Nawet ojciec unosił głowę znad swojej matematyki i śmiał się razem ze wszystkimi.

Pan Hipolit Zabrodzki, którego gawędy zwykle przerywała jego drobniutka, wiecznie zafrasowana żona, dając znak do powstania od stołu, regularnie przez trzy dni tygodnia, podczas sezonu, jak mówił, stawał się niezwykle zajęty, skupiony i małomówny, a wszelkie próby nawiązania rozmowy zbywał z roztargnieniem, często wręcz niegrzecznie. W te trzy dni tygodnia pan Hipolit Zabrodzki wyruszał na pole, jak mówił, to znaczy na wyścigi konne na Służewiec. Nosił wtedy w kieszeni swojej kremowej marynarki program gonitw, poznaczony różnymi kółkami, krzyżykami, strzałkami, podkreślony czerwonym atramentem. Kiedy zaś mijały te jego gorące dni, na powrót stawał się uprzejmy, życzliwy i skłonny do towarzyskiego życia.

Od pewnego też czasu moja matka z pilną uwagą wysłuchiwała jego relacji o zawrotnych wygranych i koniach niezwyklej klasy, przynoszących złote fortuny. Chyba najpiękniej o tym potrafił opowiadać. Przed naszymi oczyma galopowały wspaniałe wierzchowce, płatami pokrywała je piana, i rozgrywała się zażarta, dramatyczna walka o dziesiątki metrów, już tylko metry, a wreszcie o długość wyciągniętego końskiego łba jedynie. Wyników tych gonitw oczekiwaliśmy z najwyższym napięciem, wpatrując się razem z nim w tablicę z imionami zwycięskich koni, nazwiskami dżokejów i wysokością wygranej stawki. Ten świat wyczarowany przez pana Hipolita Zabrodzkiego pełen był dźwięcznych, poetyckich imion rumaków, takich jak Kasandra, Hermona, Alpuhara, Tamerlan, Szmaragd czy Król Olch, a jednocześnie szeleściły pliki nowiułkich banknotów, wypłacanych w kasach za tę jedyną, niepowtarzalną szansę, za tego nieoczekiwanego fuksa przede wszystkim, lub słyszeć się dawał odgłos gwałtownego, desperackiego wprost darcia przez pechowych graczy biletów wyścigowych, też w grubych plikach, zawierających wielkie, niefortunnie stracone pieniądze. Matka najmocniej reagowała na tę wizję straconej szansy.

Pan Hipolit Zabrodzki spoglądał na nią z uznaniem.

Mój ojciec również prochytywał sobie za obowiązek zabrać głos w tej sprawie, ale jego słowa miały charakter tak banalny i przykry, że pan Hipolit Zabrodzki krzywił się jak po czymś gorzkim i zwracał wymowne spojrzenie w stronę mojej matki, jego podczas tych rozmów najlepszej sojuszniczki. Ojciec bowiem kwitował te pełne euforii impresje z pola jedynie suchym: – Hazard do niczego dobrego nigdy nie doprowadzi. Tylko zgubić może. Do szczętu!

I spoglądał surowo na mnie, swego jedynaka.

– Pamiętaj – dodawał.

Były to przykre dla nas chwile. Ten nastrój wyścigowego napięcia i tajemnicy zniszczony tak brutalnie.

Jednak pan Hipolit Zabrodzki ani myślał ustępować i pogodzić się z tym zdaniem. Przytaczał natychmiast argumenty powodujące to charakterystyczne pochrząkiwanie ojca, które świadczyło zawsze o jego zakłopotaniu.

– Podaję fakty, jedynie fakty... – zaczynał rzeczowo pan Hipolit Zabrodzki.

I mówił o graczach, zimnych, logicznych graczach, którzy mają niezawodną metodę.

– Matematyczną! – podkreślał.

Mojego ojca, matematyka, właśnie to wprawiało w największe zakłopotanie.

Pochrząkiwał coraz częściej, a pan Hipolit Zabrodzki spoglądał porozumiewawczo na moją matkę.

Dzień jego wygranej na polu był również naszym świętem. Zaprosił rodziców do „Weneccji”, najlepszej restauracji w naszym miasteczku. Matka wyjęła z szafy aksamitną wieczorową suknię i nałożyła karakuły. Ojciec opierał się i wymawiał brakiem czasu. Wreszcie ustąpił. Wrócili głęboką nocą i długo jeszcze słyszałem głos matki z sypialni. Mówiła o koniach. Znowu padały te barwne, dźwięczne imiona arabów i anglo-arabów. Mówiła o dwulatkach i trzylatkach, o stadninach i trenerach. Wiedzę w tym przedmiocie posiadała imponującą.

Ojciec co jakiś czas przerywał jej zmęczonym:

– Dałabyś spokój, Stachna...

Matka podnosiła głos.

– Z tobą nigdy w życiu nie mogłam dojść do porozumienia. Właściwie mimo tylu lat zupełnie obcy sobie ludzie...

Ojciec milkł. Matka bez przeszkód ciągnęła swój monolog o koniach, dżokejach, graczach i wysokich wygranych.

Wkrótce tylko moja matka rozmawiała z panem Hipolitem Zabrodzkim o wyścigach. Ojciec ostentacyjnie obwarowywał się książkami i zeszytami i zza tej twierdzy wcale już głowy nie unosił. Podczas tych rozmów żona pana Hipolita stawiała się mimowolnie sojuszniczką

ojca. Często wzdychała ciężko, psując w ten sposób mężowi finał jakiejś niezwyklej gonitwy czy sprawozdania z derby. Również w najbardziej nieodpowiednim momencie wstawała od stołu, mówiąc opryskliwie: – Starczy tego dobrego. Dajmy wreszcie państwu odpocząć!

Ojciec spoglądał na nią z wdzięcznością.

A pan Hipolit Zabrodzki przeżywał tego lata nieustające pasmo sukcesów na polu. Kuśnierstwem prawie przestał się zajmować i gonitwy, tak mówił żartobliwie, stały się jego wyłącznym warsztatem pracy. Sprawił sobie piękną lornetkę w oprawie z kości słoniowej, aby obserwować wytypowane przez siebie konie od startu do mety. Wyglądał niezwykle wytwornie, w słomkowym kapeluszu, kremowej marynarce i czarnych, prążkowanych spodniach, z lornetką przewieszoną przez ramię.

– Gdyby łaskawa pani zechciała... – powiedział któregoś wieczoru do mojej matki – to ewentualnie moglibyśmy nabyć na spółkę ze dwa koniki, a wtedy... – kuscielsko przeciągnął to słowo. Jednak nie dokończył. Ojciec podniósł nagle głowę znad stołu i popatrzył na niego ciężko.

Pan Hipolit od razu porzucił ten ledwo rozpoczęty wątek i zwrócił się do mojego ojca z wesołą i barwną opowieścią o swoich szkolnych czasach.

– Byłem niesfornym uczniem – mówił – i choć rodzice bardzo pragnęli, bym kształcił się dalej, to jednak ku zadowoleniu grona nauczycielskiego opuściłem mury naszego klasycznego gimnazjum po małej maturze, niestety...

Dalej snuł refleksje o obywatelskim charakterze pracy pedagogicznej, nie szczędząc mojemu ojcu wyszukanych komplementów. Jednak nawet podczas tej neutralnej gawędy ojciec nie mógł opanować migotliwych błysków w swoich małych, głęboko schowanych oczach, co oznaczało najwyższy stopień wzburzenia, jeżeli nie wściekłość. Rozmowa już się nie kleiła i państwo Zabrodzcy pożegnali się wkrótce. Matka jeszcze długo po ich odejściu medytowała nad czymś przy stole, wcale nie zważając na badawcze, niespokojne spojrzenia ojca. Następnego dnia przypadkiem zobaczyłem moją matkę; z torbą pełną zakupów wracała z targu, ale nie skierowała się do domu, tylko w przeciwną stronę. Weszła do cukierni „Pod Krzaczkami” i tam spotkała się z panem Hipolitem Zabrodzkim. Siedzieli chyba z godzinę. Pan Hipolit Zabrodzki wypisywał coś w notesiku, a matka zerkając mu przez ramię przepisywała to do swojego zeszytu.

– Kupno konia... na razie tylko jednego... – jeszcze tego samego dnia wieczorem powiedziała matka do ojca – absolutnie nie oznacza ulegania chorobie hazardu. To, mój drogi, nie ma nic z tym wspólnego. Stanowi po prostu niebywałą szansę, którą musimy wykorzystać.

– Idietyzm!

Matka obruszyła się gwałtownie.

– Pana Hipolita raczej nie można posądzać o nierealne mrzonki. Jest to rzeczowy człowiek interesu i doświadczony gracz – podkreśliła z naciskiem. – Zaproponował to nam w bezinteresownej życzliwości, zrozum wreszcie, nie możemy zmarnować takiej okazji. Pytam się. Zmarnować taką okazję?

– Idietyzm – powtórzył ojciec.

Z rozmachem złożył w stos swoje klasówki, te poprawione i niepoprawione razem, wstał od stołu. Matka przytrzymała go za rękaw. Ścisłym głosem, posługując się swoim zeszytem, coś tłumaczyła, podkreślała ołówkiem jakieś pozycje.

Minął tydzień i w naszym domu zjawił się kulawy pośrednik handlu nieruchomościami, Sobczak.

Matka przekonała ojca. Zgodził się na sprzedaż placu nabytego tuż przed wojną. Początkowo na placu tym rodzice zamierzali wybudować sobie własny domek. Kulawy pośrednik Sobczak też się nieco ożywił słysząc o celu, na który miały być przeznaczone pieniądze ze sprzedaży placu.

– Ciężkie pieniądze... – zaczął rozwlekle – ciężkie pieniądze pakują ludzi... znaczy w te konie...

Matka popatrzyła na niego podejrzliwie. Kulawy pośrednik minę miał jednak nieprzeniknioną i tym swoim ulubionym ruchem przełożył czapkę z jednego kolana na drugie.

Zaraz po nim przybył przyjaciel ojca, mecenas Kuligowski – ten, który studiował filozofię indyjską – żeby sporządzić dokument prawny określający charakter spółki przyszłych posiadaczy konia.

Jak zwykle niczym się poza tymi Hindusami, Gandhim i *Mahabharatą* nie interesując, z mechaniczną biegiłością rutynowanego prawnika zabrał się do redagowania dokumentu. Matka chciała w nim umieścić ojca jako współwłaściciela konia wyścigowego. Ale mój ojciec sprzeciwił się temu stanowczo.

Oto wszystko już prawie było gotowe i wielkim ożywieniem błyszcząły oczy mojej matki.

Tuż przed północą zbudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi. To była pani Zabrodzka. Długo nie mogliśmy zrozumieć, co się stało, gdyż łkała nieprzerwanie. Wreszcie w tym płaczu dało się odróżnić: – Zabrali go! Zabrali!

– Kogo? – zapytała matka.

– Hipolita! – wykrztusiła pani Zabrodzka. – Policja!

Ojciec przyniósł karafkę spirytusowej nalewki i wmusił w panią Zabrodzką kielich tego mocnego trunku. Uspokoila się nieco i dowiedzieliśmy się wszystkiego.

Pan Hipolit Zabrodzki wykorzystał w celach hazardowych futra swoich klientów, jak również wszelkie dostarczane przez nich ostatnio skórki i błamy. Zastawił je u pokątnych handlarzy i zaczął grać z rozmachem o coraz większe stawki. Jednak szczęście opuściło go i tylko przegrywał.

– Dureń! – powiedziała pani Zabrodzka; po nalewce jej twarz poczerwieniała mocno, oglądając się w lusterku starannie wycierała rozmazany tusz z policzków. – Przed wojną tak samo zrobił. Tylko wtedy miał szczęście. Odegrał się.

Zapadła cisza. Jakże wesołe oczy miał wtedy ojciec. Te głęboko schowane niebieskie oczy wprost skrzyły się od wesołych błysków.

Przykra jeszcze była rozmowa z pośrednikiem, kulawym Sobczakiem. Domagał się prowizji za trudy, które poniósł w poszukiwaniu odpowiedniego nabywcy. Ojciec zgodził się dosyć szybko na jego wygórowane warunki, a matka wyglądała jak nieobecna.

Niebawem ja również wkroczyłem na swój szlak przygód. Dostałem się do więzienia i znalazłem się na oddziale dla małoletnich, w celi pod numerem 111. W pierwsze południe rozległy się na korytarzu głosy i tupot drewnianych butów, a potem kolejno zgrzytały klucze w drzwiach celi na tym oddziale.

– Batory jedzie – powiedział celowy Ząbek.

Wkrótce i nasze drzwi otworzyły się szeroko i w progu stanął strażnik oraz dwóch kalifaktorów z dymiącym kotłem zupy.

Ustawiliśmy się w ogonku z miskami i kiedy doszedłem do drzwi, zagapiłem się na starszego kalifaktora ze zdumieniem.

Był to pan Hipolit Zabrodzki. Ubrany tak samo jak ja, w szary drelich, na głowie miał okrągłą aresztancką czapkę zwaną kaniolką, tylko wąsiki starannie przyczernione jak na wolności. Też poznał mnie od razu. Uśmiechnął się powściągliwie i chochlą zaczerpnął zrecznie z wierzchu kotła tłuszczu i skwarek do mojej miski, potem dorzucił gęstwy kartoflanej z dna.

Tak było odtąd zawsze. Tłuszcz i gęstwa z dna zapełniała moją obiadową miskę.

– Masz fory u tego fajfusa – mówili moi koledzy.

– Znajomy z wolności – odpowiadałem.

A raz, kiedy z powodu choroby nie wyszedłem na spacer, zajrzał do mojej celi. Miał tutaj, na naszym oddziale wyraźne względy, gdyż drzwi celi otworzył mu oddziałowy Szczeka i

wcale nie sprzeciwił się, kiedy pan Hipolit wręczył mi dziesiątkę papierosów i dodatkową porcję chleba.

– Jak tam zdrowie szanownej mamusi? – zapytał. Nie czekał na odpowiedź i mówił dalej:  
– Głupota ludzka nie ma granic. Oto dlaczego tu jestem. Prostaki. Gdyby zechcieli trochę poczekać... Odegrałbym się jak nic. Jeszcze z pańską mamusią, mając własnego konia, dopiero byśmy pokazali...

Urwał i zapatrzył się w kawałek letniego nieba pocięty kratami.

– Sezon – powiedział – psiakrew!

## Młody w niebieskim kombinezonie

Jest to pierwsza brama przy tej ulicy. Skręca się od śródmieścia w tę małą uliczkę i jeśli dni są upalne, brama zaprasza przyjemnym, choć może trochę zatechłym chłodem. Naprzeciw znajduje się bar „Pod Bombą”. Zdarzyć się może – wypijesz za dużo, wtedy najlepiej trzymając usta w garści pobiec prosto do tej bramy. W podwórzu wśród drewnianych zabudowań rozsiadł się obszerny klozet, trzeszcząca rdzawego koloru buda. Dozorca tego domu jest człowiekiem niemłodym i rozmownym. Chętnie do ciebie zagada.

– Ano, dzień mamy ładny... Ludzie są tacy, siacy...

Jeśli znasz się na rzeczy, poczęstuj go papierosem. Będzie zaciągał się chciwie; pokiwa głową, powie coś o zdrowiu i polityce. Rozejdziecie się.

Na prawo od bramy wisi szyldzik „Biustonosze”. Przychodzi tu dużo kobiet, niektóre niebrzydkie i chętne. Przy pewnym wysiłku możesz poznać całkiem do rzeczy kobietę. W samym rogu jest „Manikiur i podnoszenie oczek”. Tam w niewielkim okienku dojrzysz ładną dziewczynę. Ciemnowłosa o niebieskich oczach. Ale nie natnij się, dziewczyna ta widzi wyłącznie przystojnych i modnych facetów. Tylko wtedy błysnie w jej spojrzeniu uznanie. Niby przypadkiem wyjdzie przed zakład, w słoneczny dzień przeciągnie się kocio. Mając kiepską urodę, byle jakie włosy i szerokie spodnie, westchnij jedynie i idź do swojej dziewczyny.

Podwórze otaczają z trzech stron mury czteropiętrowej kamienicy. W oknach suszą się gacie, ścierki, babska różowizna. Na balkonach wisi pościel. Gdzieś słychać śpiew. Z drugiego piętra ktoś wrzeszczy: – Józek, na obiad!

Niekiedy zajdzie na podwórze wędrowny majster.

– Śluuuusarz, luuutuje, reperuje! – wyciągnie przenikliwie. Wygląda jak kataryniarz.

Oczy dziewczyny z „Manikiuru i podnoszenia oczek”! błyszczą marzycielsko. Jest pewnie przed randką lub po randce...

Dziś było upalnie. Słońce grzało cholernie, a niebo powlekał zamglony, okrutny błękit bez jednej chmurki. Ludzie ocierali spotniałe twarze i oddychali ciężko. Koło południa spiekotę ochłodził nieco mizerny wietrzyk, który podrywał zwiewne sukienki kobiet i odsłaniał białe, jeszcze nie opalone nogi. Na obnażonych nogach zatrzymywały się spojrzenia mężczyzn, pożądlive i bezsilne od tego upału. Sprzedawczyni ze sklepu przy bramie pośpiesznie zamknęła drzwi.

– Są... Na pewno tam są! – krzyknęła ostro.

Gruba kobieta i chłopak w trykotowej koszuli pokiwali zgodnie głowami. Sprzedawczyni wywieszając na drzwiach sklepu kartkę z kulfoniastym napisem „Zaraz wracam” znowu coś krzyknęła, wskazując w stronę bramy. Ten w trykocie zdeptał papierosa. Weszli w podwórze.

Dwaj w niebieskich kombinezonach, spaleni słońcem i ociążali, również przystanęli przy bramie. Zapatrzyli się w jej ciemne wnętrze. Starszy, wąsaty, chciał iść dalej. Jego gąbczasta twarz spływała potem, przetaczał językiem po spieczonych wargach i marzył o gorzkawym, zimnym porterze. Był niezaprawiony i zły. Ten drugi, młody chłopak, miał w oczach męczący obraz kobiecych nóg, których tyle zobaczył dzisiaj. Ostatnie, z rogu, pełne, niepokojące. Nogi kobiety przed komisem. Twarzy nie widział, ale łatwo wyobraził ją sobie. Potarł o spodnie wilgotne dłonie.

– Chodź, Malinowski, zobaczymy – powiedział ochryple. Powlekli się do bramy. Z rozkoszą wdychali jej zapach. Potarł o spodnie wilgotne dłonie.

Przed wychodkiem zebrała się gromadka ludzi.

Krostowaty młodzik w wiśniowych wyglansowanych butach, baba o wyglądzie kataniary, sprzedawczyni i gruba ze swoim chłopem w marynarskim trykocie. Z rogu, tam gdzie „Manikiur i podnoszenie oczek”, wyglądała ładna dziewczyna.

Drzwi klozetu skrzypiały lekko, poruszane wiatrem.

– Niedługo się rozleci – mruknął dozorca, stojący na uboczu. – Ale co poprawiać... – ożywił się nieco – wszystko to przeznaczone na rozbiórkę... – Mimo upału nosił biały sweter pod szyję.

– Widziałam, jak weszli – powiedziała sprzedawczyni, zerkając zalotnie na krostowatego.

Chłop w trykocie uśmiechnął się głupawo. Krostowaty zatrzymał wzrok na wydatnych, obwisłych piersiach sprzedawczyni.

– Frajerek ma na nią chęć – warknął młody w niebieskim kombinezonie. – Ma chęć...

Malinowski wyciągnął pogniecione sporty. Zapalili. Spluwali, czując gorycz.

– Najlepsze są radomskie – powiedział młody w niebieskim kombinezonie, rozgniatając w palcach papierosa.

Ładna dziewczyna wyszła przed zakład. Spojrzenie młodego w niebieskim kombinezonie spotkało się z jej oczami. Obojętnie przeniosła wzrok na innych. Ten młody przygryzł wargi.

Malinowski pomyślał o gorzkawym, orzeźwiającym porterze i poruszył się niecierpliwie.

– Siedzą i siedzą – westchnęła gruba. – Co za okropność! – splunęła z obrzydzeniem.

Jej chłop w trykocie pokiwał skwapliwie głową. Ładna dziewczyna z „Manikiuru” przysunęła się do zebranych.

Sprzedawczyni zmierzyła ją zawistnie. Dziewczyna spojrzała na zegarek.

– Piętnaście minut – zaśmiała się. Poprawiła kędzierzawą fryzurę.

– Takie rzeczy robi się długo – odezwał się krostowaty. Patrzył przymilnie na dziewczynę.

– Wszystko robi się długo – burknął młody w kombinezonie. Czuł wzrastającą niechęć do krostowatego.

Gruba zainteresowała się sukienką ładnej dziewczyny.

– Gustowna, bardzo gustowna – powtórzyła kilka razy z upodobaniem.

– Z ciuchów – wyjaśniła dziewczyna.

Na sukience wśród dziwacznych kwiatów igrały małpki i wiatraki. Młody w kombinezonie opuścił wzrok niżej. Nogi dziewczyny były długie i brązowe.

Gwałtownie postąpił krok w stronę klozetu. Dotknął drzwi.

– Długo tak można? – rzekł ze złością.

– Mój Boże – szepnęła sprzedawczyni.

Malinowski pociągnął młodego za rękaw.

– Chodź – rzekł z udręką. Pomyślał, że w taki upał ludzie mogą wypić wszystek porter.

Drzwi klozetu rozchyliły się z piskiem. Wszyscy wpatrzyli się w szparę. Najniższy, gość w trykocie, wzniosł się na palcach. Ale nie wychodził nikt. Coś tylko zamajaczyło w środku.

– Boją się – uznała gruba kobieta.

– Przed wojną – odezwał się ten w trykocie – pełno było takich w miejskich szaletach... Polowali na naiwniaków.

Młody w kombinezonie przyjrzał mu się kłująco.

– A pan miałeś chyba największe u nich powodzenie?

Dozorca rozkaszał się astmatycznie. Kaszel jeszcze nie ucichł, gdy drzwi klozetu otworzyły się szeroko. Wszedł stamtąd niemłody człowiek bryłowatej postaci. Obciągnął kremową wiatrówkę.

– To on – szepnęła sprzedawczyni, poruszając niespokojnie nogami.

Mężczyzna wyprostował się i spojrzał ponad głowy zebranych. Jakby na niebo. Jakby na mury kamienicy. Młody w kombinezonie dojrzał węzlaste zgrubienia żył na jego szyi.

Mężczyzna, który wyszedł, obrócił się i patrząc tam, do środka, poruszył wargami. Wtedy wyszedł ten drugi. Jakby słońce spadło na podwórze. Był to naprawdę piękny chłopiec. Wśród szarych murów na tym podwórzu z wiecznym cieniem nigdy nie było takiego.

Gęby zebranych pobrzydły jeszcze bardziej. Ten w trykocie mały i zarośnięty szczur. Jego szpetna baba, kataniara, mrużyła świńskie oczka... I inni. Dozorca stał na uboczu, stary i nachmurzony. Sprzedawczyni z wysiłkiem przeniosła wzrok z twarzy pięknego chłopca na szyję krostowatego. Szyja była czerwona, z poszarpaną blizną, łupież znaczył się na kołnierzu.

Młody w niebieskim kombinezonie przetrząsał kieszenie.

– Papierosa – szepnął chrapliwie. Ale Malinowski nie usłyszał.

Dziewczyna z „Manikiuru” poruszyła się jak lunatyczka. Chciała koniecznie zobaczyć pięknego chłopca z bliska. Włosy miał krótko przycięte, faliste. Takie jak kędziory greckich rzeźb. Takie jak każe moda. Dziewczyna rozchyliła usta. Kilka już lat pracuje tutaj i jeszcze nigdy nie widziała takiego chłopca. Chodzi często do kina – w filmach też nie. Zapragnęła, żeby ich spojrzenia się spotkały. Natężyła mocno wzrok, aż piekło pod powiekami. A on, ten piękny chłopiec, nie widział jej wcale, patrzył w twarz mężczyzny w kremowej wiatrówce. Krostowaty odsunął sprzedawczynię.

– Bić nygusów! – wrzasnął nagle.

Wtedy pierwszy z nich, ten w wiatrówce, powiedział coś, ale nikt go nie zrozumiał. Usłyszeli tylko zdławiony głos. Potem uniósł rękę, próbując zasłonić twarz.

Młody w niebieskim kombinezonie wałnął na odlew. Siwawe włosy rozsypały się rzadko. Kosmyk zakrył czoło i oczy mężczyzny w wiatrówce.

Kataniara zapiszczała z emocji. Malinowski przymierzył się i łupnął z lewej tego pięknego chłopca. Poczłł gniew i poprawił mu jeszcze solidnym kopniakiem. Piękny chłopiec upadł pod śmietnik. Dziewczyna z „Manikiuru i podnoszenia oczek” zacisnęła powieki.

Dozorca starannie zamknął drzwi klozetu. Krostowaty uderzył tego w wiatrówce. Ten zachwiał się i zatrzepotał rękoma.

– Krew! – pisnęła sprzedawczyni.

– Załatwia się klientów na czysto! – Krostowaty przykulił się i uderzył jeszcze raz. Ten w kremowej wiatrówce upadł.

– Pod obcasy paskudziarza! – ucieszył się chłop w trykocie.

Młody w kombinezonie popatrzył na leżącego. Twarz miał zamazaną krwią. Podkurczył nogi. Nie bronił się. Nie krzyczał. I oczy miał otwarte.

– Starczy, przecież leży! – młody w kombinezonie gwałtownie uniósł głowę. – No, nie! – jego głos zadrgał złością. Zastąpił drogę temu w trykocie.

Sprzedawczyni oddychała nierówno, trzymając się za wielkie piersi.

– Ach, w te buforki – zamlaskał krostowaty – w te buforki...

– Starczy – powtórzył groźnie młody w niebieskim kombinezonie.

Chłop w trykocie cofnął się posłusznie. Wszyscy spoglądali teraz na podnoszącego się z ziemi mężczyznę w kremowej wiatrówce. Piękny chłopiec ujął go pod ramię. Wycierał mu twarz chusteczką.

Dziewczyna z „Manikiuru” odwróciła głowę, ale i tak widziała go dokładnie w odbiciu szyby. Z trudem przeniosła wzrok na zebranych. Dozorca splunął pod nogi tym z klozetu.

– No, wynocha, bo jeszcze!...

– Jakże jeszcze! – młody robotnik rwał się z uścisku Malinowskiego.

Przeklął raz, drugi.

– Spokój, panowie... – łagodził chłop w trykocie.

– Już po wszystkim – dodał ugodowo krostowaty.

Ci dwaj skierowali się do bramy. Przed jej ciemnym wnętrzem jeden z nich się obejrzał. On. Piękny chłopiec. Młody w niebieskim kombinezonie utkwiał wzrok w noskach swych zawapnionych gumiaków. Wszyscy milczeli.



– Pójdziemy – rzekł Malinowski.

– Tylko czas nam zabrała – wybuchnął nagle jego młody kumpel – ta stara wywłoka. Stara wywłoka – powtórzył patrząc na sprzedawczynię. – A ta druga do pazurów i pończoch won!!!

Mówiłby jeszcze, ale Malinowski, który już nie mógł wytrzymać bez portera, pociągnął go mocno za rękę.

– Chamstwo! – cisnęła za nimi sprzedawczyni.

Ci dwaj w niebieskich kombinezonach nie usłyszeli. Wyszli przed bramę. Rozglądali się chwilę. Ale tamtych nigdzie nie było widać.

– Południe – mruknął Malinowski i ruszył w stronę baru po drugiej stronie ulicy. Młody powłócząc nogami poszedł za nim.

W barze „Pod Bombą” brzęczały na szybach muchy. Kilku węglarzy chlało na umór.

– Dwie większe! – krzyknął młody w niebieskim kombinezonie.

Barmanka przestała czyścić paznokcie. Uśmiechnęła się apatycznie i napelniła szklanki wódką. Przez zasłonę widać było bramę naprzeciw. Młody wypił duszkiem. Wpatrzył się w okno.

– Wyszli – powiedział gwałtownie.

Sprzedawczyni i krostowaty podążyli w stronę śródmieścia. Malinowski nawet nie spojrział w okno i wypiwszy wódkę, z rozkoszą sącył portera.

– Taka twarz – zamyślił się młody w niebieskim kombinezonie – taka twarz... Kobity za nim w ogień... – Wpatrzył się w zręczne palce barmanki, która ustawiała półmisek ze śledziowymi sałatkami w gablocie. Nagle naprężył się.

– Stary, to ty przyłożyłeś mu tak porządnie, co? – powiedział cicho.

Wlepił wzrok w twarz Malinowskiego, który poczuł się nieswojo. Odstawił portera, obejrzał wierzch swej dłoni, schował ją pod stół.

– A ty to niby co? – wymamrotał. – Kopyto w łapie też masz tęgie... – roześmiał się. Jednak urwał zaraz, gdyż wydało mu się, że wyraz twarzy jego młodego kumpla stał się jakiś dziwny. – Od początku mówiłem – zakończył – chodź na portera...

– Szefowo, dwie większe! – krzyknął ten młody w niebieskim kombinezonie, uderzając szklanką w blat stolika.

## Dawny kumpel z Bud

Spotkałem go w autobusie linii 122. Akurat kierowca przytrzasnął staruszka połówkami automatycznie zamykanych drzwi. Staruszek charczał i trzepotał się jak ptak. Kierowca z zainteresowaniem spoglądał w lusterko i milczeniem zbywał nieśmiałe protesty pasażerów. Dopiero ktoś precyzyjnie się do przodu powiedział:

– No otwieraj pan, szybciej!!

Głos ten zabrzmiał stanowczo i ochryple.

Kierowca odwrócił głowę. Popatrzyli na siebie. Przeciągły syk, drzwi otworzyły się szeroko. Staruszek został uwolniony. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wtedy go poznałem. On mnie też. Byłem dumny z niego. Jedyny pośród tylu pasażerów.

– Nie lubię takiego kozakowania – skrzywił się. – Niech podskoczy do równego.

Wysiedliśmy na najbliższym przystanku.

– Ile to już lat – powiedziałem.

– Jak długi wyrok – zaśmiał się.

Byliśmy z jednej ulicy. Razem ślizgaliśmy się po zamrożonej gliniance, graliśmy w szmacianą piłkę i chodziliśmy na szaber do niemieckich magazynów na fortach. Należał do paki Piechura. Janka Piechura z Bud. Więc do tych, co mi najbardziej imponowali siłą i odwagą. Jego dwóch braci też pamiętałem doskonale. Podczas wojny pruli kolejowe transporty niemieckie. Najstarszy stracił nogi przy tym niebezpiecznym zajęciu. O nim to napisałem opowiadanie. Tutejszy Mieriesjew. Tak go nazwałem i próbowałem opisać jego twardą, pełną niezwykłego uporu walkę z kalectwem. Ten był najmłodszy. Mój rówieśnik. Uczestnik wielu bójek z Wolą. Z Wolą mieliśmy zadawniony konflikt. Przyczyna już niemożliwa do ustalenia. Najmłodszy zastąpił wtedy z niezawodnego uderzenia głową.

– Miałeś ten łeb – wpadłem w zachwyt – jak taran!

Zdjął czapkę, rozgarnął włosy i pokazał białą bliznę nad czołem.

– Pamiętasz Mamuta? – zapytał.

Mamut najgroźniejszy z Woli. Pokraczny, słoniowaty i usta miał pełne zepsutych, czarnych zębów.

– Pewnie – przytaknałem.

– To Mamut właśnie – powiedział przeciągle – tak mi wypaskudził.

Był w skórzanym płaszczu i samodziiałowej cyklistówce na głowie. Stary podmiejski szyk. Skóra właśnie. Krzepki, barczysty i jeszcze nieotyły.

– Nie zmieniłeś się wcale.

– Żartujesz.

Spojrzał na nadjeżdżający autobus. Równocześnie na zegarek.

– Ten czas zasuwa bez fajerantu.

Zapaliliśmy. Pokazał tę wielką budowę na placu za nami. Już była pod dachem.

– Szybko ciągną.

Oczy zmrużył przed słońcem.

– Tu stanąłem na nogi. Robiłem na dźwigu i można było zarobić. Kierownik wypisywał więcej, niż wyrabialiśmy. Akurat M-3 wtedy dostałem. Jak cacko teraz, kafelki w łazience, meble na wysoki połysk, telewizor Granit. Musisz zobaczyć.

Ciągle patrzył na tę wielką budowę. Rusztowanie, błyszcząca miedziana blacha na dachu, uwijali się ludzie.

– Już tu nie robię. Skończyła się Kanada. Zdjeli kierownika.

Nadjechał kolejny autobus. Nie zainteresował się nim wcale.

– Wiesz, jak się z kobitą poznałem? W Telekomie na zabawie to miało miejsce. Patrę, siedzi taka jedna. Podskoczyłem do niej. Całą noc przetańczyliśmy, niedotykała, ani przycisnąć, ani pomacać. Odprowadzam, chcę pocałować, a ona: tylko nie w usta! No i po miesiącu ślub. Szybko, nie? Ale nie narzekam. Kieszeni mi nie sprawdza i dom prowadzi, jak trzeba. Lepiej mi nie będzie – powiedział z naciskiem. – Nie. Czego więcej szukać... Ilu naszych chłopaków już w piachu. Stasiu Garbinos, pamiętasz? Albo Maniek, ten co z Jadźką Paskudą kręcił. Pokończyli się kozacy. Szukali nie wiadomo czego. Rudy, jeszcze do tej pory, pochła więcej i bredzi jak potłuczony: nie ma dla mnie życia, nie ma... Tak jakby tylko dla niego. Frajerska mowa. Rozkleił się. Gieroj za dycheł! – wzburzył się i poczerwieniał. – Sam też raz więcej wypilem, to aż mnie roznosiło. Ciasno tak... Kobitę mam charakterną i ona mi mówi: co tak szumisz, głową muru nie przebijesz. Ma rację. Nie wolno tak sobie popuszczać... Ja tam lubię w chacie siedzieć, dziesiąte piętro, widok z okna taki, kawał miasta aż za Wisłą. Dobra chata ważna sprawa. Tak właśnie u mnie jest. Dobrze... W drugim bloku jeden hulnął z ósmego piętra, nie było co zbierać. Coś go naszło, nie wiadomo... A u mnie niedawno włamanie chcieli zrobić. Kobita poszła do sklepu, a ja na zwolnieniu akurat. Dzwonek, nic się nie odzywam, puka, raz, drugi, ja dalej nic, chrobot w zamku słyszę, pasówkę dobiera. Schowałem się pod stół i czekam. Wytryskiem skłuczył, nawet szybko, i wchodzi. Młodziak taki, rozejrzał się i od razu szafę otwiera, łapy pod bieliznę ładuje, gmerać zaczyna, wie, cwaniaczek, gdzie baby forszę kitrają. Wtedy do niego wyskoczyłem. Zdrętwiał, na kolana padł i o litość prosi. Ja mu mówię: co pękasz, pokaż klasę, możemy się spróbować. Gdzie tam, tylko cykoria nim trzęsła. Co zrobić z takim? Dałem mu wycisk i za drzwi won!

– Trzeba było na milicję nygusa – wyrwało mi się.

– E tam, małolatek. Tak jak my kiedyś. Nie pamiętasz?

Zawstydzilem się.

– Tak jak my kiedyś – powtórzył. – Szukaliśmy fartu. Mojki, skoki, odsiadki i tak dalej.

Starannie wdeptał niedopałek papierosa w ziemię.

– Czasem chciałoby się tak znów. Tylko nie te lata już. Gorzała na przykład, dawniej litr i nic. Teraz po flaszcze robi się we łbie zamieszanie. Na to nie ma sposobu. Każdemu z naszych chłopaków to klaruje. Nie ma co szukać, nic nie znajdziesz. Jak to mówi jeden taki majster od nas: sadas sadupas, wyżej nie dasz rady. Tak więc w chacie przeważnie siedzę. Można się w telewizor pogapić, flaszkę rozpić, moja kobita lubi tylko słodką... albo do szwagra, blisko mieszka.

Wyobraziłem sobie naraz to siedzenie, patrzenie. Te przeciekające dni, noce. Kleiste takie, szare i niezmiennie. Skrzywiłem się, jakby rozboleł mnie ząb. Zauważył moją minę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie pasuje ci. Mnie też nie za bardzo. Ale nie było jeszcze takiego rebego, żeby lepiej wymyślił.

Wpatrzył się wyczekująco. Nie znalazłem odpowiedzi.

– Dzieciaki mam udane – odezwał się po chwili – parka, chłopak i dziewczyna. Chłopak ma sześć lat, a jaki silny. Ze starszymi daje sobie radę. W sobotę wracam z roboty, patrę: dwóch załatwił w krótkich abugach, trzeciego wpół chwycił i do góry podnosi. Pyta: tato, co z nimi zrobić. Postaw, mówię, jeszcze się rozleci. Taki z niego zawodnik, niech się nie daje, dopóki może... Tak go uczę od maleńkości.

Znowu zapaliliśmy.

– A co u ciebie? – zapytał.

– U mnie? – wpadłem w popłoch. – Nic... Ani żony, ani dzieciaka.

– To długo się uchowałeś – zdziwił się. – Też nieźle. Skaczesz sobie z kwiatka na kwiatek.

Kołysał się na szeroko rozstawionych nogach. Skrzypiał płaszcz skórzany. Bryła taka. Jak ten jego brat najstarszy. Nasz Mieriesjew znaczy.

– Łbem byś tak potrafił jak dawniej? – zapytałem.

Zastanowił się.

– Co by nie. Jakby trzeba było. Tyle że siła nie taka... Ten Mamut – dodał nieoczekiwanie – dopiero miał kopa w łapie. Jak się nie zaczął szanować, to na pewno ziemię dawno już gryzie.

Spojrzał na zegarek.

– Kobita z obiadem czeka – powiedział trochę wstydliwie. – Wiesz, jak to baba, czeka i nie wiadomo co sobie myśli.

Pożegnaliśmy się wymieniając adresy.

Już na stopniu, w drzwiach autobusu, obejrzał się i zapytał ściszym głosem: – Ci jehowcy, wiesz, ta sekta, przepowiadają koniec świata na siedemdziesiąty piąty rok, jak ty się na to zapatrujesz?

Wpatrzył się we mnie z natężeniem. Nie zdążyłem odpowiedzieć. Drzwi zatrzasnęły się z sykiem. Autobus odjechał. Dawny kumpel z Bud. Zacząłem wymachiwać ręką za autobusem. Tego nie mógł już zauważyć. Tak stałem więc. Ja. Słaby i zmęczony trudem zaczerniania papieru. Nałogowiec tego zaczerniania. Ile już zapisanych stosów. Ani dzieciaka, nic. Jednak po uprzytomnieniu sobie jego ostatniego pytania poczułem się nie taki całkiem samotny. To pytanie łączyło nas przecież. Jego i mnie. Tak oto pomyślałem i zapatrzyłem się na tę wielką budowę obrośniętą rusztowaniem, z widocznymi tu i ówdzie ruchliwymi figurkami pracujących ludzi. Ich też.

## W obliczu śmierci

Był styczniowy, zimny poranek. Niemcy opuścili miasteczko nocą. Tylko w domku przy szosie prowadzącej na zachód pozostała ta gruba Stahlowa. Mężczyźni pod największą kamienicą, zwaną Pekinem, naradzali się z ożywieniem. Zaczynał ostry wiatr. Kasztany za torem kolejki gięły się smętnie, nagie i czarne.

– Konfidentka! – chłopcy posłyszeli złe, okupacyjne słowo.

– Konfidentka! – powtarzali mężczyźni pod Pekinem.

– Będzie heca – Piegowaty, co mieszkał na Budach, zacierał dłonie.

Przysunął się do mężczyzn. Ale oni przegonili go zaraz. Tramwajarz Adamiec wskazał na domek przy szosie. Mężczyźni poruszyli się niespokojnie. Twarze mieli zacięte i drapieżne.

– Ona już dawno dostała wyrok – mówił Piegowaty – znaczy od tych z konspiracji, i nie zdążyli...

Krzysztof spoglądał na ten szary domek z czerwonym dachem. Taki jak inne w miasteczku. Jedynie bardziej na uboczu.

– Idziemy! – krzyknął krawiec, przezywany Łata na Łacie. Ruszyli tam całą gromadą. Nawet pan Osochin, właściciel restauracji „Wenecja”, podążył za nimi. Szedł najwolniej, powłócząc drewnianą nogą.

– Chodź – rzekł Piegowaty, przywódca chłopców z tej ulicy.

Lecz ojciec Krzysztofa miał zaciśnięte usta, przytrzymał go za ramię. Piegowaty pobiegł za mężczyznami. Inni chłopcy też wynurzyli się z bramy Pekinu.

Krzysztof wrócił z ojcem do domu.

– No i co? – zapytała matka.

Ojciec pokiwał głową. Matka westchnęła.

A ojciec stanął przy bibliotece i dziwacznym, drżącym gestem gładził książki. Patrzył na złocene tytuły na grzbietach. I zaraz jego dłoń się cofnęła.

– Książki – powiedział. – Piękny świat humanistów... Bezradny świat humanistów...

Krzysztof poczuł, że dzieje się coś strasznego. Nawet pytać o nic już nie chciał.

Była cisza. Uliczka opustoszała. Gdzieś zaszczekał pies.

U Krzywookiego – pomyślał Krzysztof.

Szczekanie psa urwało się. Z powrotem cisza styczniowego poranka. Wrony zastygły martwo na telegraficznym drucie. Krzysztof zaczął liczyć te czarne ptaki, poutykane ciasno jak na grzędzie. Jednak w połowie odległości między dwoma słupami zaprzestał. Pomyślał o tych, którzy pobiegli tam, do ostatniego domku przy szosie.

Niespodzianie uliczkę wypełniły krzyki.

– Wrócili – powiedział ojciec i twarz mu się znowu ściągnęła. Nakazał Krzysztofowi nie wychodzić nigdzie. Sam zaś rozpoczął nerwowy spacer po przekątnej pokoju.

Krzysztof wymknął się z mieszkania kuchennymi drzwiami. Pobiegł pod Pekin. Natknął się tam na zadyszanego Cygana. Mężczyźni już stali w bramie. Łata na Łacie dreptał podniecony i szczerzył w uśmiechu bezzębne dziąsła.

– To on! – Cygan wskazał Felka Piaskarza, milczącego chłopca o czarnym zaroście.

Felek Piaskarz ćmił papierosa. Ciężko zwiesił głowę.

– Należy ci się ćwiartka – powiedział pan Osochin, właściciel restauracji „Wenecja”.

Poklepał go po plecach. Piaskarz odtrącił jego rękę i niżej pochylił głowę.

– On! – powtórzył Cygan wpatrując się w niego z podziwem i strachem zarazem. – I powiesili – powiedział i wzdrygnął się.

Krzysztof pobiegł. Piegowaty i inni chłopcy byli jeszcze na miejscu. W otwartej furtce wisiała ona. Ta gruba Stahlowa. Krzysztof podszedł bliżej. Patrzył na ciało bezwładnie zwisające z poprzecznego pręta nad furtką. Sukienka, sine nogi i zsunięte w niechlujnych fałdach pończochy. Głowa opadła jak złamana tarcza słonecznika, włosy zasłaniały twarz. Pierwszy raz zobaczył śmierć z bliska. Jeszcze niedawno widział tę grubą Stahlową, jak szła do sklepu pana Maslicha, i słyszał, jak żartowała z podpitymi banszucami przy ulicznej pompie. A teraz tylko sztywny, pokurczony kształt.

Piegowaty uśmiechnął się głupawo i zbliżył do powieszonyj kobiety. Pewnym, dziarskim krokiem. I kredą wyrysował na jej plecach koło, w tym kole drugie, mniejsze, trzecie, czwarte. Sweterek miała zielony. Białe, kredowe koła były bardzo wyraźne.

– Strzelnica! – ogłosił Piegowaty.

Odchodził krokiem równym, wymierzonym. Ustalał odległość. Zatrzymał się przy schodkach jej domu. Zmrużył oczy. Z kieszeni wyciągnął procę.

Inni chłopcy patrzyli w milczeniu. Mały Kapucha nie wytrzymał i odwrócił głowę.

Piegowaty powoli, z namysłem naciągał gumę. Ale nie zdążył wypuścić z niej kamienia. Krzysztof wyrwał mu procę. Ze wściekłą pasją zaczął łamać widelki, szarpać gumę.

– Coś ty!... – oczy Piegowatego zaiskrzyły się niebezpiecznie i rękoma tak zakołysał, jakby sposobiąc się do uderzenia. Jednak Krzysztof nie zląkł się go wcale. I bronić się też nie miał zamiaru. Tylko stał i patrzył na tamtego z pogardą. Piegowaty przestąpił z nogi na nogę, spojrzął na swoje pięści, rozluźnił je i chrząknął z zakłopotaniem. Popatrzył na chłopców. Ale oni wszyscy twarze mieli wrogie, odpychające.

– Szkoda procy – wymamrotał.

I wyciągnął rękę. Krzysztof jego dłoni nie przyjął. Dalej patrzył z pogardą.

Piegowaty poczerwieniał. Niezgrabnie manewrował odtrąconą dłonią, schował za plecy, wysunął do przodu; wreszcie włożył do kieszeni.

Wtedy to na schodach tego domku z czerwonym dachem pokazała się babka małego Kapuchy, objuczona pierzyną i kilkoma poduszkami. Jeszcze raz zajrzała do wnętrza, zastanawiając się, czy nie powrócić tam znów.

– Rozdrapali wszystko – powiedziała zrzędliwie.

Schodziła po stopniach bardzo powoli, uginając się pod ciężarem swojego łupu. Uchyliła nieco głowę i obojętnie minęła wiszącą w furtce kobietę. Poczłapała ulicą i zaraz zniknęła za parkanem.

Cicho było i straszno. Chłopcy stali nieruchomo i nie czuli wcale zimnicy przenikającej za ubranie.

## Dawna niedziela

Lucyna była córką sąsiadów. Już malowała się i spoglądali na nią mężczyźni. Mój ojciec też.

– Hoża – powiadał.

My, chłopcy z paki Janka Piechura z Bud, podglądaliśmy Lucynę. Nad stawem w trzcinach zobaczyliśmy, jak opalała się nago. Leżała z szeroko rozrzuconymi nogami i wszystko było tam widać. Któryś z nas nadepnął na suchą gałązkę. Poderwała głowę i patrząc w gęstwą trzcin, gdzie siedzieliśmy zaczajeni, roześmiała się krótko. Swej nagości nie skryła i mogliśmy dalej patrzeć. Mimo to, jak smagnięci biczem przez ten jej krótki, pobłażliwy śmiech, wynieśliśmy się stamtąd.

Kobiety pod sklepem pana Trakula mówiły o niej często i zawsze z niechęcią. A sama Trakulowa nazywała ją rogówką. Milkły jednak, kiedy w pobliżu pokazywała się matka Lucyny. Ale to milczenie też było wymowne. Patrzyły na nią uważnie. Matka Lucyny pochylała głowę i oddalała się spieszenie. Lucyna kombinowała z Niemcami. Tak powiedział Janek Piechur z Bud. I jeszcze powiedział, że za karę mają jej ogolić głowę. Słyszał w restauracji u Dziadka. Przyczał się w bilardowej sali pod stołem i mężczyźni rozmawiali o Lucynie.

– Ogołą jej łeb – powiedział z satysfakcją Janek Piechur z Bud.

Lucyna chodziła z niemieckimi żołnierzami. To była prawda. Sam widziałem.

Pierwszy był ten młody lotnik. Oni kwaterowali w szkole. Stawał przy pompie na naszej ulicy i Lucyna wychodziła do niego. Szli zwirową drogą na forty. Lucyna, strojna i wymalowana, energicznie stawiała kroki. Młody lotnik obejmował ją i tak szli.

Kobiety wyglądały z okien i bram. Złorzeczyły po cichu. Mężczyźni milczeli. W milczeniu spoglądali na Lucynę. Jesienią zaczął przyjeżdżać na naszą ulicę ten drugi, oficer, w wysokiej, wygiętej czapce ze srebrnymi galonami. Na dłoniach miał ciasne skórzane rękawiczki. Spoglądał na zegarek i przyciskał klakson w samochodzie. Dźwięk klaksonu był ostry, niecierpliwy. Lucyna wychodziła. Oficer podnosił dłoń i wskazywał na tarczę zegarka. Lucyna uśmiechała się sennie. Oficer też uśmiechał się do niej.

Lucyna tak pięknie wyglądała. Stałem przy płocie w krzakach bzu i widziałem ją z bliska. Raz nawet zapragnąłem opowiedzieć jej najpiękniejsze książki, które przeczytałem. Widziałem już jej oczy pełne przejęcia. Przecież opowiadałbym najlepiej, jak potrafię.

A od pewnego czasu widywałem Lucynę z Czarnym Olkiem. Czarny Olek słynął z brawurowego skoku do pociągu w pełnym biegu. Pruł kolejowe transporty. Nie bał się wcale ban-szuców i dostał dwa postrzały, jeden w rękę, drugi w ucho. Ucho z tego powodu miał poszarpane strzępiasto, z siną blizną, która w słońcu lśniła purpurowo.

Wszystkie dziewczyny w naszym miasteczku marzyły skrycie o Czarnym Olku. Czarny Olek patrzył tylko na Lucynę i nie słuchał tego, co o niej mówiono. Karolka Bilardzistę za jedno złe słowo o niej zbił strasznie. Karolek już leżał, a Czarny Olek jeszcze kopał go zawzięcie.

Nawet baby z targu trzymały przy nim na wodzy swoje języki. Czarny Olek był stałym ich dostawcą. Kupowały od niego kupony bielskiej wełny, skrzynki pomarańcz, puszki sardynek, koniaki w kolorowych butelkach i papierosy najlepszych gatunków. Czarny Olek wsuwał niedbale zwitki banknotów do kieszeni i hojnie stawiał wódkę u Dziadka.

– Zaczadziła go – powiadali szeptem mężczyźni przy bilardzie.

Ale sami też zachłannie popatrywali na Lucynę. My, paka Janka Piechura z Bud, zobaczyliśmy pewnego razu, jak ten gruby, co robił interesy z gettem, wybiegł od Dziadka i zatrzymał Lucynę. Coś powiedział, uśmiechając się wstętnie. Przyciągnął ją do siebie i chciał pocałować. Naraz wrzasnął, puścił ją i zasłonił dłonią twarz. Lucyna odeszła nieśpiesznie.

– Ona lubi tylko mundurowych – wykrztusił gruby przykładając chustkę do przeoranego paznokciami Lucyny policzka. Z Czarnym Olkiem Lucyna najchętniej spacerowała tą drogą od krzyża, wśród pól. My, paka Janka Piechura z Bud, skradaliśmy się za nimi zbożem. Oni siadywali przy Kaczym Stawie. Czarny Olek całował Lucynę. Osuwali się na ziemię i długie, opalone nogi Lucyny pokazywały się spod spódniczki.

– Chetają się – powtarzał chrapliwie Janek Piechur z Bud.

Odwracaliśmy głowy od wygnieczonego miejsca w zbożu, gdzie leżało tych dwoje. Odchodziliśmy po cichu i później Janek Piechur z Bud naśladował rozkołysany, niedbały krok Czarnego Olka.

– On jest najlepszy ze wszystkich na kaliskim torze – mówił.

I tak jak Czarny Olek paradował z niedopałkiem papierosa przyklepionym do dolnej wargi.

W ten letni niedzielny poranek wybiegłem przed dom i zastanawiałem się, jak zacząć dzień. Piekarz Jenszura już ganiał swoje gołębie. Stado wirowało w zwartym szyku ponad domami. Obserwowałem samotnego gołębia, który odłączył się od stada i wybrał przeciwny kierunek. Obserwację nieba przerwał przenikliwy krzyk w sąsiedztwie. Zbliżyłem się do płotu i zobaczyłem Czarnego Olka. Włókł za włosy Lucynę. Czepiała się jego butów i powtarzała: – Kochany, nie! Kochany, nie!

Czarny Olek kopnięciem otworzył furtkę i wyciągnął ją na ulicę. Okręcił faliste, jasne włosy Lucyny dokoła dłoni i podniósł ją z ziemi. Widziałem jej wykrzywioną bólem twarz.

– Mieli cię ogolić – powiedział Czarny Olek. – Ja ich zastąpię!

Zatrzymał się przy pompie. Ciaśniej okręcił na dłoni jej włosy. W drugim ręku trzymał nożyce. Ciachnął. Pukiel włosów upadł na ziemię. Ciachnął jeszcze raz. Lucyna nie broniła się. Tylko płakała. I tak ciął zawzięcie. Złote włosy Lucyny ścieliły się na ziemi przy ulicznej pompie.

Z sąsiedniego ogródka wybiegli dwaj jej bracia, Stanisław i Tadeusz. Krępi, pleczyści mężczyźni. Wysunąwszy przed siebie ręce, szeroko rozkraczeni na przygiętych nogach, zbliżali się do Czarnego Olka. Czarny Olek puścił Lucynę. Osunęła się na ziemię. Jej bracia zachodzili go z dwóch stron. Czarny Olek zaśmiał się i skoczył do tego, który był bliżej. Głowa starszego brata Lucyny, Tadeusza, zaczęła chwiać się bezwładnie. Upadł. Równocześnie ten drugi, Stanisław, zaskowyczał z bólu. Czarny Olek, nie odwracając się, kopnął go w brzuch. Stanisław wczepił się w jego ramię. Miotali się chwilę. Stanisław zwiotczał i ciężko osunął się na kolana. A Tadeusz ocknął się i na czworakach pełznąć zaczął w stronę Czarnego Olka. Po drodze zagarnął leżące na ziemi nożyce. Lucyna, krzycząc strasznie, rzuciła się na niego. Ugryzła go w rękę. Nożyce wypadły z jego dłoni.

Wkrótce obaj bracia Lucyny uciekli, kulejąc i złorzecząc bezsilnie. Za nimi powoli podążyła Lucyna. W furtce obejrzała się jeszcze. Czarny Olek stał na szeroko rozstawionych nogach. Wysoki, nieruchomy. Zawinał rękawy koszuli. Poruszył parę razy rączką pompy. Nadstawił głowę pod strumień wody. Otrząsnął się i przygładził grzebykiem zmoczone włosy. W słońcu błyszcząły granatowo. W słońcu błyszcząły też porzucone na ziemi nożyce. I znów zapanowała leniwa cisza niedzielnego poranka. Na niebie śnieżną plamą wirowały gołębie.



## Prześladowca

Był to starszy chłopak. Już nie bawił się z nami. Ściągał węgiel z kolejowych transportów i nawet strzelali do niego Niemcy. Filip widział go w akcji. Za szczęśliwicką parowozownią, tam gdzie rozwidlają się tory, wskoczył na stopień ostatniego wagonu i jak akrobata posuwał się po dachach do przodu składu. A banszucowi, który wybiegł z budki wartowniczej, przesłał dłonią szydercze pozdrowienie. Filipa ogarnął podziw, kiedy tak patrzył na to groźne widowisko.

Nazywano go Cyganem, bo cerę miał śniadą i włosy czarne, faliste. Mieszkał przy cegielni, w drewnianym Pekinie. Więc Filip idąc do stajni ojca Rudego, gdzie zbierali się całą paką, często spotykał Cygana. Chodził szerokim, rozkołysanym krokiem, jak marynarz, miał zsuniętą zawadiacko na tył głowy kraciastą cyklistówkę z pomponem i przyklepiony do wargi papieros.

I ten Cygan właśnie uporczywie prześladował Filipa. Wyrastał nagle nie wiedzieć skąd i żadnej nie mogło być ucieczki. Filip stawał wtedy jak wryty i czerwieniał. Tamten uśmiechał się złośliwie i cedził: – Te, laluuś, jak się masz!

Rozpocynało się to haniebne upokarzanie. Cygan poszturchiwał go, robił syfon z nosa, puszczał dym w oczy i powtarzał z upodobaniem: – Laluuś! – Wykręcał mu dłoń i pytał: – Boli?

– Nie – przeczył Filip, a ból był nieznośny.

– Gdzie lecisz? – Cygan zadawał następne pytanie.

– Do chłopaków – odpowiadał Filip.

Cygan parskał śmiechem, odsłaniał żółte, szerokie zęby.

– Do chłopaków... – powtarzał. – I w co się bawicie, gnojki? Pewnie w Niemców i partyzantów, tak?

Filip przytakiwał.

– Partyzant! – Cygan coraz boleśniej wykręcał mu dłoń. Opuszczał Filip głowę. Nie chciał, żeby tamten widział łzy, które mimowolnie spływały mu po policzkach.

– Takich partyzantów to ja na wagę, jedną grabą załatwiam trzech! – chełpił się Cygan.

To nie była pusta przechwałka. Bardzo silny. Nawet Rudy go unikał. Jego też kiedyś zatrzymał Cygan i odebrał mu piękną finkę z czarną rękojeścią. Toteż podczas każdego takiego spotkania ogarniał Filipa paraliżujący strach. Co prześladowca wymyśli dzisiaj? Czy będzie targać za uszy, kopnie w kostkę? A może podstawí nogę i przewróci na bruk... Mnóstwo miał sposobów. Przetrzasał Filipowi kieszenie i zabierał przeróżne rzeczy. Drobne pieniądze, scyzoryk w perłowej oprawie, srebrną monetę z Marszałkiem, klisze, bursztyn, grzebień, ołówki. Kiedy coś mu się szczególnie spodobało, to mówił: – Całkiem możliwie się postarałeś.

Zabrane przedmioty nazywał okupem.

– Marny okup – mówił i szczypał go w szyję. – Na drugi raz, jak będzie taka lichota...

Stał Filip zupełnie bezradny.

Tamten, zakończywszy rewizję, odprawiał go niedbałym gestem: – Wolny jesteś.

Chował się Filip w bramę czy w krzaki za płotem i płakał z bezsilności.

Niedawno widział łapankę na tych ze szmuglem. Po peronie biegali żandarmi z wielkimi wilczurami. Zatrzymali w tunelu mężczyznę. Kopali go i okładali gumą. Odebrali jakieś zawiniątko. Mężczyzna zapłakał. Był to stary, zgarbiony człowiek.

– Nienawidzę – szeptał Filip. – Nienawidzę.

Tego ranka wszyscy z bandy Rudego mieli zebrać się w opuszczonej cegielni. Rudy wymyślił nową zabawę. Jego ojciec czytał tajne gazetki i stamtąd dowiedział się, że Niemcy zostali okrążeni w Stalingradzie.

– Znaczący kocioł – tłumaczył Rudy.

Mieli więc podzielić się na dwie grupy. Obleżeni i oblegający. Podział dokonać się miał drogą losowania.

Filip szykował się w pośpiechu. Zastanawiał się, jakie miejsce zostanie wybrane na Stalingrad. Cegielnia czy stare carskie forty... Decyzja miała należeć do Rudego. Bardzo pragnął znaleźć się wśród oblegających. Sparzył usta zbożową kawą. Odsunął z niechęcią spodek z cebulą w rzepakowym oleju, a chleb schował do kieszeni. Wymknął się cichaczem z domu. Biegając wymachiwał ciupagą. Była to ciupaga ojca z ostatniej przedwojennej wycieczki do Zakopanego. Stalowy toporek na dębowym drzewcu obitym ozdobnymi blaszkami.

Przed sodowiarnią pana Maslicha podjechał motocykl z przyczepą. Dwaj żandarmi dobijali się do drzwi sklepu. Filip zatrzymał się i patrzył na nich z pobłażliwością zwycięzcy. Już był oblegającym Stalingrad. Wtedy to ktoś chwycił go za kołnierz. Równocześnie poczuł dotkliwe szturchnięcie. Obejrzał się i od razu prysł dobry nastrój tego ranka. Za nim stał Cygan.

– Te, partyzant, na akcję? – zapytał wrednie. Popatrzył z zainteresowaniem na ciupagę. – Prawdziwa siekierka! – Wyciągnął rękę.

Filip odskoczył.

– Nie dam – powiedział.

Cygan gwizdnał leciutko.

– Nie dasz? – zdziwił się.

Filip zdecydował się nagle. Dłużej nie mógł tego znieść.

– Nie dam! – powtórzył załamującym się z przejęcia głosem.

Jednak narastał w nim strach. Te oczy Cygana zwięzające się w kose szparki. Ale nie mógł już inaczej. Odrzucił za siebie ciupagę, zacisnął pięści. Stał w wyczekującej pozycji, którą podpatrzył u starszych chłopców bijących się nad glinianką. I choć słabość ogarniała zdradziecko, to jednak pięści trzymał nadal zaciśnięte. Cygan chwycił go oburącz za kołnierz bluzy. Przyciągnął do siebie. Potrząsnął Filipem niczym kukłą.

– Nie dasz? – zachichotał.

– Nie – powiedział Filip i przymknął oczy.

Cygan uderzył go w twarz. Znów zachichotał. I ponowił uderzenie. Dwaj żandarmi na ganku sodowiarni spoglądać zaczęli w ich stronę z zainteresowaniem. Ten wyższy odstawił kufel z piwem. Zbiegł po schodkach. Zbliżył się do chłopców. Skrzypiały jego buty. Twarz miał ostrą, ptasią, a na piersiach przewieszony pistolet maszynowy.

– Raus!! – wrzasnął.

Chwycił za włosy Cygana, odciągnął mu głowę do tyłu i kolbą automatu z rozmachem uderzył w plecy. Cygan stęknął, jego dłonie puściły bluzę Filipa. Chwilę stał na uginających się nogach. Wytrzeszczył oczy, na wargach pokazała się pienista krew. Osunął się na bruk. Żandarm trącił go niedbale błyszczącym czarnym butem.

– So... gut... Kind – uśmiechnął się do Filipa. Zaleciało wódką i wodą kolońską. Odszedł równym, sprężystym krokiem. Zaszwargotał do tego drugiego. Śmiech. Warkot motoru. Odjechali.

Cygan nogi miał podkurczone i twarz ukrytą w ramionach. Filip pochylił się nad nim.

– Cygan – powiedział – Cygan...

Podsunał mu swoją ciupagę.

– Jak chcesz, to sobie ją weź...

Tamten nie poruszył się nawet. Wtedy Filip się rozplakał. I tak stał zupełnie bezradny na tej pustej, martwej uliczce przed sodowiarnią. Dopiero po chwili z bram zaczęli wynurzać się ludzie. Ostrożnie, rozglądając się dokoła zbliżali się do leżącego na bruku Cygana.

## Rudy kot

*Janowi Józefowi Szczepańskiemu*

Lód już puszczał. Przy brzegu pękał długimi rysami. Dalej pokazywały się ciemne oczy wody, ściśnięte grubymi, spiętrzonymi bryłami. Mężczyzna w średnim wieku stanął przy pochyłym drzewie. Patrzył w wodę. Zaczynała się wiosna. Z gałęzi pochyłego drzewa wysuwały się już maleńkie zielone pączki. Patrzył na lód i wodę. Dłonią muskał te ledwo wyczuwalne jeszcze pąki.

Nagle postyszał przeraźliwy wrzask. Obejrzał się. Za nim, w kotlinie, kilku wyrostków osaczało kota. Zwierzę miało się jak oszalałe. Rzucili się na niego. Przycisnęli do ziemi.

Mężczyzna w średnim wieku uśmiechnął się i odwrócił głowę. Oni też polowali na koty. Też przychodzili nad to jezioro. Ciemne oczy wody i namiękle kocie ścierwo, które wypływało na powierzchnię. W tym samym miejscu co dzisiaj znajdowało się śmietnisko. Mieszkańcy baraków tutaj wyrzucali wszystkie odpadki. Na tych odpadkach żerowały zdziczałe koty. Oni zaczajali się najczęściej wiosną, kiedy zwierzęta traciły czujność, zajęte swoją miłością. Zarzucali worek albo siatkę. Kot szamotał się, drapał i gryzł. Ale już był ich. Wyplątywali z pułapki zdobycz, chwyтали za ogon, nabierali rozmachu i rzucali na jezioro. Koty umieją pływać. Jedne szybciej, inne wolniej. Stawali na brzegu i celowali z proc. Różne bywały. Zdarzały się takie, co po pierwszym uderzeniu kamieniem tonęły od razu. A nieraz dopiero po którymś tam trafieniu kot chował łeb i nie pokazywał się więcej. Koty mają bardzo twarde życie. Różne bywały.

Koci wrzask znów się powtórzył. Tym razem jeszcze przeraźliwszy. Spojrzał w stronę kotlinki. Oni, ci młodzi, siedzieli w kucki i coś tam robili. Koci wrzask nie ustawał. Mężczyzna w średnim wieku zbliżył się do kotlinki. Oni, ci młodzi, byli obtatuowani. On też był poznany wzorami. A kot był rudy. Wpychali go w stary, popękany śniegowiec. Już tylko łeb wystawał stamtąd. Ścisnęli go za szyję. Otworzył pysk, różowy w środku i pełen białych, ostrych zębów. Charczeć zaczął. Jeden z młodych wyjął z kieszeni obcęgi. Dwaj pozostali szeroko rozciągnęli kotu szczękę. Rozległ się chrzęst i zgrzyt. Ten uzbrojony w obcęgi szybko uniósł rękę. Zaklął.

– Gryzie.

Obejrzał dłoń. Wyssał krew z palca.

– Rudy – splunął. – Wredny.

Mężczyzna w średnim wieku podszedł bliżej i spojrzał między nich na ziemię. Oni wyrywali mu zęby. Już drugi kiel znalazł się w żelaznych kleszczach. Kot wybałuszył oczy. Trzymali go mocno za szyję. Ostrzyżony na jeża szarpnął obcęgi.

– Ale ma zębiska! – powiedział odchylając się do tyłu.

Z kociego pyska pociekła krew.

– Fajnie, fajnie!!! – powtarzał drugi jak w ekstazie. Włosy miał długie, tłuste i na twarzy był kostropaty.

– Trzeba mu usunąć wszystkie – powiedział trzeci i zatarł dłonie.

Ten z obcęgi znów pochylił się nad zwierzęciem.

– Nie! – krzyknął mężczyzna w średnim wieku. Rzucił się na nich. Jednego zawadził butem. Drugiego trafił pięścią. Z trzecim najtrudniej mu poszło. Silny i zwinny. Robił uniki.

Warczał z wściekłości jak pies i nawet ugryźć próbował. Niebezpiecznie wymachiwał obcęgami. Ale wytrącił mu je z dłoni celnym kopniakiem. Udało mu się chwycić go za klapy i przyciągnąć do siebie. Na czole miał wytatuowaną gwiazdkę. Pluł i próbował wcisnąć mu palce w oczy. Mężczyzna zwałił go wreszcie na ziemię uderzeniem głowy w podbródek.

Podniósł z ziemi obcęgi i rzucił je do wody. Nie trafił. Osiadły na grubym lodzie. Rudy kot miotał się w gumowej cholewie. Ciasna była i nie mógł się z niej wydostać. Ruchami mięśni spowodował, że śniegowiec wraz z nim potoczył się po ziemi.

– Jak myśmy to robili – powiedział mężczyzna w średnim wieku – to on miał szansę żyć.

Pochylił się nad zwierzęciem. Kot stulił uszy, w jego oczach było przerażenie.

Pysk miał rozchylony i widać było puste, rozorane dziąsła, z których sączyła się krew. Przycisnął kolanem stary, popękany śniegowiec i oburącz ciągnąc począł zwierzę, które próbowało wcisnąć się jak najgłębiej. Uchwycił kota za przednie łapy i uwolnił z gumowca.

Na chwilę rudy kot, przypląszczywszy się do ziemi, znieruchomiał zupełnie. Nagle wyprysnął wielkim susem i znikł wśród hałd śmieci.

Pozostał po nim krwawy ślad.

Kiedy mężczyzna w średnim wieku uniósł głowę, zobaczył, że ci młodzi zbliżają się do niego. Otaczali go jak zbite, ale ciągle wściekłe psy. W dłoni jednego z nich błysnęła żyłka.

Rozstawił szeroko ręce, czekał.

## «Era»

Ceju trząsał się bardziej niż zwykle.

– Przeprawiłem się – zdołał wykrztusić.

– Zaśmieli się.

– Zaprawić, to rozumiem – rzekł Zygi – ale przeprawić się...

– Za dużo było – wytrząsał z siebie Ceju.

Stali pod „Era”. Tak jak co dzień. Przez szybę widzieli tych pierwszych klientów, co już pili. Jeden kończył trzeci browar. Łapczywie jak pierwszy. Prosto z butelki, tylko grdyka tańczyła mu półeczkę.

– Ostre tempo narzucił – roześmiał się Bogdanek – przeprawi się przed czasem.

Łakomie przełknął ślinę. Nie tylko Ceju był chory. Każdy z nich czuł wczorajszy dzień. Bogdanek wieczorem wylądował na Krowiej i tam go ci giganci, śmieciarze, salicylem kosmetycznym częstowali.

– Oni „pyki” na to mówią – przypomniał sobie – mocne, podniebienie parzy.

Zygi pochłał nad Jeziorkiem.

– Boki bołą – sieknął. – Ktoś mi musiał dokopać.

A Ceju tylko ręką machał.

– Młode jesteście – powiedział płaczliwie – i takie już umęczone.

Oczy mu dęba stanęły i pustym żołądkiem szarpać zaczęło. Oparł się o mur i wepchnął do gardła paluchy. Pustym żołądkiem zatargało bez skutku. Osłonili go plecami. Akurat gliniarz przechodził.

W „Erze” już narodu trochę się zebrało. Ale nikt znajomy. Handlujący element z bazaru. Starych, sinych chłopów kilku. Gapili się na nich przez szybę.

„Era” jak raj. Wejść, zamówić. Stać albo usiąść. Ale jak?

– Na pożyczkę szansy nie ma – westchnął Zygi.

– Kto ci pożyczycy – ramionami wzruszył Bogdanek.

Po drugiej stronie ulicy flaszkę w bramie rozpijali. We dwóch. Odbili i gul, gul... Patrzyli i aż im same grdyki do wtóru pracować zaczęły. Bogdankowi i Zygiemu. Ceju na razie się nie liczył. Półtrup. Budziło się życie. Uśmiechało do niektórych. Chłopy czerwone spacerowo sobie kroczą. Zęby szczerzą. Przekomarzają się. Szlugi pałą. Skręcili w prawo. Gdzie idą? Wiadomo, do „Inwalidów”.

– Usiądą se, wkurwejebane, przy stoliku... Flaszka zimna jak sie masz... – rozmarzył się Zygi poeta. – Kelner się kłania, oni tatarą na zakąskę albo flaki... Cegłą se podsypią...

– Nie mów mi o żarciu! – jęknął Ceju. – Obrzydliwy dziś jestem.

Ceju półtrup. Dopiero jeden browar, drugi, nie mówiąc o stakanie czystej...

Przeszedł jeden znajomy. Uśmiechnęli się na wszelki wypadek do niego. Ręką im odmachął i pobiegł dalej. A choć patrzyli mu w oczy, jak ich mijał, to tak swoimi ślepiami zamamnował, żeby nie zderzyć się z ich spojrzeniem natarczywym, co to cynk mu dawało chrześcijański, błagalny. Poleciał, dobrze ubrany, z wypchaną skórą na zadzie.

– Nygus – warknął Zygi.

– Takiego tylko po ciemaku przykaraulić – rzekł mściwie Bogdanek i aż mu szczęki w zwarcu zaskrzypiały.

Bogdanek ostry, słów na wiatr nie rzuca.

Czas ciągnął się jak guma. Dopiero ranek. Niektórzy jeszcze do roboty lecą. A im tak się wydawało, że nie wiem jak długo już stoją. Bogdanek ręce do kieszeni wsunął i tym jednym swoim okiem całą ulicę pod obstrzałem trzymał. Jedno miał oko, drugie stracił, jak go do pułda zamknęli.

Zygi łeb zwiesił i jeszcze temu, co się nie chciał zatrzymać, szeptem bluzgał.

Ceju to się wcale nie liczył. Niby stał, a jakby go nie było. Tak czekali. Zobaczyli kilku chłopaków z tamtej strony torów. Jeden miał kieszeń obciążoną. Wiadomym ciężarem. Szli sobie i po bramach się rozglądali. Szukali miejsca. Flaszkę rozpić chcieli. Tych chłopaków z tamtej strony torów nie zaczepili jednak. Wstyd im było. Poprzednim razem wyśmiewali się z nich, że tak pod „Era” wystają. Jak oni dzisiaj. Odprowadzili ich tęsknym spojrzeniem. Zniknęli w trzeciej bramie za fryzjerem. Tam rozpiją. Ceju z zazdrości prawie płakał.

– Kondycji do chlania nie masz – powiedział Bogdanek.

– Szybko się rozklejasz – dodał Zygi.

– Każdego to może trafić – bronił się Ceju. – Raz jest taki dzień, a drugi raz inny.

Miał rację. Każdego to może trafić. Tylko Ceju cały na wierzchu. To wstyd.

W „Erze” już raz piwa zabrakło. Wychlali pierwszy rzut. Podchodzili ludzie do lady, a bufetowa ręce rozkładała. Długo przerwa nie trwała. Przyjechał wóz. Drugi rzut. Skrzynkę za skrzynką wnosili. Znów piwsko się lało. Kolejarzy dużo dziś przychodziło. Dworzec blisko. Z nocnej służby wracają.

– „Era”? Dlaczego tak się nazywa? – Ceju rozdziawił gapiowato usta.

– „Era” – zastanowił się Zygi. – „Era”... Niby czas. Tak się mówi.

– Nowy czas idzie – przytaknął Bogdanek. – Tu mają całą dzielnicę wyburzać. Nowe bloki będą stawiać.

– Niedobrze – zmartwił się Zygi.

Fakt. W tych rudkach swojsko tak. Mety z gorzałką są. Dzień i noc. Zakamarki. Przechodnie bramy. Zygi gliniarzom się wczoraj zerwał. Wpadł w takie podwórze i jakby ziemia się pod nim rozstała. Nie dali rady go znaleźć. Znajoma brama Zygiego wyratowała.

– W tych nowych blokach chłopaki też jakoś żyją – zauważył Ceju.

Z trudem uniósł głowę i pierwszy raz na niebo popatrzył.

– Muszę... – zaczął Bogdanek.

I wtedy teczkowiec im się nawinął.

Prosto na nich się zatoczył. Przybuzowany, stary, w długiej jesionie, i teczkę wypchaną pod pachą ścisnął.

Bogdanek odepchnąć go chciał. Tak rękę wyciągnął i zawarczał. Naraz rękę opuścił i mina mu złagodniała, słodka zrobiła się wprost.

– Panowie! Gdzie tu kibel? – stary zawołał. – Tak mnie ciśnie!

Chuch miał kwaśny. Wczorajsze zmieszało mu się z dzisiejszym.

– Tu niedaleczko – Bogdanek grzecznie się staremu uklonił.

– Możemy drogę pokazać – dodał Zygi.

I już między siebie tego z teczką jak w obręcz wzięli. Za nimi poczłapał Ceju.

Parę kroków ulicą. Do tej bramy za fryzjerem. Najlepsze miejsce. Trzy podwórza, jest wyjście na inną ulicę. Kibel był w drugim podwórzu. Szli sobie z tym pijaczkiem. Na oko jak przyjaciele. Ludzi tu nie było. Tylko dzieciaki bawiły się przy trzepaku.

Bogdanek pchnął drzwi. Ciemno i ludzkim smrodem pomieszanym z amoniakiem mocno w nosie zakręciło. Drzwi za sobą zamknęli. Teczkowiec od razu do rozporoka. Bogdanek poczekał, aż sobie ulży, i za klapy płaszcz go do siebie przygarnął.

– Rewizja! – zachichotał Zygi.

– Pokaż, co masz! – powiedział Bogdanek. – No!! Rozstawił nogi, już się szykował.

– No! – powtórzył.

– Panowie – przestraszył się teczkowiec. – Koledzy! Postawić zawsze mogę...

Zamilkł i skulił się, porażony spojrzeniem Bogdanka. Odepchnął go i chciał się z ciemności kiblowej wydostać.

Bogdanek hakiem mu przyładował w brodę. Teczki nie wypuścił. To mięknięcie ciała i krzyk, co mu się z pyska wydobył, rozdrażnił jakoś Bogdanka. Serię z obydwóch rąk wypuścił. Krótko. Szybko. Jak w worek treningowy. Bogdanek przez rok boks trenował. A Zygi z tyłu pijaczkowi kopem poprawił. Pijaczek teczkę wypuścił i osunął się na sraczowy otwór. Uśpiony już był. Z kącika warg na brodę krew mu pociekła.

– Chłopaki, co wy robicie! – zawodził Ceju. Ale za teczkę od razu złapał. Ugiął się. Taka ciężka. Otworzył. Rzucił z rozczarowaniem. W teczce było pełno grochu. Dlatego taka ciężka.

– Gołębie trzyma czy co... – zdziwił się Zygi.

Bogdanek sprawnie zrewidował pijaczka. W kieszeniach za parkanem nic nie miał. W tej bocznej u spodni zaszeleściło. Były. Bogdanek, nie licząc, zacisnął w garści. Czerwono mu błysnęło. Znaczy setki. Uwinęli się raz-raz. Zamknęli kibel na haczyk i wolno skierowali się podwórzem do bramy. Przy trzepaku bawiły się dzieciaki. Starucha siedziała na ławce. Spokój. Ale Ceju się wystraszył. Wydało mu się, że w oknie ktoś twarz rozpląszczył i za nimi patrzy. Ostatnie to było okno na parterze.

– Szybciej! – już biec chciał.

Przytrzymali go.

– Nie rób poruty! – syknął Bogdanek.

– Te, cykoryjny – dodał Zygi.

– Mógł ktoś zobaczyć – szepnął Ceju i z trudem nogi przyhamował.

Nie za szybko, swobodnym krokiem podążali do „Ery”. Ceju pierwszy.

– Ile tego? – zapytał.

– Starczy – uśmiechnął się miękko Bogdanek. Z rozmachem otworzył drzwi „Ery”.

I już wszyscy trzej lekko przechylili głowy. Do browaru się przymierzali.

## Krajobraz

Krajobraz też się pogmatwał. Niby jeszcze łąny lichego żytka, piachy, sosenki, bydełko i strzechą kryte chałupy. A tu z nagłą eternit pomarańczowym kolorem wybucha czy warzywne uprawy plastikową folią błyszczą. Wille po wsiach się mnożą. Jedną na frontowej ścianie malunek ozdabia. Malunek z daleka oko cieszy. Gondola, w gondoli młodzieniec, z wód syrena się wynurza; granatowe niebo i srebrny księżyc.

Gospodarz Suchodolski budować się zaczął. Z prefabrykatów wystawi i eternitem pokryć chce po nowemu. Jeden głupi miastowy starą chałupę od niego kupuje. Te belki spróchniałe, z kornikami, tę strzechę przegniłą. Patrzy gospodarz Suchodolski, śliną strzyka i medytuje. Cenę za starą chałupę ustala. A cieśla miejscowy, Palusiek, pełne ma ręce zamówień, tylko wybierać, więc siedzi w agencyjnej gospodzie „Rybitwa”, popija i wybiera. Gospodarz Suchodolski krokami obmierza pas łąk nadrzecznych i zagajnik w piachach. Zagajnik na trzy działki starczy. Ceny tej ziemi piaszczystej albo podmokłej ciągle w górę idą. Budują letnie budy miastowi, działki kupują. Pół ubywa. Żyto tu w piachu rzadkie, kłosy marne i chabrów, maków więcej niż tego żyta. Łażą letnicy miedzami i chabry zbierają. Do miasta stąd blisko. Za inspekty ludzie się biorą. Szklarnie i piece stawiają. Żuka mieć czy Nyskę jakąś. Z warzywami o świcie jeździć. Pieniądz popłynie jak ta rzeka, co letników z miasta przyciąga. Tylko ten Trzaska, co na dwudziestu morgach siedzi, działek nie sprzedaje ani inspektów nie stawia. Po staremu żytem obsiewa, traktor kupił i złe psy trzyma, kto za parkan wejdzie, ten w biedzie, psy jak nic tylek mu wyszarpią.

Dalej od rzeki dwór kiedyś stał. Na wzgórzu wśród dębów. Kamienne słupy po bramie pozostały. Niżej sadzawka z wierzbami. Młoda dziedziczka nad sadzawką wysiadywała. Aleja lipowa od szosy prowadzi. Powozem tędy jeździli. Pustka. Trzaska krowy tutaj pasie. Raz jakby ktoś się powiesił czy co... Na konarze dębu ludzkim kształtem zamajaczyło. Wisiało i dyndało na wietrze. Dyndało i wiatr pojękiwał. Podeszli pomału. Śmiechem ich roznosić zaczęło. Szmaty podarte na drzewie wisiały. Pewno Trzaska konia nimi przykrywał, jak mu się zagrzał. Upały od tygodnia, praży. Do żniw żeby pottrzymało. Żeby nie padało. Popijają południową porą przy sklepie. W cieniu siedzą i gwarzą. O żniwach. O letnikach. Nowe czasy nastały. Bocianów coraz mniej. Żaby chemią powytruwane. Konia jednemu sparaliżowało. A dziewczyny ubierają się jak te z telewizji i w krzaki do chłopaków z tranzystorami wychodzą. Jedzie szosą od mostu kawaleria nasza. Trzech na Ursusach. Dziarskie chłopaki. Jeden w garniturze bordo. Drugi w bluzie z dermy, co udaje skórę. Trzeci długowłosa jak baba. Jadą na traktorach, szosa dudni, i śpiewają: – „...Ojciec syna wylał pasem, hej!! A syn ojca w łeb obcasem, hej!!”

Dziarskie chłopaki, winem naćpane.

Aż tu taki jeden na motorze z polnej drogi wyskoczył i drażnić się z nimi zaczyna. To ich mija, to przystaje. Gębę ma czerwoną, oczy pijane. Też naćpany. Kpiny sobie robi z ich tempa traktorowego, ślimaczego. Garbią się ze wstydu traktorowe chłopaki. Śpiewać przestali. Benzyną śmierdzi. Traktory kaszlą i pierdzą. Tempa nie przybywa. Naraz motor tamtemu draniowi zgasł. Stanął bezradny, nogami o szosę się wspiera, ciśnie gaz, rączką kręci. Cisza, i motocykl ani drgnie. Traktory do niego podjechały. Blednie biedaczek i bez skutku zapalić chce. Zsiadają z siodełek traktorowe chłopaki. Uśmiech oblicza im krasni. Wzięli go z trzech stron i obracać zaczęli. Uciekać w pole chciał. Na asfalt się wyłożył. I był już tylko krzyk. A potem krew. Strugami po czarnym, gorącym asfalcie rozlała się jucha.



Stary konia batem zacina. Koścista chabeta dostała pędu niczym cugowiec. Bat obudził w niej ducha. Dojechał stary do tej łąki, gdzie kosili. Akurat kobieta rozkrok wzięła i szczyć zaczęła. Stała sobie w tym rozkroku za kopką siana. Z drugiej strony chłop ją osłaniał.

Zatrzymał stary wóz i wrzasnął: – Chłopaka waszego dopadli!!

Kobieta jeszcze nie skończyła, ale nogi już zwarła, oburącz za głowę się chwyciła i – Jezusie Nazareński! – zawołała rozdzierająco.

Jej chłop widły z kopicy wyrwał i pobiegł do wozu.

– Podrzucicie, sąsiedzie! – wycharczał i oczy mu krwią nabiegły.

Na wóz wlaź. Za nim baba.

– Konia zajeżdżę – powiedział stary, spoglądając na mokre, parujące plamy na zadzie zwierzęcia. Popluł w garście. Ściągnął lejce i strzelił z bata. Bocian patrzył z wysokiej stodoły Suchodolskiego. Stał na jednej nodze i patrzył w dół. Dziobem zaklekotał. Ten klekot jak kostuchy głos. Pędzi drabiniasty wóz. Stary z chabety ostatek sił wyciska. Chłop widły na sztorc wystawił i w oczach mu rosną te trzy traktory, co sobie jeden za drugim na poboczu stoją. Jego baba białą chustę na czoło obciąga i – Jezusie Nazareński! – zawodzi.

Oglądają się za wozem dwie starowinki, które w rowie krowę, swoją żywicielkę, wypasają.

– W rękach boskich ludzkie losy niezbadane – powiedziała ta, co przystała do świadków Jehowy.

Krowa przeżuwała miarowo. Cisza rozprażona słońcem i bzykają bąki. Na stodole Suchodolskiego nieruchomo tkwił bocian na jednej nodze.

## Epitafium

Przychodził zaraz po otwarciu i już zostawał do końca. Zajmował miejsce przy szynkwasiu. Stał tam jedyny taboret. Zasiadał na tym taborecie. To był jego taboret. Nikt nie zajmował tego miejsca. Miejsce Wujcia. Tak się mówiło. Dziadek, właściciel „Wenecji”, też tego przestrzegał i obcym tam siadać nie pozwalał, mówiąc: – Służbowe.

Tak mówił, choć z Wujcia nie miał żadnego pożytku. Często przecież tylko przychodził, siadał i nic. Czekał, aż mu postawią. Stawiał nawet sam Dziadek. Służbową setę, jak powiadał. Wójcio wódkę pił ceremonialnie. Cały to był rytuał. Obracał szklaneczkę palcami, przyglądał się jej chwilę, wznosił pod światło, odpijał niewielki łyk; wreszcie przykładął do warg i wychylał duszkiem. Nieruchomiał, oddychał głęboko, sadowił się wygodnie na taborecie i podparłszy głowę rękami, wpatrywał się w baterie butelek stojące na półkach. Był małowówny. Z Dziadkiem, choć znali się tyle lat, wymieniał jedynie zdawkowe słowa i raczej to Dziadek, podchmieliwszy sobie nieco, wygłaszał do niego monologi ze stałym refrenem: – Świat to bardak, a ludzie bladzie są i tyle. – Wujcio nie potakiwał ani nie przeczył. Nieruchomy, o twarzy żółtawej i pomarszczonej, przysłuchiwał się cierpliwie. Słuchaczem był najwdzięczniejszym. Jemu przecież zwierzali się węglarze, wyrokowcy po wyjściu z więzienia, zdradzanym mężowie i kolejarze narzekający na brak widoków. Przychylali się do swego spowiednika, szepcząc i klnąc szpetnie, wyjąc i płacząc, pogrążeni w rozpacz lub radości rozsadzającej ich z nadmiaru alkoholu. Najżałośniej biadolili hycel z opuszczonej cegielni, którego bolała pogarda, z jaką traktowali go ludzie. Wujcio słuchał z powagą. Jego twarz nie zmieniała wyrazu. Jednego tylko wymagał. Postukiwał w szkło swojej szklaneczki, i to było wszystko. Przeważnie Dziadek musiał przypomnieć takiemu gadule o jego obowiązku.

– Nie widzisz, człowiecze – powiadał – szanowny pan ma puste szkło.

Nasłuchał się Wujcio przez te lata długie rozmaitych wynurzeń. Sam natomiast nie zwierzał się nikomu. Natarczywe pytania zbywał wzruszeniem ramion i wódka nie rozwiązywała mu języka. Spożytego alkoholu nie można było po nim poznać. Jedynie oczy stawały się pod ciężkimi powiekami prawie niewidoczne.

Ubierał się od lat w ten sam garnitur, który cudem nie rozlatywał się jakoś.

– Rapaport, żelazo, nie materiał – powtarzał z upodobaniem krawiec Skarbonko, też tutejszy bywalec, chwytając Wujcia delikatnie za rękaw lub gładząc poplamioną klapę marynarki.

Buty miał wojskowe typu saperskiego, zimą czy latem. Ostatni palec jego prawej dłoni ozdabiał srebrny sygnet z orłem. Do tego sygnetu był niezwykle przywiązany i żadne pokusy nie zmusiły go do zastawu czy sprzedaży.

– Ten metal – powiadał Wujcio – pamięta lepsze czasy. – W wojnę podobno obronił sygnet przed jednym dzikim Mongołem. Odepchnął go i dalej siedział przy szynkwasiu. Mongoły stąd jeździli pacyfikować Wolę i często popijali w „Wenecji”. Tak opowiadali starsi ludzie. Wujcio mieszkał kątem u doktora, pierwszego obywatela w miasteczku. Zajmował w jego willi niewielki pokoik na górce i po całodziennym obowiązku w „Wenecji” tam udawał się na spoczynek.

Doktor peszył się wyraźnie, kiedy zagadywano go o brata.

– Na zdrowiu szwankuje, niestety – chrząkał zakłopotany.

Dziadek, chciwy właściciel „Wenecji”, cenił go najwyżej ze wszystkich swoich stałych gości, stawiając nawet ponad handlarzy złotem i złodziei kolejowych, którzy słynęli z fantazji i rozrzutności.

– Pan – mówił – prawdziwy pan, nie zanieczyści, za przeproszeniem, awantury nie wywoła...

Kłaniał się Wujciowi nisko jak dziedzicowi i zapraszał szerokim gestem.

Wujcio przede wszystkim lubił w knajpie czas przed południowy. Bywało wtedy pusto i cicho. Dziadek czyścił cynkowy kontuar albo wsunawszy palce do kieszonek kamizelki zamyslał się nad zeszytem w ceratowej oprawie, gdzie prowadził rachunki. Kucharz w białej czapce przekomarzał się z kelnerką, rosłą, wsiowej urody dziewczuchą. Powiadano o niej, że była kochanką Dziadka.

W sąsiedniej, bilardowej sali pierwsi gracze rozpoczynali partyjkę amerykanki lub piramidki. Dochodził stamtąd stuk bil oraz rzadziej miękkie ich klask, kiedy wpadały do otworu opatrzonego siatką. Czasem gracze uchylali drzwi bilardowej sali, nacierali kredą czubki kijów i zamawiali po głębszym. Wujcio siedział samotnie przy szynkwasie i na początek mieszał swoją setkę wódki z piwem. Wlewał tę pierwszą setkę do kufła i sączył drobnymi łykami. Starczało tej mieszanki do południa. O tej porze w knajpie robiło się gwarno, tłoczno i niejedem stawał Wujciowi.

Kilka już pokoleń z naszego miasteczka odbywało w jego obecności swój gorzałkowy termin. Przechodzili przez tę męską inicjację i szli dalej w życie albo zostawali przy tym na stałe. Wódka znaczyła w nich swój zły ślad, marnieli, wpadali w otepiałość lub miotali się jak uwięzione zwierzęta. Pod wieczór przeważnie zwalali się niczym kłody i Dziadek ze swoim pomocnikiem Olkiem Atletą wywalał ich na ulicę. Patrzył Wujcio spokojnymi i bez blasku oczyma. Odprowadzał też niektórych na cmentarz. Niektórzy bowiem, zmęczony się i naszarpawszy przedwcześnie, odchodzili już na stałe. Towarzyszył im w ostatniej drodze. Z cmentarza wolnym, ale zdecydowanym krokiem podążał do „Wenecji”. Tam monosylabami zdawał relację z pogrzebu i czekał na poczęstunek należny mu od bywalców za zaspokojenie ich ciekawości.

A kiedy przestano już dopytywać się o świeżą mogiłę, pograżał się w kontemplacji butelek na półkach. Rozmaite wstrząsy targwały wtedy życiem. Wojna, klęski, zwycięstwa. Bywały wódki w rytmie zbliżającej się lub oddalającej kanonady artyleryjskiej. Padali sobie najbliżsi w ramiona, spotykając się po latach, i wołali: – Dla wszystkich kolejka!

Wbiegali do „Wenecji” ludzie z niezwykle nowinami. Wujcio kiwał głową i patrzył w mieniające się kolorowe szkło butelek na półkach. Nie poruszały go dalekie wstrząsy ani lokalne sensacje.

Nawet to, że nocą aresztowali Eleganta, a pani Ada, manikiurzystka, wybiegła w szlafroku na ulicę i łkając wołała: – Nie zabierajcie go!

Elegant, starszy, jowialny jegomość z okrągłym brzuszkiem, sprowadził się do naszego miasteczka po powstaniu. Zamieszkał u pani Ady i codziennie widywało się ich oboje na dostojnym spacerze po parku. Elegant ubierał się z wielką starannością, przeważnie w ciemne prążkowane garnitury, lustrzanego połysku golfy ochraniał getrami. Jedynie podczas letnich upałów nosił kremową bombajkę z krótkimi rękawami i słomkowy kapelusz. Wpadał też do Dziadka na jednego i nie zapominał przy tym o Wujciu, stawiając mu hojnie. Kilka razy wykosił w bilard najlepszych tutejszych graczy. I aresztowali go nocą. Wrzało od domysłów. Elegant był przedwojennym kasiarzem. To jedno było pewne. Wszystkim z podniecenia błyszczały oczy. Tylko Wujcio siedział milcząc przy barze i patrzył na półki. Najdłużej zatrzymywał wzrok na barwnych nalepkach firmy Baczewskiego. Trzymał Dziadek te puste przedwojenne flaszki z czystego sentymentu. Patrzył więc Wujcio i nic nie zakłócało jego raz przyjętej roli milczącego gościa tego szynku. Nawet wygląd pozostawał bez zmian. Żółta, nieco nalana twarz, która unikała słońca, rzadkie włosy uczesane w staroświecki przedziałek pośrodku i znużone oczy obwiedzione sinymi otoczkami.

Przychodził tu jeszcze przed wojną. Tak mówił Dziadek.

A my w tym czasie stanowiliśmy kolejne pokolenie, które wstępować zaczęło na jednego do „Wenecji”. Dziadek nazywał nas studenterią. Goliliśmy wódkę tego, z całej mocy zdrowych, odpornych organizmów.

Popijając spoglądaliśmy z ciekawością na milkiwego sąsiada przy szynkwasio. Za nie-mały zaszczyt poczytywaliśmy uściśnięcie jego miękkiej, jak bez kości prawicy. Mieliliśmy w tym pewne ułatwienie, gdyż jeden z nas, Bolek, był synem doktora. Wujcio odpowiadał na nasze pozdrowienia niedbałym skinieniem głowy i poczęstunek w postaci zwyczajowej setki przyjmował tak samo jak od węglarzy czy innych tutejszych bywalców. Po wódce wcale nie stawał się rozmowniejszy. Wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że niegdyś, w zamierzchłej przeszłości, studiował, razem z doktorem, jeździł za granicę, nieliczne zdjęcia z rodzinnego albumu, które pokazał nam Bolek, przedstawiały młodego, życzliwie uśmiechniętego człowieka o krótko ostrzyżonych włosach, z melonikiem w jednej dłoni, a laseczką w drugiej.

– Jak tam u niego z babami? – dopytywał któryś z nas, wstydliwie obmacując pęczniejące na twarzy krosty.

– Machnął ręką na wszystko – mówił Bolek – w pewnym momencie tak zrobił i nie wiadomo właściwie dlaczego...

Opowiadał jeszcze Bolek, że w domu stryj przesiaduje przeważnie w pokoiku na górcie i tylko do niedzielnych obiadów zasiada razem ze wszystkimi.

– Jakby go nie było – kończył Bolek – siedzi sobie jak mysz na górcie, czasem podłoga skrzypi, spaceruje, lubi spacerować.

Właściwie cały dzień spędzał Wujcio w „Wenecji” i tam był jego dom. Ten dom jednak już trzeszczał w posadach. Dziadek wyrwał sobie ostatnie włosy z głowy i zadawał zaufanym gościom nerwowe pytanie: – Zamykać czy nie?

Interes stawał się niepewny. Dziadek stanął wobec konieczności likwidacji. Kiedy pytał, wygląd miał naprawdę tragiczny, gdyż ta knajpa o szumnej nazwie „Wenecja” była całym jego światem.

W odpowiedzi na to natarczywe pytanie Wujcio wzruszył ramionami, a choć Dziadek czekał w napięciu na jego zdanie, milcząc rozłożył ręce i jedynie z nikłym ożywieniem w oczach przyjął szklaneczkę wódki, którą Dziadek podsunął mu osobiście.

– Nie ma co zamykać – zamruczał wreszcie – samo się zamknie...

Wskazującym palcem trącił ogromny brzuch Dziadka, tym samym gestem przytknął palec do swojej piersi. Dziadek z całą powagą pokiwał głową. Dla nas w tej odpowiedzi zabrzmiały zagadkowe treści. Podsunęliśmy się do Wujcia. Czekaliśmy na dalsze słowa proroka. Wabiliśmy go wódką. Składaliśmy się, przetrząsając kieszenie. Przyjmował poczęstunek. Trącał się z nami szkłem. Nic więcej nie powiedział. Też milczeliśmy. Onieśmiał nas jakoś. Onieśmiał i fascynował. Naśladowaliśmy go skrycie. Niektórzy z nas uczyli się w samotności jego niezwykłego kunsztu wychylania setkowej szklaneczki. Podczas picia bezskutecznie próbowaliśmy być małowówni tak jak on. Andrzej Łogwinow widział w nim szulera z okładki jakiejś powieści brukowej. Dla niego był to nie tylko karciany gracz, ale ktoś, kto gra o najwyższe, ludzkie stawki.

A Włodzio, który wcześniej zaczął się interesować polityką i określał Wujcia mianem „relikt”, w jego obecności nie mądrzył się przeciw.

Nie wiadomo, czy wiedział Wujcio o naszej adoracji. Czy sprawiała mu jakąś przyjemność? Zapewne traktował nas tak samo jak poprzednich poszukiwaczy alkoholowych miraży. Tyłu ich przecież przepłynęło przez „Wenecję”. Może byliśmy mu nieco bliżsi z powodu Bolka. Choć nie jest to pewne. Bolek kiedyś zalał się przedwcześnie i próbował dotrzeć do drzwi. Gięły mu się nogi, trzewiami szarpała wódka i ślepymi ruchami rąk poszukiwał klamki. Widowisko było humorystyczne, rechotali węglarze. Wujcio obrócił się nieco i popatrzył. Popatrzył tak obojętnie jak na innych, którzy zazwyczaj padali u Dziadka o późnej porze. Komentowaliśmy to potem i Bolek uśmiechał się wstydliwie. Młodzi byliśmy. Czas naszego

życia dopiero się zaczynał. Tak nam się wydawało, i mieliśmy niebywałe zamiary. Wódka buzowała w nas samą przygodą i radosnym uniesieniem. Gdzieś w pobliżu siedział Wujcio. Potrzeba nam było jego obecności. Aż raz zabrakło go przy barze.

Bolek powiedział: – Nie wstał z łóżka, mówię: idę do „Wenecji”, a on nic, dalej leży.

Dziwiliśmy się. Ale krótko. Były inne sprawy do omówienia. O dziewczynach. O bijatyce na ostatniej zabawie w sali parafialnej. Tak gawędząc siedzieliśmy do późna. Tylko na dźwięk dzwonka nad drzwiami oglądaliśmy się mimowolnie. Dziadek też.

Następnego dnia odsypialiśmy dosyć długo. I kiedy wyszliśmy na spacer, dopadła nas wiadomość o śmierci Wujcia. Cały dzień przeleżał. A wieczorem usnął i już nie obudził się więcej. Bolek mówił i palił papierosa za papierosem. Palce mu lekko drżały. Poszliśmy do „Wenecji”. Jego miejsce przy szynkwasiu puste. Piliśmy. Ale rozmowa się nie kleiła. Więc piliśmy w milczeniu. Łapczywie, kolejka za kolejką. Andrzej Łogwinow z jakimś węglarzem zajadł awanturę rozpoczął. Od słowa do słowa, bić go chciał.

– Ja ci!!! – bełkotał i oczy miał jak byk krwią nabiegłe.

Z trudem go Dziadek przytrzymał. Chyżo zza lady wyskoczył i brzuchem go do ściany przyparł. Brzuch miał jak balon i twardy. Potrafił wojowniczość z człowieka wycisnąć.

– Stawiam kolejkę – powiedział Dziadek, kiedy Andrzej Łogwinow ochłonał.

Popiliśmy wtedy. Późną nocą wychodziliśmy z „Wenecji”, trzymając się pod rękę i śpiwając *Manianę*. Dziadek kratę za nami na drzwi zaciągał. Latarnia na rogu rzucała skąpe światło. Spały kamienice, wysokie niebo nad nami.

Andrzej Łogwinow zatacza się i potyka. Chwytny go pod rękę. Wlecze się bezwładnie po chodniku.

– Skończyła się nasza młodość – mówi w pijackim rozrzewnieniu, mocując się ze słowami jak tragarz, i łzy cieką mu po policzkach. Ciemna, letnia noc. Zapach taki. Kwitną lipy. Choć nie wiadomo. Zawsze nam wtedy czymś odurzającym pachniało.

## Boa dusiciel

Raz tam na wystawie pojawiła się mysz. Była noc. Między klatkami z kolorowymi ptaszkami i łaciatymi świnkami morskimi buszowała zwykła szara mysz. Chwilę nawet popatrzyliśmy na siebie. Jej ślepki jak paciorki i moje oczy. Po kilku sekundach szybkim truchtem pobiegła w głąb sklepu.

W ten smutny, dżdżysty dzień zwabiła mnie do sklepu zoologicznego gromadka ludzi tłocząca się przy drzwiach. Przeważnie dzieci. Ale byli też starsi. Poszedłem za nimi. Zatrzymaliśmy się przed obszerną szklaną klatką, umocowaną na półce nad żeberkami centralnego ogrzewania. W tej klatce znajdował się egzotyczny wąż. Jasnożółty, podpalany, naznaczony był brązowym, kunsztownym deseniem. Sploty grubości dziecięcego ramienia, nad nimi uniesiona na metr wąska, niewielka, nieco spłaszczona głowa. Wyglądał jak odlew. Patrzyły na nas nieruchomo jego czarne oczy.

W ciemnym, dusznym wnętrzu sklepu świergotały ptaki. Zatykał przykry zapach odchodów. Dziewczynka z mysim warkoczykiem wyciągnęła torebkę. Poruszała się pewnie i z wdziękiem. W torebce miała kaszę. Właściciel sklepu, stary pan Bernardt, skinał głową. Dziewczynka przez pręty jednej z klatek odsypała trochę kaszy do spodeczka. Królewski ptak ze złotymi oczyma zaczął dziobać od niechcenia. Jego sąsiadki, dwie papużki nierozłączki, sfrunęły z górnej poprzeczki i nastroszyły łebki. Rozjazgotały się kłótnie. Miały jaskrawe upierzenie i sprawiały wrażenie wymalowanych. Wąż nagle się poruszył. Odruchowo cofnęliśmy się. Dzieci zapiszczały. I znieruchomiał. Tylko uniósł się wyżej. Właściciel sklepu, stary pan Bernardt, uśmiechnął się dobrotliwie. Nałożył okulary na cienki, pożyczowany nos, zbliżył się do terrarium i postukał w szklaną taflę. Wąż ani drgnął. Jego maleńkie oczy też.

– Młody boa – powiedział.

Wrócił za ladę.

– Dusiciel – dorzucił stamtąd.

Dzieci obejrzały jeszcze akwarium pełne czerwonych rybek i tajemniczej roślinności. Potem spróbowały podrażnić gadatliwe papużki. Pan Bernardt skarcił je groźnym syknięciem.

Wkrótce poszły sobie. Sklep opustoszał. Przy klatce z węzem boa pozostaliśmy tylko my dwaj: ja i mężczyzna w średnim wieku, nieogolony, ubrany w waciak i gumki.

– Dusiciel – powtórzył.

Nie odrywał oczu od terrarium. Wąż poruszył się znowu. Był to widok wspaniały. Jego grube sploty sprężyły się elastycznie i zmieniły ułożenie. Oplótł miednicę z wodą, która stała na środku szklanej klatki. Te esy-floresy jego zwojów... Geometria miękkich, falistych linii. Wyobraziłem sobie, jak oplata swoją zdobycz. Coraz ciaśniej. Zatyka już oddech. Trzeszcza kości.

– Kąpie się on czy co? – odezwał się ten w waciaku.

– Raczej pije wodę – powiedziałem.

Mężczyzna w waciaku wysunął powoli rękę. Palce miał pościerane, grube i brudne. Przynął dłoń do szyby i zaraz ją cofnął. Wreszcie dotknął palcem szkła. Dokładnie na wysokości głowy węża boa. Po chwili przyłożył całą dłoń. Przesunął nią lekko po szkło. Twarz miał napiętą, wyczekującą. Wąż pozostał nieruchomy jak rzeźba.

– Na sprzedaż on jest... – odezwał się półgłosem ten w waciaku.

– Kosztuje trzydzieści tysięcy – odparł pan Bernardt.

Siedział na wysokim krześle przy ladzie. Ścianę za nim zdobiły wypchane ptaki: cietrzew, bażant i jastrząb. Pokryte kurzem i sypały się z nich trociny. Wieszak był z rogów jelenia i tam wisiał płaszcz, kapelusz i parasol.

– Trzydzieści tysięcy – powtórzył mężczyzna w waciaku. Jego palce nieprzerwanie gładziły szkło klatki.

– Ciekawe, jaki on w dotyku... Mokry? Zimny? Ciepły? – przygryzł wargi, przesunął dłoń po policzku. Jego waciak był wilgotny, wydierał kwaśną woń przepoczonej odzieży.

– Czy taki da się oswoić? – odezwał się po chwili. – Czy przywiąże się do człowieka?

– Wszystko możliwe – powiedziałem bez przekonania.

– A jak go karmić... – zastanowił się mężczyzna w waciaku. – Przecież może drapać znieścacka.

Stary pan Bernardt uniósł głowę znad lady i zaniósł się piskliwym śmiechem. Jak ptak. W sklepie było mroczno i smrodliwie. Nieustanny świergot. Ptaki w klatkach, choć tak blisko węża, nie zwracały wcale na niego uwagi, pogrążone w ptasim zaaferowaniu. Nawet te małeńkie, podobne do kolibrów. Również te wszystkie świnki morskie, białe myszy i szczury żyły swoim ruchliwym życiem w najbliższym sąsiedztwie terrarium umieszczonego na półce ponad żeberkami centralnego ogrzewania.

– I te oczy... – powiedział mężczyzna w waciaku. – Cały czas patrzą... Widzą wszystko – głośno przełknął ślinę. – Ten łebek taki mały, a podobno może połknąć prosiaka... Dusi jeszcze większe.

Stary pan Bernardt popatrzył uważnie na niego.

– Dorosły dochodzi do pięciu metrów długości, gruby jak konar drzewa, i krowę może zadusić – przechylił się przez ladę i w tej swojej małej czapeczce z włóczki, z siwymi, puszystymi włosami na skroniach jak średniowieczny alchemik wyglądał.

Też popatrzyłem na mężczyznę w waciaku. Twarz miał pospolitą, pokryte rzadkim zarostem policzki i znaczne luki w uzębieniu. Oddychał nierówno, coś mu w płucach rzęziło.

Długo tak staliśmy. Aż pan Bernardt postukiwać zaczął kościstymi palcami w kontuar, zniecierpliwiony naszą przedłużającą się obecnością w sklepie.

Mężczyzna w waciaku wyciągnął z kieszeni paczkę pomiętych sportów. Palce mu wyraźnie drżały. Zapalił papierosa.

– Tutaj palić nie wolno – skorzystał z okazji stary pan Bernardt i wymownie pokazał drzwi.

Wirowało mi w głowie. Wirowało w oczach. Niecierpliwy głos właściciela. Zapatrzony w szklaną klatkę człowiek. Tam w niej młody boa, gruba, wzorzysta spirala z uniesioną w górę czujną, podłużną głową, naznaczoną czarnymi przecinkami oczu.

Ująłem mężczyznę w waciaku pod ramię. Pociągnąłem za sobą. Bez sprzeciwu dał się wprowadzić ze sklepu. Dopiero na ulicy po raz pierwszy na mnie popatrzył

– Piękny – szepnął.

Szybko odszedł.

To miejsce przed wystawą zoologicznego sklepu gdzie pełno było wesołych, barwnych ptaków, wydało mi się dziwnie mroczne i wciągające jak głęboka studnia.

## Złoty blask

W tamtych czasach dworzec to była giełda. Całe nocne miasto przychodziło na dworzec. Śmietnikowa brać zaległa ławy. Uliczne dziewczyny krzepiły się piwem przy bufecie. Doliniarze masowali swoje chwytny łapki, które były ich narzędziem pracy. Przed świtem robiło się najtłoczniej. Bywalczy nocnych lokali zataczając się chodzili między ławkami i przyglądali się śpiącym kobietom. Twarze mieli wymięte, kołnierzyki białych koszul brudne, poznaczone szminką, i przekrzywione krawaty. Głosy z megafonów zapowiadały pierwsze ranne pociągi i doliniarze wyciągali szyje, spoglądając w stronę peronów oświetlonych jeszcze latarniami. Oczekiwali na tłum przyjezdnych.

A wódkę można było kupić w kłozecie. Trzymała starucha butelki w kubie przykrytym szmatami i osłoniętym wiklinową miotłą. Ludzie zachodzący tutaj po nocnych trudach krzepili się chętnie wódką, pragnąc rozluźnić napięte wilczym znojem nerwy. Pili prosto z butelki i dzielili się garściami zmiętych banknotów, zajmując w dworcowej hali ciemne, nieoświetlone kąty. Otoczony brudną szarówką ustępującej nocy, budynek dworca kipiał potajemnym życiem. Niekiedy przeraźliwy wrzask wybijał się ponad ciche, zduszone szepty. Mogła to być kłótnia przy podziale łupów, protest oszukanej ulicznicy czy spór podczas gry w karty. Wrzask gasł raptownie, kiedy tylko w oddali załomotały mocne, miarowe kroki milicyjnego patrolu.

Dworzec to było dla mnie magiczne oko nocy. Ciągnął jak magnes. Czuję się wyzwolony z dziennych, nużących więzów, fantazji rosły skrzydła. Ponadto ciekawili mnie wszyscy ci występnicy nocy i ich przyjazne kiwnięcie głową było dla mnie nie lada przyjemnością. Bywali tu rozmaici. Tacy jak Baron, mężczyzna uróżowany jak kokota, z cienkimi, ostrymi wąsikami, w utrefionej peruce, cały jak z dziwnego snu. Albo sławny podobno Poeta, który tutaj czekał słów. Tej nocy obserwowałem łowców kobiet. Bo dworzec tamtych lat to nie tylko miejsce podejrzanych spotkań, ale również targowisko dziwek. Można je było stąd wybierać jak z saka. Rozmaitego gatunku. Wsiowe, co na podbój męskich serc wyruszyły do miasta i drzemały na ławkach, marząc o miękkim łóżku. Uciekinierki z rodzicielskich domów. I inne, inne jeszcze. Tu grasował przecież Demon-Roliński, lubieżny staruch, kawaler Virtuti Militari za dwudziesty rok i impresario słynnej na cały kraj kapeli ludowej. Co noc jakąś stąd wyprowadzał ten staruch o kredowej twarzy i z sinymi podkowami pod oczyma.

Więc snulem się po poczekalni jak zaczadzony. Pożerałem ten wirujący mroczny świat. Za tablicą z rozkładem jazdy znalazłem rozmemłaną, wczepioną w siebie parę. Ona była jak piec chlebowy, gorąca i rozparzona zakisłą, duszną nocą na dworcowej ławie. Czoło miała niskie, oczy chytne, wyuzdane. Pracował przy niej pewien sutener, suchy, z przylizaną brylantyną fryzurą. Obmacywał ją po piersiach. Ona kiwała sennie głową, obojętna i nieczuła. Jego paluchy wcisnęły się pod spódniczkę, ruchliwe i wstrętne robaki. Sapnęła przez nos i starannie obciągnęła spódniczkę na jego dłoni. Ten erotyzm, co kipiał i przelewał się z rozparzonych cielsk i oślizgłych od potu zwierzęcych twarzy, ciągnął mnie nieprzeparcie. Ten erotyzm, co cuchnął jak ryba i kłębił się po kątach, kiblach i pakamerach, włąził do pustych wagonów na bocznicach – usłużni kolejjarze mościli sianem legowiska dla parzących się par – miał we mnie baczego obserwatora i zwykle dworcowa noc wypływała mnie na światło dnia z głową pęczniejącą od wrażeń. Moja krew się burzyła. Było to jak owoc zakazany. Zbliżałem się i cofałem, pełen strachu i pożądliwości. Kurewska pieczęć parzyła i torturowała wymyślnie.



Twarz miałem gładką, młodzieńczą, lecz pod spodem ciemne, ropiejące miejsca. Patrzyłem więc chciwie. Tym razem moją uwagę przykuła ta para za rozkładem jazdy.

Znałem tego sutenera. Nieraz pod kawiarnią „Domino” prowadzał swoje stado, po trzy, cztery dziewczyny, które przyuczał do zawodu nie żalując razów twardą ręką. Wołali na niego Bobek, i dziś był bez żadnych widoków na nocleg.

– A ta sztuka też bez chaty – rzekł – przyjechała z Przasnysza.

Dziewczyna z Przasnysza rozziewała się głośno i mechanicznym, wyuczonym uśmiechem odpowiedziała na spojrzenie jakiegoś eleganta, który pojawił się nagle w pobliżu. Sutener gestem właściciela ścisnął ją za ramię. Zaprosiłem ich do swojego domu. Sutener Bobek rozpromienił się cały, wokół oczu pojawiły się promieniste zmarszczki, wyszczerzył tych kilka zębów, które mu pozostały na przedzie.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedział.

Opuściliśmy poczekalnię. Szliśmy przez salę restauracyjną. Złote sygnety na grubych palcach paserów pijących przy bufecie piwo zagorzały brutalnym, przykuwającym blaskiem, i one, te sygnety, symbolizowały dla mnie występłą moc dworca. Sutener Bobek znał tu wszystkich. Pozdrawiano go i cmokano do dziewczyny. Śmietnikowy obdartus usłużnie otworzył nam drzwi. Na zewnątrz ciemność już się przerzedziła. Nastawał ranek. Dworzec obnażył się i wylazła szara, liszajowata szpetota tego niskiego, pokracznie rozsiadłego budynku.

Światło jak kapuś obnażało niedawne sekrety. Dziewczyna twarz miała rozmięktłą, błyszczącą tłusto, z dużymi porami w skórze. Sutener Bobek w obszernej, pomiętej i wyplamionej wiatrówce wyglądał jak strach na wróble. Nic z tajemnicy i złej siły. Po prostu brudny i mały występek. Ale była to tylko krótka odsłona zwątpienia. Światło dnia jeszcze nieśmiałe, wątle. Moje zniechęcenie też ledwo zakiełkowało i zaraz zgasło. Odpowiedziałem uśmiechem pełnym gotowości na spojrzenie sutenera Bobka. Był jednym z dworcowych ludzi. W ten sposób jesteśmy razem. Wypłuła nas noc i podążamy w jedną stronę.

Pojechaliśmy kolejką EKD do domu moich rodziców, na peryferie miasta. Sutener Bobek szydził z ludzi śpieszących do pracy.

– Woły! – krzywił błazeńsko twarz. – Woły!

Dziewczyna chichotała. Też śmiałem się z tych zapędzonych. Nie czułem wcale zmęczenia ani senności. Byłem lekki i rześki. Oko rejestrowało urodę zaczynającego się dnia. Pamięć nocnego kłębowiska była wyrazista jak fotografia. Na tej fotografii utrwaleni ci wszyscy, którzy wraz z końcem nocy rozpełzli się gdzieś i zniknęli. Co oni robią teraz?

Popatrzyłem na dziewczynę. Była masywna, piersi rozpychały nylonową żółtą bluzkę, i szła drobnym krokiem, przetaczając biodrami i wielkim zadem. Stopy, wbite w ciasne szpilki, miała spuchnięte i w porannym słońcu posiniałe.

– Będę miał na czym popracować – zachrypiał sutener Bobek – taki warsztat.

Ta nadmierna, wybujała zmysłowość dziewczyny niepokoiła najbardziej. Przykuwała wzrok. Poczulem żarłoczny niepokój. Zapragnąłem uwolnić się od natręctwa jej ciała. Opuściłem głowę. Szliśmy wyboistą uliczką wśród drewnianej, parterowej zabudowy przedmieścia. Błyszczała rosa na trawie. Staruszki podążały do narożnego sklepu. Było cicho, spokojnie i poczciwie.

– Daleko jeszcze? – zapytała dziewczyna. – Nóg już nie czuję.

Zsunęła ze stóp buciki na wysokich obcasach. Pokazały się udęczone, pokurczone palce. Poruszała nimi z rozkoszą.

Stary piekarz, który wracał z nocnej zmiany, obejrzał się za nami. Obsypany mąką, niczym biały anioł wyglądał.

Byliśmy na miejscu. Dom był pusty, o tej porze rodzice wychodzili do pracy. Dziewczyna wstąpiła na schodki.

– Nareszcie – przeciągnęła się leniwie.

Przed sobą miałem jej wypukły, obciągnięty spódnicą zad. I wtedy naszedł mnie widok sypialni moich rodziców i tego szerokiego, małżeńskiego łoża, które wkrótce zamieni się w skłębione, podrygujące i kwiczące grzędawisko; poznaczona mokrymi plamami pościel i dwa konwulsyjne, walące o siebie z miękkim, potliwym kłaskaniem ciała. Wyobraziłem sobie tę dziewczynę z Przasnysza jako źródło niewyczerpanej żądz i rozbestwienia, burzącą doszczętnie cichy ład sypialni moich rodziców. Znowu chwyciłem mocno te wymykające się cugle wyobraźni i powoli, opanowując drżenie palców, wsunąłem klucz do zamka. Otworzyłem kuchenne drzwi. Pierwsza weszła dziewczyna. Za nią sutener Bobek. Kiedy zamykałem drzwi, w oczy uderzył złoty blask z blaszanego pudła na chleb, które stało na kredensie. Spojrzałem tam ponownie i nic już nie zabłysło. Moja matka, śpiesząc się do szkoły, niekiedy zapomniała nałożyć na palec grubą ślubną obrączkę z dukatowego złota. Obrączka pozostawała na blaszanym pudle. Tym razem nic tam nie leżało. Sutener Bobek usiadł przy stole i podsunął sobie kubek z kwaśnym mlekiem. Słoneczny promień oświetlił pustą pokrywę blaszanego pudła. Ślubna obrączka mojej matki. Jej fotografia z tamtych lat. Młoda, ładna dziewczyna o wyrazistych oczach. Dla mnie w tym była czystość dawnych czasów. Czasów, które minęły niepowrotnie. Patrzyłem na dłoń sutenera Bobka. Palce miał pokryte ciemnymi smugami i długie, szponiaste paznokcie, obwiedzione czarnym szlaczkiem brudu. Chciwymi łykami chleptał kwaśne mleko. Uśmiechnął się.

– Co tak się gapisz?

Znalazłem się w potrzasku. A jeżeli posądzam go niesłusznie? Widziałem już jego czerwone, wściekłe oczy jastrzębia. Widziałem również matkę po utracie obrączki i jej oczy wpatrzone we mnie z niemym wyrzutem. Sutener Bobek wszedł drugi. Równocześnie od blaszanego pudła mignął złoty blask. Pomysł nasunęła jego rozpięta, luźna wiatrówka i bardzo brudne dłonie, którymi oburącz teraz ujął kubek z mlekiem.

– Może chcesz się umyć? – zapytałem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Po chwili skinął głową. Spod zlewu wysunąłem miednicę, nalałem do niej wody. Postawiłem na taborecie.

– Czyścioszek! – zachichotała dziewczyna.

Siedziała rozwalona na krześle. W niedopiętej bluzce luźno pływały jej białe piersi. Sutener Bobek zawinął rękawy bluzy i zanurzył dłonie w wodzie. Sięgnąłem po ręcznik. Działąłem jak w transie. Już tylko obrączka zaprzętała mi głowę. Byłem cały napięty i działałem przebiegle. Rozwinąłem ręcznik i tak nim manewrując, żeby osłonić widok z boku, wolną dłoń wsunąłem ostrożnie do kieszeni jego bluzy. Namacałem pomięte papierosy i coś mokrego, ohydnego, pewnie chusteczkę. Podałem mu mydło. Otarłem się mocno o jego ramię i wsunąłem dłoń do drugiej kieszeni bluzy. Szperałem wśród paprochów. Palce dotknęły śliskiego, okrągłego metalu. Wyłowiłem przedmiot z kieszeni. Była to obrączka mojej matki.

– Ukradłeś – powiedziałem i więcej we mnie było smutku niż złości.

Poczułem znużenie. Nie wiedziałem, co mówić dalej. Błysnąłem żółtym metalem przed jego oczyma. Odbiło się słońce. Schylił głowę jak przed uderzeniem. Mokrymi dłońmi osłonił twarz. Ściekała po nich woda. Jego pokryte rzadkim zarostem policzki zaświeciły tłusto. Widziałem czarne kropki wągrów na nosie. Dziewczyna popatrzyła na nas sennymi oczyma.

– O co się kłóćcie? – zapytała.

– Tak wszedłem... – wymamrotał sutener Bobek – to złoto tak zaświeciło... Uciekł oczyma przed moim spojrzeniem.

– Tak zaświeciło... – powtórzył – samo wlało do łapy.

Dziewczyna zrozumiała wreszcie, o co chodzi, i zaczęła się śmiać hałaśliwie. Śmiała się uderzając bosymi stopami w podłogę. Kusa spódniczka zawinęła się i wysoko odsłoniła uda. Dalej był wciągający jak bagno mrok. Przypomniałem sobie swoją miłość z domu naprzeciw, smukłą, jasnowłosą i wielkooką dziewczynę. Była to miłość niema, pełna jedynie smutnych spojrzeń.

Otworzyłem kuchenne drzwi.

– Gdzie ja teraz pójdę? – uzalił się nad sobą sutener Bobek i posłusznie skierował się do wyjścia. Skinął na dziewczynę.

– Idziemy – mruknął.

– A czy ja tu mogę zostać? – zapytała ciągle się śmiejąc.

Pokiwałem pospiesznie głową. Zamknąłem drzwi na klucz. Wróciłem do tej dziewczyny z Przasnysza. Dłonie miałem mokre od potu (w jednej ścisnąłem odzyskaną obrączkę) i serce biło nierówno.

## Dom przeznaczony do rozbiórki

Była to kawiarnia stara i mroczna jak dawno zapomniany świat. Dom, w którym się mieściła, został przeznaczony do rozbiórki. Światło dnia nie docierało tutaj wcale. Od dawna wybierałem tylko takie miejsca. W moim mieście jest ich coraz mniej. Wymierają jak ludzie.

Siedziałem w kącie, sącząc lichą kawę i paląc papierosa. Ludzi było niewielu, i przeważnie bywalcy. Koścista kobieta w pomiętym fartuchu krzątała się za ladą, odmierzając winiak do szklanek. Przekomarzał się z nią mężczyzna o nalanej twarzy, do którego ona mówiła „Danusiu”.

Ten o nalanej twarzy głos miał piskliwy, cienki. Rozglądał się, rzucając zalotne spojrzenia na mężczyzn. Zresztą w tej kawiarni oprócz bufetowej były tylko dwie kobiety, omotane w grube warstwy ciuchów handlarki z bazaru, które śliniąc palce liczyły pieniądze. Mężczyzna o nalanej twarzy był podpity. Kolarze zajmujący stolik pod piecem, między łykami wódki wypijanej ukradkiem z trzymanej w teczce butelki, podkpiwali z niego ordynarnie.

– Nie stój tak!

– Kartofle pogubisz!

Kobieta za bufetem parsknęła śmiechem.

– Ja sobie wypraszam! – pisał mężczyzna i poczerwieniał. Sprawiał wrażenie zapędzonego pedała, który ma świadomość braku widoków na spełnienie dokuczliwych pożądań. Rządził się chciwie winiakiem, częstując również bufetową. Ona wypila, pochylając głowę pod ladę. Na ścianie ponad bufetem umieszczony był święty obrazek, Matka Boska Częstochowska, z podwójną szramą od szwedzkiego rapiera na policzku.

Siedziałem w kącie i przebierając łyżeczką w grubej warstwie fusów na dnie filiżanki błędnie spałym wzrokiem po niewyraźnych, zamazanych twarzach i porysowanych, lizżajowych ścianach musztardowego koloru. Zatrzymałem spojrzenie w oknie. Miałem widok na jasną, słoneczną ulicę pełną ludzi. Był to inny świat. Zapaliłem kolejnego papierosa, patrząc wrogo i zazdrośnie na ulicę. Oczy rejestrowały twarze kobiet i ich według najnowszej mody opięte dzinsowymi spodniami pośladki i uda. Widziałem też piersi. Niektóre strome, wyzywające i odsłonięte w głęboko wyciętych dekoltach bluzek. Były to młode dziewczyny. Nie mój świat. Należałem już do przeszłości. Rozpamiętywałem i grzebałem w warstwach odległych, minionych lat. Ale ten świat ulicy, młody i beztroski, wabił i przyciągał wzrok, który jak pies na łańcuchu wrywał się tam. Opuściłem głowę.

Te spodnie oblepiające pośladki i uda dziewcząt...

Pewien mój znajomy powiedział: – One to spodnie rano moczą i mokre nakładają na siebie. Tak chodzą, aż wyschną. W ten sposób robią się dopasowane. Mają zdrowie te dzidziury – zakończył niechętnym, zrzędlwym głosem.

Wtedy śmiałem się z niego. Z tej jego niechęci. Teraz nie. Przerażliwie skrzypnęły drzwi i w progu stanęli otyli Cyganie, muzycanci. Najstarszy, brodaty dźwigał kontrabas. Popatrzyli na szare, mętne wnętrza kawiarni i odwrócili się ze zniechęceniem.

Potem przyszedł młody żołnierz, z wyglądu prowincjusz zagubiony w mieście. Zainteresował się nim pedał. Otarł się o niego dosyć nachalnie i zaproponował kieliszek. Kolarze siedzący pod piecem zarechotali. Kobieta za ladą wykrzywiła swą zniszczoną twarz starej ulicznicy. Żołnierz odsunął się i stanowczo odmówił. Zaraz wyszedł.

Pogonił za nim piskliwy głos pedała: – Dlaczego uciekasz, laleczko? – Szeroko wyciągnął ręce. Wyglądał jak ślepy myśliwy, który miota się po omacku. Zatoczył się pod piec, na mężczyzn raczających się wódką z butelki ukrytej w teczce.

Jeden z nich uszczypnął go w pośladek.

– Dupę ma rzadką – stwierdził. – Do niczego. – Znow zarechotali. Najgłośniej śmiała się bufetowa.

Pedał znalazł się przy moim stoliku.

– Za wsiarz łachudrę, kolego! – poradzili kolejarze.

Odepchnąłem go. Był już bardzo pijany. Oczy miał powleczone szklivem i z ust wydobywał się nieartykułowany bełkot. Budził obrzydzenie. Kobięca miękkość w połączeniu z brzydką, nalaną twarzą była groteskowa. Osunął się na podłogę i zaraz usnął. Bufetowa i ci spod pieca naradzali się niemrawo.

– Zadzwoń po radiowóz – powtarzał jeden z kolejarzy. – Przyjadą i go zwiną.

– A ten automat na rogu przecież popsuty – przypomniała sobie bufetowa.

– Chce być babą – powiedziała starsza handlarka dłubiąc w nosie czerwono lakierowanym paznokciem. – Uparł się, głupi...

Kolejarze zaczęli ją namawiać do wódki. Przestali się interesować śpiącym pedałem.

Jeszcze dosyć długo siedziałem w tej kawiarni, pogrążony w jałowej medytacji. Żadna myśl nie ożywiała, były połamane i bez skrzydeł, pelzały niemrawo i rozłaziły się jak breja. I wtedy przypomniałem sobie dziewczynę, którą zobaczyłem w autobusie. Była bardzo młoda, twarz miała czystą i świeżą, popielate, długie włosy lśniły w słońcu. Ogarnęło mnie wzruszenie, wyobraziłem sobie spotkania z nią, pełne uniesień jak za dawnych lat. Dziewczyna wysiadła na następnym przystanku, wysiadając spojrzała na mnie przelotnie. I już chciałem pobic za nią i powiedzieć jej wszystko. Wtedy pomyślałem o swojej zmęczonej twarzy, o oczach zmętniałych i bez blasku, o całym tym ciężarze lat, który dźwigam w sobie. Pozostałem w autobusie. Kobieta za ladą podkreśliła gałkę głośnika zawieszona na ścianie i jak piach w zębach zazgrzytały głosy starych wiejskich bab, zawodzących ludowe przyśpiewki. Wtedy wyszedłem z kawiarni.

A kiedy drugi raz tam się znalazłem, zaczęła się już rozbiórka tej kamienicy. Okna bez szyb ziały opuszczeniem i zagładą. Pochylając się pod rusztowaniem oplatającym mury, wszedłem do wnętrza. Zerwane podłogi. Spod nóg wyprysnął sparszywiały kot. W kącie stały puste butelki po winie. Smród moczu i stęchlizny. Tynk osypywał się z sufitu i widać było poobtlukiwane resztki misternej rozety. Na ścianie prostokątny, jasny ślad po Matce Boskiej Częstochowskiej. Niedługo tam pozostałem. Omijając gruz i odchody, wyszedłem na ulicę. Ruszyłem szybkim krokiem nie oglądając się za siebie.

## Wigilia

Za grypsowanie z sąsiednią celą poszedłem do karca. Pierwszy raz szedłem do karca. Chiński Ptak, mały, zasuszony klawisz z rzadką bródką, trącąc kluczymi, prowadził mnie długim korytarzem izolacyjnego oddziału. Dzień był wigilijny, więc tych czterdzieści godzin karca miało przypaść na Wigilię i Pierwsze Święto. W głowie pętały mi się głupie myśli o tradycyjnym wieczornym żarciu i choince. Na wolności spędzają ludzie ten dzień w gorączkowej, wesołej bieganinie. Chiński Ptak otworzył ostatnie drzwi po lewej stronie korytarza i wepchnął mnie do karceru. Cela była mała, ciemna, z góry rzucała skąpe światło odrutowana żarówka. Z cementowej nary podnieśli się dwaj mężczyźni. Trzeci siedział w kącie odwrócony plecami. Ci dwaj patrzyli na mnie uważnie.

– Przygoda – odezwał się ochryple jeden z nich – jestem Przygoda. A ty kto?

– Ja z małolatki – odparłem.

O tym Przygodzie słyszałem już niemało. Włamywacz, bardzo głośny w więziennych opowieściach, ciągle walczył z naczalstwem i ciągle w karcu. Przyjrzałem mu się z ciekawością. Twarz miał poznaczoną ospą i bliznami chyba po żyłtce, włosy rzadkie, nastroszone, i zmrużone oczy.

– Z małolatki, słyszałeś? – Przygoda zwrócił się do tego drugiego. Tamten zaśmiał się nieprzyjemnie jakoś. Jego twarzy jeszcze nie zobaczyłem. Była poza skąpym kręgiem światła. Przygoda zatarł z suchym szelestem dłoń.

– Znaczący młody i świeży – rozległ się głos tego trzeciego, który cały czas siedział odwrócony plecami.

– To jest git sprawa – Przygoda nachylił do mnie swoją szpetną, okrutną twarz. Cofnąłem się odruchowo.

– Nie pękaj – wychrypiał Przygoda – krzywdy nie będziesz miał.

Ten drugi znowu się zaśmiał. Tym razem zobaczyłem jego twarz. Miał niskie, pofałdowane czoło i wklęsły nos. Czochrał się nieustannie, wpychając rękę pod koszulę.

– Nie pękaj – Przygoda wykrzywił się odsłaniając puste dziąsła. – Jak będziesz grzeczny, to i fajurka się znajdzie, i poglumasz sobie chlebka ze smalcem.

I tak mierzył mnie długim spojrzeniem od stóp do głowy.

– Pierwszy raz siedzisz w pudle? – zapytał.

Skinąłem głową i niedobre napięcie wzmogło się we mnie gwałtownie. Coś zaczynałem podejrzewać. Siedziałem pierwszy raz, ale z wolności nie przyszedłem tu jako frajer.

Przygoda wyciągnął poznaczoną tatuażami dłoń i dotknął mojej brody. Zadrzałem. Dłoń była zimna i wilgotna.

– A jakie usta toto ma czerwone – odezwał się ten z wklęsłym nosem.

– Jak malinka – powiedział pieszczotliwie Przygoda.

Cofnąłem się zaciskając pięści. Teraz już wiedziałem wszystko na pewno. Rozejrzałem się po celi. Taka wąska nora, okno zabite blachą i szron na ścianie.

– Nie wyfruniesz, ptaszku! – zaśmiał się kpiąco ten z wklęsłym nosem.

– Co tam się dzieje? – zapytał trzeci, ciągle odwrócony do ściany.

– Prawiczek – powiedział Przygoda.

– Trzeba będzie go oswajać – dodał ten z wklęsłym nosem.

A trzeci poruszył niemrawo głową i ziewnął. Wyolbrzymiony cień jego głowy poruszył się na ścianie.

Starzy wyrokowcy często brali sobie małych do wyrka dla zabawy. Jak byłem na kwarrantannie, to celowy Szatan prowadził hodowlę takich młodych frajerów. Przypomniałem sobie te noce, kiedy sąsiednia prycza skrzypiała nieznośnie. Mój współnik, Geno z Zacisza, też opowiadał mi nieraz o tym.

– Nie jestem parową! – wykrzyknąłem załamującym się głosem.

Wszyscy trzej zachichotali.

– Nikt nie jest od razu parową – rzekł Przygoda. – Zawsze trzeba to zacząć.

– No! – zniecierpliwiał się ten z wklęsłym nosem – czas na tresurę.

– A ja sobie poczekam – odezwał się ten odwrócony do ściany.

– Ty zawsze chcesz na gotowe – powiedział z wyrzutem Przygoda.

– Mogę być ostatni – odparł tamten – albo wcale. Ta głodówka siły mi odebrała.

Przygoda pochylał się i wyciągnął do mnie rękę.

– Cip, cip, prawiczek! – zacmokał ten z wklęsłym nosem.

Jeszcze mocniej wcisnąłem się między drzwi i kibel. Właśnie kibel. Powoli zwróciłem się w stronę tego żelaznego kubła. Postanowiłem chwycić pokrywę. Zaczę walić w drzwi. Ale co da walenie w drzwi. Chiński Ptak lubi takie zabawy z małolatkami. Wcale nie otworzy albo uchyli tylko i powie z obłudną powagą: – Spokój, gnoju, bo zrobię raport! – Więc będę się bronił pokrywą.

– Usta to on ma. – Przygoda zrobił wstrętą, lubieżną minę i zręcznym ruchem nogi usunął z mojego zasięgu kibel. Zostałem pozbawiony jedynej obrony.

– Nosy wam poodgryzam – wyszeptalem czując, jak ogarnia mnie zupełnie bezradność.

W odpowiedzi dał się słyszeć ich syty, pewny śmiech. Ten śmiech jeszcze nie ustał, gdy zazgrzytał klucz i drzwi karceru uchyliły się szeroko.

– Kawa, panowie urki! – zawołał fajfus tego oddziału, łysy, uśmiechnięty handlarz blitem.

Kolejno napełniał nasze miski kawą, a w pewnej chwili, wykorzystując nieuwagę Chińskiego Ptaka, wsunął im do ręki jakieś zawiniątko.

– Od sto jedenastej – szepnął.

Znów drzwi się zatrzasnęły i zostałem z tymi trzema. W zawiniątku znajdowało się kilkanaście papierosów i gryps na bibułce.

Przygoda wyrwał mi bibułkę i przeczytał gryps, powoli sylabizując:

– „Ferajna pamięta o tobie. Trzymaj się, synek, Cygan.”

Skończył i popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Znasz Cygana?

Kiwnąłem głową.

– Cygan... duży kozak – powiedział ten z wklęsłym nosem.

– Razem skakaliśmy na wolności – odpowiedziałem.

Ten trzeci odwrócił się od ściany i też popatrzył na mnie.

– No tak – zamruczał Przygoda – tyle że wyglądniałeś taki...

– Frajerski – dorzucił ten z wklęsłym nosem.

Poczęstowałem ich szlugami. Przygoda miał schowane za podszewką kurtki zapalki. Zapaliliśmy.

– Czasem można się pomylić – bąknął Przygoda.

Wyglądali na zakłopotanych.

I dzięki temu, że Cygan pamiętał o mnie, Wigilia i pierwszy dzień Świąt zleciały mi w tym karcu całkiem znośnie. Dzieliliśmy się szlugami. Przygoda śpiewał stare złodziejskie pieśni.

## Patoka

– Całą noc nie mogłem spać – powiedział Stefan.

Przyjaźnimy się od lat. Często telefonujemy do siebie. Początek naszej przyjaźni bierze się z młodości. Ja przybyłem na wielkowiejski szlak ni to z przedmieścia, ni miasteczka. Stefan z Powązek.

Obaj znaleźliśmy się w starym, pamiętającym jeszcze carskie czasy więzieniu na Gęsiej. Mury były żółte, piece dymiły, z okna widok na pomnik Bohaterów Getta. W letnie wieczory śpiewaliśmy w kraty dzikie, tęskne pieśni urków o Czabaku, jamszczyku i malowanej lali. Kipiało w nas wtedy siłą i wyobrażaliśmy sobie niemało. Przygniotły nas lata. Goryczy i słabości przydały. Stefan jest fryzjerem, ja pisarzem. Z tamtych lat Stefan posiada na swoim ciele mnóstwo tatuaży, ja tylko jeden. Stefan ma sprawę z córką.

– Dziecko – powiada – to nie zabawka.

I pragnie, żeby córka spełniła jego oczekiwania.

Ja mam sprawę z pisaniem i czasem wydaje mi się, że przegrałem. Wtedy robi się pusto i głucho. Nie ma nic. Po pijanemu Stefan dzwoni do mnie i powiada: – Kurwa, żeby jeszcze coś się stało!

Po pijanemu dzwonię do niego i mówię to samo.

I nagle przypomniał nam o sobie Patoka. Wyczytałem list gończy za nim. Zapamiętałem z opisu „oczy żółte” i „liczne włamania”. Oczy żółte. Takie oczy musi mieć drapieżny kot przed skokiem. Patoka znaczył swoją drogę zuchwałymi włamaniami i za to go poszukiwali.

Jak zza mgły wynurzyła się Gęsiówka i spacerniak między murami. My, małodatki, patrzyliśmy z okien pierwszego piętra na spacerującą recydywę z VI oddziału.

– O, Patoka – zaszeptano.

Był już wtedy sławny. Przypomnienie poruszyło. Odżyła legenda dawnych lat.

Zadzwoił Stefan. Nie mógł spać całą noc. Ujęli Patokę. Wyczytał w gazecie. Przygnębiła go przypadkowość tej końcówki.

Spotkaliśmy się nad Jeziorkiem Kamionkowskim i chodząc wzdłuż brzegu rozważaliśmy rzecz całą. Po udanym włamaniu do zagranicznego przedstawicielstwa handlowego, skąd zabrał kilkanaście tysięcy dolarów, Patoka ruszył w Polskę, wydawał bankiety, występował jako poseł.

– Wygląd to on ma – stwierdził Stefan.

Ja już Patoki nie pamiętałem.

– I wyrąbał później jakieś byle jakie mieszkanie – westchnął Stefan. – Po co mu to było? Forsy miał jak lodu.

Brzeg Jeziorka Kamionkowskiego jeszcze zimowy, krzaki gołe, trochę lodu na wodzie. „Balaton” nazywają ten staw ludzie z praskiej strony.

– Musiał rąbać – uznał Stefan – to artysta. Bez rąbania nie ma dla niego życia.

Pod Patokę wypiliśmy flaszkę. Mało co mówiliśmy. Każdy siedział w swojej przeszłości. Ile to już lat się przewaliło!

Oglądałem film jugosłowiański *Deps*. Była to opowieść o przestępcy, który przesiedział dziesięć lat w więzieniu i porzucił swój fach. Mimo to nie ma spokoju. Nieustannie nękają go tajniacy. Sława specja od trudnych robót dalej mu towarzyszy. Samotny, boryka się ze złym losem. Opowieść o jego życiu bardzo mnie wzruszyła. Tak sobie wyobrażałem bohatera mojego pierwszego opowiadania, które zobaczyłem w druku. Tamtego nazywali Kwadratowy.



Ten z filmu *Deps*. Wtedy zadzwonił Stefan i powiedział: – To było tak, jakby gdzieś daleko zrobili film z twoich opowiadań. – Stefan odsiedział dziesięć lat i nie jest skłonny do łatwych uniesień czy egzaltacji. Ucieszyłem się, że myślał tak samo jak ja.

Byłem świadkiem w sądzie. Wilcze sprawy między ludźmi. Staruszkę wygryźli z mieszkania i opowiedziałem sądowi, który był kobietą w średnim wieku, jak to pożyczyłem tej staruszce koldrę, żeby uchronić się mogła przed zimnem, pozbawiona swego domu, przebywająca w nieopalanej ruderze. Podziałało. Oczy kobiety w średnim wieku pełne współczucia. Jako świadek wystąpiłem skutecznie.

Wyszedłem na korytarz i dotarłem do sali, przed którą zebrała się spora gromadka ludzi. Przeczytałem wokandę. Sprawa Patoki. Taki przypadek. Wszedłem tam. Siedział między milicjantami. Niepozorny i łysawy, samotny na ławie oskarżonych.

Zeznawał więzień-szczur, przrzucany z celi do celi, żeby węszyć i podsłuchiwać. Miał teraz opowiedzieć, czego wywiedział się od Patoki podczas wieczornych godzin, kiedy więźniów najbardziej gniecie samotność i ogarnia chęć zwierzeń.

Ten szczur sparaliżowany był wzrokiem Patoki. Odwracał głowę od ławy oskarżonych i aż skręcał się z wewnętrznej udreki.

Naraz zaskomlał: – Nic nie powiem! Nic nie wiem! Powiem, to nie będzie dla mnie życia w każdym jednym więzieniu w całej Polsce. Wszędzie dopadną!

Patoka przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Po jego twarzy błakał się ulotny, pobłażliwy uśmiešek. Strzepnął z kłapy marynarki jakiś niewidoczny pył.

Wtedy go sobie przypomniałem. Co tydzień chodziliśmy do łaźni i tam w kłębach pary odślaniały się tatuaże pokrywające ciała więźniów. Przeróżne i wymyślne to były wzory, ale nie wiem czemu, najbardziej wzrok mój przyciągał tatuaż, który był jak średniowieczny sztych: wysoka góra, zamczysko i drogą podjeżdża rycerz na koniu. Rysunek ten pokrywał plecy jednego z więźniów.

– To Patoka – powiedział Ząbek, mój celowy ze sto jedenastej.

Przyglądałem się jego twarzy. I raz w tej ciemnej, ponurej sali sądu, wyłożonej brązowym drzewem, nasze spojrzenia zderzyły się, moje i Patoki. Wydało mi się, że patrzy we mnie intensywnie, i zapragnąłem, żeby udzieliło mi się choć trochę jego siły.

Tyle lat działał nieprzerwanie. Nie ma już więzienia, w którym siedzieliśmy. Zostało zburzone. Zburzono wiele starych domów. Zamknięto wiele knajp i nie ma dawnych bazarów. Pojawiły się nowe domy i place. A Patoka ciągle kradł, dostawał się do więzienia, uciekał, znowu kradł.

I pomyślałem też, że wszystko w jego życiu poza tymi śmiałymi włamaniami, długimi latami więzienia, a potem napiętym wyczekiwaniem na szansę ucieczki, więc wszystko to inne: kobiety, smak spokoju, rodzina, ciepło i rozkosz beczynności, było nieważne.

Twarz miał szarą, wychudłą i pobrużdżoną, a ta resztką włosów siwa, ale nie czuło się w nim znużenia, rezygnacji; pod tą niepozorną powłoką tkwiła niewyczerpana siła, która przejawiała się w zacisku guzowatych, mocnych szczęk i uporze wydatnego podbródka. Pozadrościłem mu tej żelaznej konsekwencji, choć jednocześnie te lata więzienia, długie jak niejedno życie, mroziły wyobraźnię.

Adwokat, stary człowiek o znudzonej twarzy sądowego wyjadacza, tym razem był ożywiony.

– W sumie przesiedziane dwadzieścia lat – powiedział – osiem udanych ucieczek.

Opowiadał o Patoce z uznaniem, jako o doskonałym fachowcu i artyście zarazem.

– Wyrok będzie duży – dodał młody aplikant.

Odprowadził wzrokiem Patokę, wychodzącego w asyście dwóch milicjantów.

Patoka dłonie miał skrzyżowane na przedzie, spięte kajdankami. Z kurtuazją przysunął się do ściany, dając przejście kobiecie w czarnej todze z czerwoną obszywką.

Milicjanci skupieni, czujni. Groźną konwojowali zwierzyne.

– Prokurator domaga się piętnastu lat – powiedział aplikant.

Stary adwokat też obejrzał się za Patoką.

– Ucieknie – powiedział z przekonaniem. – Tyle razy uciekał.

Znów spotkaliśmy się ze Stefanem nad Jeziorkiem Kamionkowskim. Już była wiosna. Śpiewały ptaki i pojawili się pierwsi rybacy. W krzakach pili wódkę. Dziad zbieracz czekał cierpliwie na puste flaszki.

– Prokurator domaga się piętnastu lat – powiedziałem Stefanowi.

Pokiwał głową. Był skacowany. Myślał o robocie, którą miał zacząć od południa. Myślał o egzaminie z nowej męskiej fryzury. Ja też byłem marny. Dręczyła mnie jakaś trudna do wyrażenia udreka. Coś zacząć! Coś rzucić! Ale co, jak?

Dziad zbieracz kląć zaczął. Pijani wyszli z krzaków i zabrali ze sobą opróżnione flaszki.

Stefan patrzył posepnie w wodę.

– Ucieknie – powiedział.

W tym była i moja cała nadzieja.

## U fryzjera

Słońce padało na pochyły dach kamienicy po przeciwnej stronie. Oświetlało facjatę. Nastroszone gołębie rzędem siedziały na gzymsie. W oknie facjaty jak zwykle o tej porze pokażała swą trupią, kościstą twarz wariatka. Wykrzykiwała coś. Zawsze o tej porze wykrzykiwała. Gołębie ociężale podrywały się do lotu. W zakładzie było pusto. Szef szeleścił gazetą. Zwyczajem kibica pograżył się w czytaniu ostatniej, sportowej strony.

– Popatrz – powiedział. – „Szombierki” wysiadły z ligi.

W damskim furkotała elektryczna suszarka do włosów. Młodszy fryzjer stał przy oknie. Przyglądał się wariatce. Co ona wykrzykuje? Do kogo ma żal?

Sprzątaczką Władziową wynurzyła się zza przepierzenia dzielącego zakład na dwie części.

– Wziąć coś dla was? – zapytała.

Szef zamówił salceson i kaszanekę. Władziowa poszła w ogonek do mięsnego sklepu. I znowu cisza. Suszarka też przestała wyc.

Młodszy fryzjer otworzył podreęczną szafkę. Wyciągnął nakrochmaloną ścierkę. Powiesił na poręczy fotela. Płótno zaszeleściło jak papier, powiało świeżością. Rękawem przetarł zamazane lustro. Przyjrzał się odbiciu swojej twarzy. Broda nie wymagała przystrzyżenia. Tylko wyszczotkował. Wrócił do okna. Ani śladu po słońcu. Czarne chmury zaległy niebo. Ulica kipiała handlowym ruchem. Pobliski bazar wchłaniał ludzi jak worek bez dna. Powoli przejechał swoim Fordem ten Cygan, co dla pozorów jest kotlarzem. Młodszy fryzjer zajął się ostrzeniem brzytwy. Była staroświecka, w kościanej oprawce. Dostał od zaprzyjaźnionego klienta. Miękkimi przesunięciami po osełce pieścił ostrze. Oczy cieszył widok zimnej, połyskliwej stali.

Szef odłożył gazetę. Drapał się w tyłek. Z kieszeni wyciągnął kupony totolotka. Przeglądał uważnie. Wzrok miał skupiony, wargami marniał losową modlitwę.

– Zaraz wracam.

Nacisnął na głowę kapelusza i wybiegł z zakładu. Młodszy fryzjer złożył brzytwę. Delikatnie wsunął ją do pochewki. Przylepił twarz do szyby. Odprowadził spojrzeniem szefa przebiegającego przez jezdnię. W białym fartuchu i kapeluszu na głowie wyglądał dziwacznie i śmiesznie. Młodszy fryzjer skrzywił twarz jak przy bolącym zębie. I patrzył dalej. Sprzedawca kudłatych psiaków zajął swoje miejsce w bramie. Psiaki ozdobił czerwonymi wstążeczkami. Dwaj wywiadowcy myszkowali przy wejściu na bazar. Wprawne oko młodszego fryzjera wyłowiło ich od razu. Jeden z nich był jego stałym klientem. Węszą ci tajniacy. Patrzył na nich w skupieniu, dopóki nie zniknęli w tłumie. I pomyślał o tych, co pieniędzy mają jak lodu. Wielu takich spaceruje tą handlową ulicą. Duże pieniądze płynęły w wyobraźni młodego fryzjera jak rzeka. Ta rzeka omijała go starannie. Nigdy nie zanurzył się w jej nurcie. Zagrzechotał dzwonek nad drzwiami. Przylazł kuternoga ze swoim głupkowatym synem. Zaczął wzdychać. Spoglądał wymownie w kąt, gdzie był parawanik. Tam jest miejsce do chłania. Głupkowaty obmacywał z zachwytem fryzjerską gruszkę.

– Czy mogę sobie psiknąć? – wybełkotał i nie czekając na pozwolenie przycisnął gumową gruszkę połączoną z flakonem. Z rozkoszą opryskał sobie twarz wonną wodą. Młodszy fryzjer wpatrzył się w dyplom mistrzowski szefa, wiszący ponad lustrem. Złoczone ramki mistrzowskiego dyplomu błyszcząły nachalnie. Westchnął ciężko. Kuternoga poderwał się.

– Skoczyć? – zapytał.

Monopolowy sklep miał na myśli.

Młodszy fryzjer wyszarpnął z dłoni głupkowatego gumową gruszkę.

– Starczy – warknął.

Kuternoga jeszcze chwilę powzdychał na próżno i przyłożywszy dłoń do daszka kolejarskiej czapki poszedł szukać szczęścia gdzie indziej. Za nim z ociąganiem jego głupkowaty syn.

Z damskiego dochodziły szepty, piski. Te dwie fryzjerki też nie miały roboty. Jedną widział z Arabem parę dni temu. Jak do miodu ciągną dziewczyny do tych złotem obwieszonych Arabów.

Zafalowało przepierzenie z kwiecistego materiału. Pani Maria, kasjerka, wychyliła swą wymalowaną twarz starej lafiryndy.

– Co pan taki markotny, skarbie?

Wzruszył ramionami. Pani Maria westchnęła i zniknęła za kotarą.

– Hieny czują padlinę – powiedział młodszy fryzjer do lustra.

Wyszczerył zęby. Miał zdrowe, białe i mocne. Jeszcze się nie psuły. Ani jednej ciemnej plamki nawet. To sprawdzenie nie przyniosło jednak żadnej ulgi. Pusty dzień. Myśli czepiają się głowy.

A za oknem płynął bez końca ten handlowy, spieszny tłum. Zanurzyć się w tę rzekę, co płynie do bazaru. Niech poniesie gdzie bądź... Młodszy fryzjer gwałtownym ruchem zwichrzył brodę. Rozejrzał się bezradnie. Złocone ramki ponad lustrem kłuły wzrok. Ozdobne litery dyplomu zacierały się i tańczyły. I nawet nie usłyszał dzwonka nad drzwiami. Powoli obrócił głowę. Pewnie szef wrócił. To nie był szef. Pierwszy klient. Wysoki, elegancki. Garnitur miał niebieski i torbę przewieszoną przez ramię. Rzucił badawcze spojrzenie w lustro. Przesunął dłonią po ciemnych od zarostu policzkach. Zachręściło.

– Ogolić – polecił.

Młodszy fryzjer wpatrzył się w niego. Czerwona, szeroka twarz, pokryta gęstym zarostem z dwóch dni, wydatny nos poślubiony przez węgry i przedziałek w brodzie. Ta twarz zaczęła mu pęcznieć i rosnąć w oczach.

– Ogolić... – powtórzył.

Klient skinął głową. Skierował się do fotela. Młodszy fryzjer zastąpił mu drogę. Uczynił to bez namysłu. Suchość ścisnęła gardło. Głośno przełknął ślinę.

– Ja pana golić nie będę – powiedział zmienionym, załamującym się ochryple głosem.

Klient zamrugał powiekami.

– Jak to?!

Młodszy fryzjer szeroko rozstawił nogi. Wargi też wyschły mu jak w gorączce. Przesunął po nich językiem. Był niższy od tamtego. Ale bardziej masywny, szeroki. Taka szafa nie do przesunięcia. I stał się naraz gotowy, sprężony. Czuł to w twardniejących mięśniach karku. Powoli obrócił się plecami. Metodycznie począł układać pędzle, maszynki i grzebienie na swojej podręcznej szafeczce. A napotkawszy spojrzeniem brzytwę w kościanej oprawce, z wysiłkiem cofnął od niej dłoń. Tamtego widział cały czas w lustrze. Czekał.

I wtedy wrócił szef.

– Panie! – wykrzyknął klient. – Ogolić mnie nie chce!

Był wzburzony. Szarpnął krawat pod szyją. Dłonią przesunął po zarośniętym policzku.

– Jest pijany – powiedział młodszy fryzjer.

Tamten aż się zakrztusił. Słowa uwięzły mu w gardle. Tylko gulgotał.

– Sam pan widzi, szefie – wycedził młodszy fryzjer, dłonie zwisały rozluźnione w pogotowiu. Odwrócił się. Twarz klienta zawirowała mu czerwoną plamą przed oczyma.

– Won! – tupnął nogą.

Szef spróbował chwycić go za połą fartucha. Odtrącił go kulakiem.

Klient uskoczył. Skulił się i wybiegł z zakładu. Drzwi pozostawił otwarte. Szef zamknął je starannie. Zza przepierzenia wyglądały fryzjerki. Szef wyciągnął papierosy.

– Zapalisz?

Młodszy fryzjer drżącymi palcami wyłuskał papierosa.

– Szajba – posłyszał szept z damskiego. Obracał papierosa w palcach. Poczłł tpe znużenie i ta iskra, która tak nagle zapaliła się w nim, zupełnie już zgasła. Co był mu winien tamten człowiek? Nawet jego twarzy nie zapamiętał. Od razu tak mu się rozděła i zniekształciła. Zapatrzył się w kamienicę z pochyłym dachem po przeciwnej stronie ulicy. Okno facjaty było ciemne i martwe.

– Szajba – powtórzył i pokiwał głową.

## Aloes

Sklep mieścił się w nowym bloku, a ulica nazwana była Patrice Lumumby. Bloków tutaj wybudowali całe osiedle. Następne jeszcze budowali i dźwig bez przerwy podnosił i opuszczał swoją łapę.

Kierownik sklepu przyszedł punktualnie o dziewiątej. Oni już czekali. Hydraulik z ADM-u, cukiernik Patykowski, emerytowany kapitan i ten młody, co był na chorobie. Pierwsi klienci. Zawsze byli pierwsi. Weszli za kierownikiem i ustawili się przy kontuarze. Patrzyli bez nerwów, jak myje i wyciera kufle. Czynił to bardzo powoli i dokładnie. Dobry kierownik. Jeden z ostatnich, co miał beczkowe piwo. Oni nade wszystko lubili beczkowe piwo. Za chwilę, ostrożnie zdmuchując pianę, pociągać zaczęli ze swoich kufli.

Kierownik zmierzył każdego krótkim spojrzeniem i wiedział już, co kogo boli.

Hydraulik z ADM-u żłopał łapczywie, dzwoniło szkło o jego metalowe zęby.

– Wczoraj... trochę tego? – kierownik znacząco stuknął się w szyję.

Hydraulik przytaknął.

Emerytowany kapitan sączył powolutku i wiadomo było, że tak do wieczora jak cysterna ciągnąć będzie. Natomiast cukiernik Patykowski wykrzywioną miał twarz i dopiero po odstawieniu kufła pojaśniał i odsapnął.

– Powtórzyć? – zapytał kierownik.

Cukiernik swój kufel podsunął.

– Nie daję luzu – powiedział. – Rżnie i rżnie. – Opuścił dłoń i ostrożnie pomacał się po brzuchu. – Cholerstwo...

– Powinieneś na badanie – powiedział kierownik.

Powiedział to bez przekonania, bo tak samo jak cukiernik nie wierzył w lekarzy.

Ten młody, co był na chorobie, zagapił się w okno. Wypreżył się i przesunął dłonią po włosach uczesanych na mokro. Kierownik też spojrział w okno. Przechodziła dziewczyna w obcisłych spodniach i dwa pośladki tańczyły sprężysto.

Ten młody uśmiechnął się i znów przyglądał włosy. Jak to młody. Cieszył się, że jest na chorobie, sączy sobie piwo i na dziwki do syta napatrzyć się może. Kierownik odwrócił głowę od okna i równocześnie poczuł ból w prawej nodze.

– Robota stojąca... Żyłaki z tego się robią – stęknął i pochylając się z trudem, namacał liczne zgrubienia na łydce.

Cukiernik Patykowski westchnął. Wyraźnie wsłuchany w ten swój bolący kałdun.

– Ciężka robota dla nóg – zażartował hydraulik – pańskie sto kilo utrzymać!

Kierownik przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i wlepił przekrwione oczy w hydraulika.

Ten był suchy, prosty i ta woda, którą żłopał co dzień, spływała po nim jak po psie.

Hydraulik przestał się uśmiechać. Podsunął pusty kufel. Kierownik przekręcił kurek. Rozległ się syk i kufel wypełnił się żółtym płynem z białą czapą piany na wierzchu. Cukiernik Patykowski zapatrzył się w butelki z winem na górnej półce.

– Jak wypiję – powiedział – rżnąć mnie przestaje...

– Wino – domyślił się pokusy emerytowany kapitan – najgorsza zaprawka...

Sam pijał tylko piwo i czystą.

Hydraulik się roześmiał.

– Delikatesowe żołądki, delikatesowe podniebienia – rzekł dziarsko. – Ja tam wychlać mogę wszystko.

Ale do kieszeni nie sięgnął. Zawsze dokładał się ostatni. Sprawa z winem się urwała. Za wcześnie jeszcze i upał od rana dawał się we znaki. Kierownik czuł, jak ogarnia go lepka wilgoć i ciepłe strużki potu spływają spod pach. Poczul niechęć do siebie. Do wszystkiego niechęć. Też nalał sobie piwa. Wypił łączywie. Rozejrzał się po sklepie. Podeszedł do wystawy. Wytarł z kurzu liście aloesu. Ten aloes postawiła tu jego żona. Mówiła, że jak wyrosnie, to będzie z niego pożytek. Wyrósł już i tak stał w doniczce na wystawie. Palcem sprawdził ziemię. Sucha jak popiół. Podlał. Pół kufla wody wypila ziemia.

– Gorączka – zamruczał gniewnie.

Cukiernik Patykowski spojrział na zegarek.

– A co będzie w południe – dodał.

– Wentylator w dyrekcji trzeba zapotrzebować – powiedział kierownik.

Wyobraził sobie szum wentylatora i chłód, który ogarnia ciało. Przymknął oczy.

– Te baby to suki... – odezwał się hydraulik – takie upały, a moja w nocy szturcha mnie w plecy i szturcha.

– Czego chciała? – zainteresował się ten młody, co był na chorobie.

– Czego! – roześmiał się hydraulik. – Już śpisz, pyta, śpisz, tak jej się chciało.

Kierownik spochmurniał. Przypomniawszy sobie swoją noc. Żona jest otyła i poca się oboje obficie. Tak leżał obok niej, pochrapywała, a w nim wzbierała niechęć. Z tej niechęci nie mógł wcale zasnąć.

– Śpię, nie śpię... – ciągnął leniwie hydraulik – powiedziałem jej, to moja sprawa.

Cukiernik wyciągnął szyję. Jego twarz na chwilę straciła wyraz żołądkowej goryczy.

– I co ona na to? – zapytał.

– Obraziła się – zakończył hydraulik.

Emerytowany kapitan ziewnął. Był wdowcem i już nie interesował się kobietami.

– Jak krowy... – powiedział głuchym głosem kierownik – ten właz mają wiecznie otwarty.

Ciężka, gorąca noc. Dwa tłuste ciała i ta niechęć, co aż go rozsádzać zaczęła.

– Po marnej nocy marny dzień – stwierdził niespodzianie emerytowany kapitan.

Kierownik spojrział na niego podejrzliwie. Całkiem mądrze powiedział. Jakby czytał w jego myślach.

– Ale znowuż... – zastanowił się hydraulik – jak baba nie chce, też niedobrze... Mnie się zaraz widzi, że ma innego.

Ten młody, co był na chorobie, przyglądał im się z pobłażliwą wyższością.

– A sprzęt z latami stateczniej – zauważył cukiernik Patykowski. – Nie staje z byle powodu jak u chłystka.

– No, no... wolnego – powiedział ten młody, co był na chorobie. – Żebyś pan zobaczył moje lalki.

– Młodość, starość – burknął kierownik – jedno z drugim barachło.

Ten młody nie zwrócił na jego słowa żadnej uwagi. Zagapił się w okno. Pewnie na jakąś dziewczynę.

Kierownik pożałował gwałtownie tego czasu, kiedy wódkę mógł szklankami i wcale nie zwałała go z nóg. Popatrzył na półki z winem.

– W taki upał po gorzałce łatwo dostać małego rozumu – powiedział z zadumą.

Zmarszczył czoło i bezgłośnie poruszył wargami.

– Ja raczej tylko pod wieczór – przyznał emerytowany kapitan.

Ale w oczach miał taki błysk, jakby czekał na propozycję. Kierownik milczał. Emerytowany kapitan pogładził liście aloesu.

– Czy podlewany? – zapytał.

Kierownik przytaknął.

Wypili jeszcze po jednym piwie. Milczeli. Powoli zbierali się do wyjścia. Cukiernik Patykowski ze skrzywioną gębą. Hydraulik przewiesił przez ramię torbę z narzędziami i ostrożnie

wychylił się za drzwi, patrząc tam na lewo, gdzie w trzecim bloku mieścił się jego ADM. Bał się, czy ktoś z biura nie przyuważy go czasem. Emerytowany kapitan zaszeptał do młodego. Może zmałwali się na flaszkę? Wyszli.

I kierownik przez chwilę, kiedy tak patrzył, jak się oddalali, miał ochotę zawołać: Zaczekajcie, chłopaki, zaprawimy na mój koszt! I zestawić z półki jedno wino, drugie... I odbić korek uderzeniem pięści w dno, i tak kolejno ciągnąć z butelki. Ale ta ochota zagasła w nim zaraz. Ociężale zabrał się do spłukiwania kufli. Ruchu dziś nie było. Są takie dni. Wtorek zresztą. Po niedzieli ludzie doszli już do siebie i trzymają się z daleka od pokusy.

Ponownie wytarł ściereczką liście aloesu, choć lśniły przecież. Zielone, grube liście. Rozejrzał się po ścianach. Porysowane i liszajowate. Unikał spojrzenia w szybę, bo tam odbijała się jego otyła sylwetka. Ciało miał spocone i tą samą ściereczką wytarł się pod pachami. Wyszło trzech mężczyzn. Jeden z siatką; chciał butelkowego na wynos.

– Nie prowadzę – odparł kierownik. – Tylko beczkowe.

Tamten pomamrotał gniewnie. Upałem był zmęczony. Pić mu się chciało, ale ze złości nie wypił. Wyszedł trzaskając drzwiami. Pozostali zamówili po dużym jasnym.

Jeden z nich powiedział przymilnie: – Baran, nie wie, że beczkowe lepsze...

Obsłużył ich w milczeniu. Chcieli zapalić, ale pokazał im tabliczkę z zakazem nad ladą. Więc wyszli zaraz. Przyszedł jeszcze ten stary, co przychodził zawsze po aloes.

Kierownik odpisał od niego przepis. Postanowił popić tej nalewki z aloesu. Papierek z przepisem schował do portfela.

– Na wszystko pomaga – rzekł stary.

Ostrożnie urwał jeden liść z rośliny. Owinął w gazetę.

– Na raka nawet – dodał.

Popatrzył po butelkach z winem na półce. Słońce już wlało do sklepu i wino iskrzyło się płomienistym kolorem.

– Młodzi „beł” na to mówią – powiedział stary i oblizał się. – Szkodzi na zdrowie. Chemicznego coś dorzucają.

Staremu pozwolił zapalić. Ten jeszcze trochę powzdychał, pogadał o aloesie i poszedł sobie.

I długi czas nie przychodził nikt. Kierownik usiadł na beczce. Lepka wilgoć pokrywała ciało. Wsunął dłoń za koszulę i do bólu ścisnął w fałdę tłuszcz na brzuchu. Puścił i ścisnął jeszcze raz. Tak kilka razy. Przerwał tę czynność, gdyż wbiegli dwaj tacy gnoje długowłosi w kolorowych koszulkach w angielskie słowa. Składali się na wino. Grzebali i grzebali po kieszeniach swoich obciśniętych jak skórzane rękawiczki spodni, ale zabrakło im piąta. Chciał już im skredytować. Niech się zaprawią. Wtedy klócić się zaczęli.

– Bo cię obszczę! – jeden do drugiego warczał i w sklepie jak na ulicy zaczęli się potrać.

Zezłościł się kierownik. Czego nie miał, to nie miał. Ale siłę to jeszcze miał. Naparł na nich swoim wielkim brzuchem.

– Jazda!

Rękoma ich zagarnął i za drzwi wypchnął. Nawet nie jazgotali. Poczul zadowolenie. Żeby nie te przepychania, to by im skredytował. Jeszcze teraz, gdyby się wrócili. Nie wrócili. Z tego powodu hojny był dla śmieciarza, który robił swój codzienny obchód i zajrzał do sklepu. Wypchał śmieciarz swój worek butelkami po wódce z zaplecza. Dostał jeszcze darmowe piwo.

– Niech Łazarz ma – powiedział kierownik.

Śmieciarz klaniał się w pas, wychodząc ze sklepu tyłem z wypchanym workiem. Pozostał po nim wredny zapach. Kierownik zawsze podejrzewał go, że pije najpodlejsze trunki, takie jak denaturat czy woda brzożowa. A ile mógł liczyć sobie lat? W jego wieku chyba. Ledwo usiadł na beczce, żeby dać odpoczynek tej bolącej nodze z żyłakami, do sklepu weszła dziewczyna. Już od drzwi rozglądała się po półkach.



– Słucham – zapytał kierownik i wstał niechętnie.  
Podniosła dłoń do ust.  
– Chciałam... – zaczęła z zastanowieniem. Przesunęła palcem po wargach.  
Była to smarkuła taka, ubrana, jak to teraz one się ubierają. Pod trykotową bluzką odznaczały się wydatne piersi, a skórzana spódniczka kusa, ledwie zadek zagrywała.  
– Słucham – powtórzył kierownik.  
Nagle zatrzepotała powiekami. Oparła się o blat kontuaru. Chwiał się zaczęła. Podbiegł do niej. Zajęczała cienko.  
– Słabo mi – wyszeptala. – Serce – dodała i chwyciła go za rękę. Przycisnęła ją do swoich piersi. Poczul je dokładnie pod trykotową bluzką.  
– Tak mi się w głowie kręci...  
– Może wody? – zapytał.  
Pobiegł na zaplecze. Wrócił ze szklanką. Podetknął jej do ust. Oparła się o niego. Gorąc bił od jej ciała. Gorąc większy niż od słońca. Wodę piła łąpczywie.  
– Muszę odpocząć.  
Ostrożnie ujął ją pod ramię i zaprowadził na zaplecze. Posadził na skrzynce po winie. Miała długie rzęsy i spod nich rzuciła na niego zamglone spojrzenia. Rozsunęła suwak tej kusej skórzanej spódniczki.  
Odwrócił głowę.  
– Niech... – zawahał się, jak do niej mówić – niech tu posiedzi.  
I kątem oka spostrzegł jej wąskie stopy z paznokciami lakierowanymi na zielono.  
Wrócił do sklepu i stojąc za kontuarem wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z zaplecza.  
Cisza.  
Napełnił kufel listonoszowi, który akurat wszedł. Listonosz poklepał się po wypchanej torbie.  
– Zgadnij pan, ile forsy mam dzisiaj?  
Wzruszył ramionami. Listonosz dopił w milczeniu piwo i wyszedł ze sklepu. Kierownik postąpił krok do tyłu. Posłyszał tam szelest jakiś. Ale ktoś wszedł do sklepu. Cofnął się zaraz. Sprzedał dwa wina nie patrząc, komu sprzedaje, i pieniędzy też wcale nie policzył, tylko szybko wrzucił do szuflady. Dziewczyna nie wychodziła z zaplecza. Znowu ostrożnie postąpił krok do tyłu, dwa... Zajrzał i cofnął się zdumiony. Była zupełnie naga.  
– Coś ty! – wykrzyknął.  
– Jest mi źle... – uśmiechnęła się do niego. – I chcę, żeby mi było lepiej.  
Nie zasłaniała niczego. Pokazywała wszystko.  
– Nie bój się!  
Zarzuciła mu ręce na szyję. Zrobiło mu się bardzo gorąco i chwycił ją silnie. Chciał odepchnąć. Zamiast tego przygarnął do siebie. Zamknęła oczy.  
– Jak mi dobrze! – westchnęła.  
– Poczekaj! – zachrypiał kierownik.  
Uwolnił się z jej uścisku i wybiegł do sklepu. Tekturę z napisem „Zaraz wracam” wywiesił na drzwiach. Uczynił to w samą porę, gdyż z pobliskiej budowy gromadką zbliżali się robotnicy. Przekręcił klucz w drzwiach i pochyliwszy się, żeby go z ulicy nie dojrzeli, pobiegł na zaplecze. I biegnąc nie wierzył, że ona tam jest. Może nie ma jej już? Była. Stała oparta o ścianę. Naga, młoda, i te piersi sterczały nachalnie. Rozścielił na podłodze kilka papierowych worków.  
– Połóż się.  
– Dlaczego? – zdziwiła się. – Można przecież na stojąco.  
Zawstydzil się. Ale ta jego waga przecież i ta noga z żyłakami.  
– Tak będzie lepiej – szepnął.  
Chwycił ją niecierpliwie i razem zwałili się na podłogę.

– Tylko nie do środka – powiedziała i rozsunęła nogi.

Sprawnie pomagała we wszystkim.

Patrzył w jej oczy błędzące po suficie, czuł łaskotanie jej włosów na policzkach i tak mu było nagle jak za dawnych lat, kiedy chodził z dziewczynami w krzaki.

Ta zachłanność do jej ciała nie opuszczała go długo. Znow widział jej piersi, całe ciało. Zagarnął ją pod siebie.

– Tylko pamiętaj – postyszał jej spokojny głos – to kosztuje sto złotych.

Zmęczenie załomotało w skroniach. Mokre od potu ciało. Koszula przylepiała się wstętnie. Leżał na niej i czuł, jak szybko wygasa to poprzednie uniesienie.

– Co, żałujesz stówy? – powiedziała dziewczyna. – Cukiernik, jak przychodzę do niego, to daje nawet więcej... Też go sposobem... Też zrobiło mi się niedobrze – figlarnie przymrużyła oko. – A ten ze skupu butelek...

Odsunął się od niej. Z kieszeni wyciągnął czerwony papierek. Dołożył drugi. Starannie wygładziła banknoty. Podniósł się z trudem. Otyłe, wielkie ciało. Ból w nodze znow się odezwał.

– Ubieraj się – powiedział nie patrząc na nią.

– Więcej nie możesz? – zdziwiła się. Napała na niego piersiami. Odepchnął ją mocno. Zatoczyła się pod ścianę.

– Nie bądź taki damski bokser – powiedziała gniewnie.

– Ubieraj się – powtórzył.

Ubrała się posłusznie. Otworzył drzwi prowadzące z zaplecza na tył budynku.

– Jak będziesz chciał – powiedziała wychodząc – to przyjdę jeszcze.

Zatrzasnął drzwi. Ociężałe stawiając kroki, wrócił do sklepu. Oparł się o ladę i patrzył w okno. Długo tak patrzył. Nawet nie zauważył, że pod drzwiami znow stoją jego pierwsi klienci. Hydraulik z ADM-u, cukiernik Patykowski, ten młody, co był na chorobie, i emerytowany kapitan. Zrobili drugą rundkę do piwnego źródła i tak patrzyli na tę wywieszkę z napisem „Zaraz wracam” i na niego za szybą. Uśmiechali się. Kierownik nie widział ich wcale. Aż w pewnej chwili jego spojrzenie zderzyło się z oczami cukiernika. I naraz chwycił ten aloes w doniczce. Grube zielone liście. Życiodajny sok. I rąbnął nim o podłogę.

## Nocny chłopiec

Wydarzenie miało miejsce przy przystanku. Ludzi tam była gromadka. Bardzo mglista noc. Nieliczne światła jak żółte kule w gęstym mleku mgły. A trwało to chwilę. Buchnęło nagle gorąco i ta cuchnąca smołą maź wypłynęła strumieniem. I już po wszystkim. Rozlewające się asfaltowe bajoro. Nagłość wypadku zdumiała wszystkich. Wśród czekających na autobus znalazł się milicjant po służbie. Pierwszy zareagował właściwie.

– Kto otworzył pokrywę? – rzucił pytanie.

Ludzie popatrzyli po sobie.

Według kolejności nastąpiło to tak: w pobliżu przystanku zatrzymał się wóz-zbiornik na asfalt z walcem do wyrównywania zapadlin i uszkodzeń w jezdni. Dwaj pracownicy z obsługi weszli w bramę. Rozwinęli zawiniątka z jedzeniem, otworzyli termosy. Zaraz dał się słyszeć przenikliwy grzechot opuszczanej pokrywy i asfalt popłynął na jezdnię. Gęsta lava kłębami wywalała się ze zbiornika i rozpływała. Ciemna to noc, niewielka grupka ludzi, zwrócona w stronę, skąd miał nadjechać autobus, przytupywała przeniknięta wilgotnym chłodem i spoglądała w dalekie światła. Posłyszawszy hałas z tyłu obejrżeli się, ale już nic nie zobaczyli. Nikt więc nie mógł odpowiedzieć na pytanie milicjanta. Podeszli do asfalcjarki i spoglądali na opuszczoną klapę. Mocny, duszący zapach smoły i nic więcej. Klapa kołysała się lekko. Przybiegli też ci z obsługi. Złorzeczyć zaczęli.

– Pół tony wypuścił – powiedział młodszy z pracowników.

Wśród zebranych znalazł się chłopiec najwyżej piętnastoletni, o delikatnej, prawie dziewczęcej twarzy. Zbliżył się do zbiornika. Obejrzał odsunięty rygiel. Poruszył nim kilkakrotnie.

– Ciężko chodzi – głos miał cienki, lekko ochrypły.

– Słabo naoliwiony – odparł starszy z obsługi. Zsunął czapkę na oczy, drapał się po ciemieniu. – Ten asfalt, psiakrew, miał być do załatania dziur przy skrzyżowaniu...

Chłopiec westchnął.

– Skurwiel jakiś – mruknął ten drugi z obsługi.

– Właśnie... – wtrącił milicjant – gdzie jest sprawca?

Chłopiec starannie wytarł ubrudzone palce w chusteczkę.

– Tyle poszło na marne – chrypka w jego głosie była typowym objawem mutacji.

Schowawszy chusteczkę, znowu poruszył rygłem. Zajrzał do wnętrza zbiornika.

– Wszystko wypuszczone.

– Co ma nie być – przyznał starszy z obsługi – wystarczy tylko otworzyć...

Chłopiec postąpił kilka kroków i stanął na jezdni. Kurtyna mgły oddzieliła go od ludzi. Najwyraźniej widoczne nogi. Czubkiem bucika dotknął asfaltowej masy grubo pokrywającej jezdnię i sięgającej jęzorami pod przeciwległy chodnik.

– Stygnie – powiedział.

– To stygnie abcugiem – przyświadczył starszy z obsługi.

– Cholerstwo... – dodał ten drugi. – Akurat w takim miejscu... niepotrzebna tu żadna naprawa...

Chłopiec znalazł się teraz w plamie światła z latarni. Uśmiechnął się. Powściągliwy, a jednak wyraźny uśmiech.

Milicjant, który stał najbliżej, przyjrzał mu się uważnie. I już nadjeżdżał autobus. Większość gapiów pośpieszyła do przystanku.

Wtedy to wypadł z bramy wysoki mężczyzna. Był w płaszczu narzuconym na pizamę. Podbiegł do chłopca. Przyjrzał mu się z napięciem. Chłopiec wpatrywał się w pusty zbiornik po asfalcie.

– To on! – krzyknął wysoki mężczyzna.

Chłopiec uniósł głowę.

– On – powtórzył wysoki.

Milicjant zawrócił biegiem od przystanku. Ci dwaj z obsługi podeszli do chłopca. On był spokojny i nie drgnął nawet.

– Więc jak? – zapytał milicjant i położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Po prostu... – odparł wysoki mężczyzna – tu mieszkam... – wskazał okno nad bramą – i mam taki zwyczaj... źle sypiam i wyglądam sobie na ulicę, widziałem, jak doszedł do wozu, opuścił pokrywę i zaraz zniknął mi z oczu. Potem usłyszałem głosy, widzę, stoicie tutaj, patrzę, on też się pojawił, tak jak zjawa, nagle znowu jest...

Chłopiec twarz miał skupioną i przysłuchiwał się z zainteresowaniem.

– Ty to zrobiłeś? – spytał milicjant.

Chłopiec powoli skinął głową. Cofnął się o krok. Milicjant mocniej ścisnął go za ramię. Ale on wcale nie próbował uciekać. Tylko jego twarz znalazła się poza kręgiem światła z latarni.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zadał następne pytanie milicjant.

– Dlaczego? – powtórzył obserwator z okna.

Chłopiec uśmiechnął się. Znowu znalazł się w świetle. Uśmiech miał ładny, ujmujący. Opuścił wielkie jak wachlarze rzęsy na oczy.

– Przecież mogłem uciec – powiedział tylko.

To była prawda. Miał tyle czasu. Większość pasażerów zrezygnowała z następnego autobusu. Patrzyli na chłopca. Zbił ich z tropu zupełnie. Tak sobie stał grzecznie jak uczeń przy tablicy.

– A skąd tyś się tu wziął, tak po nocy? – zapytał któryś z pasażerów.

– Chodzę – odparł wymijająco chłopiec – szukam.

Była chwila ciszy. Mgła owijała gęstą zasłoną ludzi, przedmioty, światło. Asfalcjarka, odległa o parę metrów ledwie, już niewidoczna prawie.

– Nawet specjalnie się nie krył – dodał wysoki mężczyzna, który widział wszystko.

– Pół tony wypuścił – odezwał się młodszy z obsługi.

A chłopiec wszystkim patrzącym na niego odpowiedział badawczym i wyczekującym spojrzeniem.

## Martwa ulica

Aż tutaj Arab odprowadził jasnowłosą dziewczynę. Szedłem za nimi. Nie wiem dlaczego. Może to pozostałość z lektur dzieciństwa? Przypomnieli się Beduini i ich dromadery? Arabów w moim mieście coraz więcej. Spowszednieli. Hałaśliwi i cwani. Są miejsca pełne ich szwargotu. Ten taki jak inni. Poderwał dziewczynę i obejmował ją w pół. Najpierw wyrывała się. Potem pozwoliła. Pewnie coś obiecał. I szedłem za nimi. Ulica nazywała się Mohylewska. Oni weszli do bramy. Stamtąd na skrót drogą prowadziła do nieotynkowanych jeszcze i szarych jak maść nowych bloków. Pozostałem przed bramą. Była to ulica na wschodnim końcu miasta, wciśnięta między nasyp kolejowy i te nowe bloki, wznoszone na terenie dawnych ogródków działkowych. Ślepo kończyła się przy wiadukcie. Nie jeździły tędy tramwaje ani autobusy. Przechodniów też nie widziałem wcale. Rzędem stały stare, zniszczone kamienice i przyklepione do nich drewniane przybudówki, w podwórzach parterowe oficyny i budy. Cicho było i martwo. Zmierzchało już i przez to stało się jeszcze bardziej pośpiesznie. Patrzyłem na ceglaste mury przydymione sadzą z parowozów, która latami na nich osiadała. Domy na tej ulicy sprawiały wrażenie umarłych. Niektóre okna zabite dyktą, inne, bez szyb, odsłaniały puste, ciemne wnętrza. Oto drzwi narożnego sklepu czy szynku, do którego wchodziło się po trzech stopniach. Drzwi były obłożone żelaznymi sztabami. Sztaby zardzewiały, dawno nie używane. Mimo to domy te nie były przecież zupełnie opuszczone. Z kilku kominów cienkimi strużkami sączył się dym; w niektórych oknach firanki i na parapetach doniczki z pelargoniami, słoje malin czy wiśni. A nawet w jednym zauważyłem nieruchomą, przyklepioną do szyby twarz kobiety. Patrzyła przed siebie. W podwórzu za bramą na przestrzał otwartą gołębnik, na jego daszku okrytym drucianą siatką kilka ptaków też nieruchomych, pogrążonych we śnie.

Szedłem powoli po kocich łbach jezdni i coraz mocniej osaczała panująca tutaj martwica. Mury domów napierały z jednej strony, nasyp kolejowy z drugiej. Spomiędzy kamieni bruku wyłaziła lica, szara od kurzu trawa, rosła nie wiedząc jakim sposobem na tym piachu, żużlu, wśród kamieni. Wyobraziłem sobie mieszkańców tych domów. Zamajaczyła mi wyimaginowana historia tej ulicy. Zapragnąłem dotrzeć do sedna tego życia. Wszedłem do bramy najbliższej czynszowej rudery. Mimo ciepłego wieczoru ogarnął mnie wilgotny, przenikliwy chłód. Ściekiem pośrodku bruku płynęła gęsta, błotnista woda. Błazniana skrzynka na listy przymocowana do ściany była pognięta i przegródki oznaczone numerami mieszkań puste. Kamienne, wyślizgane schody prowadziły do góry. Na półpiętrze były zerwane, drewniana, pochyła kładka ze szczeblami pozwalała dostać się wyżej. Z drugiej strony bramy schody były całe, ale mieszkania opuszczone, bez drzwi i podłóg, oczekiwały na remont lub rozbiórkę. Nie wiadomo skąd dochodził głos przypominający niemrawe poszczekiwanie psa. Wróciłem na ulicę. Ruszyłem dalej, mając po jednej stronie kolejowy nasyp, a po drugiej mury czynszowych domów, placyki zarosłe chwastami, stosy cegieł i krzywe, powyłamywane parkany. Pod ścianą zrujnowanej fabryczki stał na podpórkach z kamieni zardzewiały wrak archaicznego Opla. Na tej ulicy wszystko było jak za dawnych, bardzo odległych lat. Ale zachowawszy ten nie zmieniony kształt, było już umarłe, oczekujące na swój ostateczny kres. W oknie suteryny paliło się światło i tam w głębi siedział na zydlu szewc w długim fartuchu, miarowym ruchem nabijający szpilki na obcas buta osadzonego na kopycie. Robił wrażenie jakiegoś wprawionego w stały, niezmienny ruch mechanizmu. Patrzyłem jak zaczarowany. Uniósł znad kopyta głowę. Odszedłem. Z następnej bramy wytoczył się dziecięcy wózek wy-

ładowany makulaturą. Ciągnęli go dwaj mężczyźni. Byli pijani i odrzucało ich na boki. Wózek chybotął się niebezpiecznie po bruku. Skierowali się w stronę wiaduktu. I nagle pomyślałem o latach, które przeżyłem w tym mieście. Lata te wydały mi się daremne i roztrwonione na marne. Doznałem również przeświadczenia, że następne będą jak zapadanie się w czarny dół bez światła. Będą ślepym trzepotem tonącego. Myślałem o ludziach, którzy rodzili się i umierali na tej ulicy. Ogarnął mnie wielki strach, stare, brzydkie i popękane mury domów zaczęły cisnąć i napierać. Odwróciłem głowę. Po zboczu nasypu pełzał człowiek. Ścinał zielisko, które pakował do worka. Pewnie dla królików. Posuwał się w dół po pochyłości niezdarnie jak robak. Beduini na swych dromaderach!! Ta zamierzchła kraina początku wszystkiego i skrzydlatej wolności. Torem po nasypie z łoskotem przejechał towarowy pociąg. Ten żelazny, dudniący łoskot pozwolił mi ocknąć się z odrętwiałego zapażenia. Uciekłem stamtąd i wkrótce znalazłem się wśród nowych, jeszcze nieotynkowanych bloków, obudowanych metalowymi prętami rusztowań. W porytej przez koparki gliniastej ziemi, pełnej lejów i wyrw, bawiły się dzieci. Właściciele samochodów stojących rzędem przed najbliższym blokiem pucowali szyby, obstukiwali opony, podnosili maski i grzebali w silnikach. Zapalały się pierwsze jarzeniówki. Tamta ulica nie była stąd widoczna. Nie odczułem żadnej ulgi.

## Wieczór autorski I

Miasto schowało się w ciemności. Popsute światło czy latarni tak mało... Ponad dachami domów sterczały wysokie kominy. Miasto było fabryczne i niekiedy w skąpym świetle pokazywały się ponure mury przemysłowej zabudowy i grupki mężczyzn wystające na rogach. Przez wiadukt przemknął pociąg elektryczny i jego jasno oświetlone okna pokazały się na kilka sekund niby błyskawica. Dom Kultury był z czerwonej, starej cegły. Mieścił się tutaj również klub „Postęp”. Nad drzwiami wisiało wielkie hasło na płótnie. Ale słowa nie dawały się odczytać. Zakrywała je wilgotna jesienna ciemność. Pisarz miał do wyboru dwa opowiadania. Przed drzwiami przystanął i zastanawiał się. *Aloes czy Skąd ten krzyk?* Nacisnął klamkę. Ciężkie, masywne drzwi ustąpiły z oporem, skrzypiąc i zgrzytając. Pisarz wszedł po kamiennych, wyslizganych schodach na półpiętro. Tam drogę zagroził mu barczysty mężczyzna w waciaku i okularach.

– Karta wstępu jest? – popatrzył nieufnie.

Pisarz wymienił nazwisko osoby, do której miał zwrócić się po przybyciu.

– Tam – portier wskazał kierunek.

Żarówki w drucianych koszulkach wypełniały korytarz żółtym, dworcowym światłem. Przy szatni kłębił się tłum dziewczyn i chłopców. Ściany ozdobione były gazetkami ściennymi za szkłem i jaskrawymi plakatami. W pokoju naprzeciw szatni urzędowała kierowniczką. Uśmiechnęła się do pisarza.

– Już się niepokoiłyśmy – powiedziała wskazując mu miejsce na miękkim fotelu przed swoim biurkiem.

Przy drugim biurku siedziała rosla czarnowłosa dziewczyna. Wystukiwała jakieś pismo na maszynie.

– Kawę czy herbatę? – zapytała nie zaprzestając pisania. Na podłodze stało słonko do ogrzewania. Ale wyłączone. Jedną ścianę zajmowały półki ze skoroszytami. „Sprawozdawczość za...” – zdołał odczytać pisarz na jednym ze skoroszytów.

Kierowniczką podsunęła mu dwie jego książki.

– Proszę napisać coś dla biblioteki...

Wymyślił na poczekaniu sztampowe słowa zadowolenia i przyjemności z odwiedzin tutaj. Kierowniczką przypatrywała mu się. Zmieszał się nieco. Zapalił papierosa, żeby dymem odgrozić się od tego spojrzenia i jakąś czynnością wypełnić milczenie.

– Czytałam i zastanawiam się... – odezwała się kierowniczką – skąd pan zna to środowisko?

Cały czas przypatrywała mu się uważnie. Czarnowłosa przestała stukać na maszynie. Pisarz rozłożył ręce z konwencjonalnym uśmiechem. Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł mężczyzna w skórzanej marynarce.

– Danusiu... – zwrócił się do czarnowłosej – pożycz mi szklaneczkę...

Spojrzał na pisarza i mrugnął do niego porozumiewawczo. Kierowniczką uniosła się w fotelu i wspierając dłonie o blat biurka, powiedziała surowo: – Szklanki są tylko do kawy i nie ma na wynos.

– Jaki tam wynos – wruszył ramionami mężczyzna w skórzanej marynarce – rozlejemy na miejscu.

Czarnowłosa już cofała dłoń ze szklanką. Przytrzymał ją zreźnie za przegub i z wesołym uśmiechem wyłuskał szklankę z jej dłoni.

– Życiowa sprawa – odezwał się pisarz, kiedy tamten wyszedł – zabrakło szkła...

– Skąd pan zna to środowisko? – powtórzyła kierowniczką.

Twarz miała jeszcze ładną, lalkowatą, ale już podniszczoną. Wielkie oczy podmalowane były zielonym kolorem. Nerwowym ruchem założyła nogę na nogę. Obciągnęła spódniczkę.

Pisarz odpowiadał powoli, starannie dobierając słowa. Nie chciał mówić wprost. Mówił o Benku Kwiciarzu, swoim przyjacielu z wypraw na wyścigi, o Kwadratowym, nieugiętym połykaczu z Gęsiówki, o paserach i dawnych melinach na Pradze. A zakończył: – W takiej dzielnicy spędziłem młodość. Na przedmieściu właśnie...

Kierowniczką nie była jednak zadowolona z jego odpowiedzi. To wyczytała w jej oczach. Milczała. Czarnowłosa sporządzała rachunek dla pisarza.

– Data urodzenia?... – pytała. – Żonaty?... Numer legitymacji waszego związku?...

– Wszystko to rozumiem – powiedziała z namysłem kierowniczką – ale...

Skrzypnęły, drzwi. Pokazała się czerwona twarz portiera. Skinął dyskretnie na kierowniczkę. Wyszła pozostawiając uchylone drzwi. Przy szatni kłębił się tłum dziewczyn i chłopców.

– Dziś, jak co czwartek – rozległ się głos kierowniczką – dyskoteka zacznie się później, przedtem odbędzie się spotkanie z pisarzem...

– Mamy bardzo trudną młodzież – powiedziała czarnowłosa z wychowawczą troską.

Pisarz pokiwał głową.

W lustrze na korytarzu dziewczyny czesały się starannie i malowały usta. Szykowały się na dyskotekę.

– Czasem – dodała czarnowłosa – przynoszą po kryjomu wódkę i rozrabiają.

Pisarz ciągle jeszcze zastanawiał się nad wyborem opowiadania. *Aloes czy Skąd ten krzyk?* Jak zwykle przed takim spotkaniem, odczuwać zaczął podniecenie, niepokój, niechęć, spody dłoni stawały się wilgotne. Wróciła kierowniczką.

– Mamy trudną młodzież – oświadczyła – ciężko do niej trafić.

Zajrzała do jednej z książek pisarza. Przerzuciła kilkanaście stron, zatrzymała wzrok w jakimś miejscu.

– To zdanie na przykład... – powiedziała półgłosem. Spojrzała na zegarek. – Musimy zaczynać...

Poszli korytarzem. Skrzypiała czarna, pokryta pyłochłonem podłoga. Szatnia już opustoszała. Tylko przy małym stoliczku siedzieli dwaj w kolejarских mundurach. Grali w szachy. Pisarz zatrzymał się, przypatrując się ich grze. Szachy, a niezupełnie. Zdziwił się. Robili po dwa ruchy.

– Przecież tak nie można – odezwał się obserwując nieprawidłowe przesuwanie figur.

Jeden z graczy uniósł głowę.

– A jak się tak umówić? – odpowiedział i zaraz pogrążył się w medytacji nad szachownicą. Portier odpychał chłopaka w ortalionowej, jaskrawej kurtce.

– Bez karty wstępu nie można – powtarzał.

Tamten napierał na niego uparcie i milcząco.

Pisarz i kierowniczką znaleźli się w dość dużej sali. W kącie stało pianino i pudła aparatury muzycznej. Całą ścianę zajmował plakat o treści politycznej. Salę wypełniał tłum dziewczyn i chłopców. Niektórzy siedzieli. Inni stali. Powitano ich oklaskami jak na akademii. Wszyscy spoglądali na pisarza. Panował tutaj zatechły chłód, charakterystyczny dla starych murów, w rogu pod sufitem rozsiadł się okazały zaciek. Jarzeniówki rozjaśniały wnętrze ostrym światłem. Pisarz w tym świetle dłonie miał sinawe, trupie. Przez chwilę poruszał lekko palcami, zaciśniętymi na zwitku maszynopisu. Otwarte drzwi prowadziły do następnej, mniejszej sali. Tam pośrodku stał długi stół, przykryty zielonym sukniem i zastawiony coca-cola, winem, wódką, półmiskami z wędliną i ciastkami. Przy stole siedzieli sami mężczyźni. Jeden z nich wstał. Za jego przykładem poszli inni. Unieśli kieliszki. Wypili.

– Klub naszej inteligencji technicznej – wyjaśniła szeptem kierowniczką. – „Postęp”.

Pisarz usiadł przy chybotliwym stoliku; stąd miał widok na tę drugą, mniejszą salę.



– Usunęliśmy drzwi – dodała kierowniczką – w tych salach urządzamy dyskotekę. Duża frekwencja.

Panował gwar. Dziewczyny i chłopcy trzymali się osobno. Spoglądali na siebie i wymieniali jakieś uwagi. Chichotali. Kierowniczką zastukała ołówkiem w blat stolika. Zaczęła mówić. Wymieniła nazwisko pisarza i podała kilka tytułów jego książek.

*Aloes czy Skąd ten krzyk?* Wciąż wahał się pisarz. Co bardziej przemówi tutaj? Mimo tego jarzeniowego światła był jak w ciemności. Rozglądał się po twarzach wokół. W pierwszym rzędzie siedzieli najstarsi chłopcy. Wśród nich wyróżniał się jeden ostrzyżony na jeża, w rozpiętej kraciastej koszuli, z której wynurzał się rozległy, trudny do odczytania tatuaż. Rozsiadł się wygodnie, szeroko rozstawiając nogi i trzymając na kolanach zaciśnięte dłonie. Wyglądał jak gospodarz wśród swojej rodziny na zbiorowej fotografii. Trzepnął w plecy sąsiada, który coś mu zaszeptał do ucha. Do pisarza uśmiechnął się serdecznie.

– Jego książki – kończyła kierowniczką – takie jak *Ten stary złodziej*, *Silna gorączka* czy *Trampolina*, opisują warszawskie przedmieścia, trudną młodzież, jej życie, gwarę, konflikty z prawem...

Nie słuchali raczej, choć panowała karna cisza. Potakiwali kierowniczkę, kiedy kończyła zdanie i zastanawiała się nad początkiem następnego. Równocześnie wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia i gesty. Dotyczyły one jakichś podskórnych spraw, nie związanych z tym, co dzieje się w tej chwili.

Pisarz rozłożył na stole maszynopis monologu *Skąd ten krzyk?*

Kierowniczką zakończyła swą wypowiedź. Rozległy się burzliwe oklaski. Lubili to robić i przedłużali, dopóki się dało. Kierowniczką niecierpliwym gestem urwała tę owację. Pisarz odchrząknął i chciał już mówić. Przerwał mu głośny chóralny śmiech z mniejszej sali, gdzie bankietował „Postęp”.

– Zaprawili się inżynierkowie – powiedział ten ostrzyżony na jeża.

Śmiech z libacji ucichł wreszcie. Mógł już zaczynać. Na początku próbował wyjaśnić, na czym polega stosunek literatury do życia. Sposób, w jaki tworzywo staje się podstawą fikcji. A też o formie luźnej opowieści i potocznym języku, którym się posługuje, nadmienił. Zniechęcił się jednak szybko, gdyż nie odczuł najmniejszego zainteresowania. A choć słuchacze mieli spojrzenia w niego utkwione, to ich oczy były puste, dalekie i obce.

Sięgnął po *Skąd ten krzyk?* Czytał bardzo głośno, pokonując gwar dochodzący z mniejszej sali. Blisko przed sobą miał tych w pierwszym rzędzie. Podnosząc niekiedy głowę znad papieru zauważył, że nie tylko ten ostrzyżony na jeża ma tatuaż. Inni też. Spod mankietów koszul wysuwały się niebieskie sztylety, węże, monogramy i serca.

Monolog pełen był wulgarnych powiedzeń, pijackich awantur. Prymitywne, zwierzęce życie. Z satysfakcją stwierdził, że sala ucichła. Nawet te leciutkie szmery, szepty wygasły całkowicie i oczy tych w pierwszym rzędzie zabłysły ciekawością. Co dosadniejsze słowa kwitowali głośnym śmiechem.

– Prawidłowo – powtarzał ten ostrzyżony na jeża, który wyglądał na prowodyra.

Pisarz skończył i wytarł chusteczką spocone czoło. Zapalił papierosa. Ostrzyżony na jeża zdobył z tyłu popielniczkę i podał mu ją usłużnie.

– Dobrze – powiedział. – Samo życie. – Rozejrzał się i dodał: – Na dole u Wiśniewskich jeszcze lepiej po gorzałce rozrabiają.

– I słowa siemasz – wtrącił drugi, o beczelnych oczach – czyli bluzgają...

– Pan tak wali prosto z mostu – odezwał się osiłek, który zaciągał się chciwie maleńkim, parzącym palce niedopałkiem.

– A co pan powie o tych gitach? Mówią, gity jakieś są? – zapytał ten o beczelnych oczach.

– Podobno są tacy – przytaknął pisarz – język mają swoisty, czyli grypsere... szczyty, świr, mojka, jarać, cwel... – wyliczył kilka terminów z tego języka.

Zdziwili się obłudnie.

– Takie słowa są? – powiedział ostrzyżony na jeża.

I za chwilę zwrócił się do sąsiada, który otwierał właśnie paczkę papierosów: – Kopsnij szluga!

– Szlug – powtórzył pisarz też z obłudnym zdziwieniem.

– Gdzieś tak mówią – powiedział ktoś z tyłu – na papierosy znaczy.

– Ja tam nie lubię tych gitów – odezwał się ten o bezczelnych oczach. – Podobno łobuzy. Wolę tych długowłosych, ładni tacy.

Ci z klubu „Postęp” co raz przechodzili przez salę. Byli to mężczyźni w średnim wieku, barczyści, a nawet otyli, rozczarwieni od wódki. Szli ostrożnie, na palcach i znikali w korytarzu.

– Może przeczytam jeszcze jedno opowiadanie – rzekł pisarz. – Zupełnie inaczej napisane.

Rozłożył kartki z *Aloesem*. Zaczął. Ale już nie słuchali. Nawet w momentach drastycznych, najeżonych brutalnością nie słychać było śmiechu. Tekst nie nadawał się do głośnego czytania. Do takiego doszedł wniosku i denerwował się coraz bardziej. Tylko jeden, siedzący pod ścianą, słuchał. Twarz miał bladą, z nikłą bródką. Trzymał się na uboczu i był bardzo skupiony. Może też próbuje pisać?

Kierowniczką spoglądała na zegarek. Wtedy pisarz zrozumiał. Oni czekają na dyskotekę. Już nie dokończył. Urwał po prostu. Rozległy się burzliwe oklaski.

– Samo życie – powtórzył swą opinię ostrzyżony na jeża. Ziewnął i dodał nagle: – A ja tam wolę tych przystojnych, a nie ładnych, prawda?

Pisarz przytaknął z powagą. Znał te pułapki. W języku gitów „ładny” jest obelgą, „przystojny” – komplementem.

Usunął dłonie z połyskliwego blatu. Pozostał po nich wilgotny ślad. Schował kartki do kieszeni. Wstał. Jeszcze mu poklaskali. Przy aparaturze muzycznej pojawił się już fachowiec. Kilku chłopaków zaczęło się gibać tanecznie.

– Obawiałam się że przekroczy pan czas – powiedziała kierowniczka – obiecałam im koniec o ósmej.

– Akurat – powiedział pisarz.

Kiedy wychodził z sali, w gromadzie chłopaków posłyszał głośne słowa: – Zgred, ale oblatany. – Obejrzał się. Wszystkie twarze były jednakowo młode, lekko uśmiechnięte, nieprzezniknione.

W drzwiach przystanęli grzecznie i poczekali, aż wyjdzie pierwszy.

Minął stolik, przy którym dwaj kolejarze ciągle grali w te szachy-nieszachy. Nad stolikiem pochylił się jeden z bankietujących w klubie „Postęp”.

– Szaszki czy warcaby? – zapytał i nie czekając na odpowiedź pośpieszył do ubikacji.

Do pisarza zbliżyła się dziewczyna z długimi blond włosami. Chciała się dowiedzieć, gdzie można wysłać do oceny wiersze.

– Liryki – podkreśliła.

Pisarz wymienił kilka miesięczników. Podziękowała dygając jak grzeczna uczennica. Odeszła przetaczając masywnymi biodrami. Pisarz znów znalazł się w pokoju kierowniczki.

– Może herbaty? – zapytała czarnowłosa.

Podziękował.

– Bo ja – powiedziała kierowniczka – znałam trochę to środowisko. Ale z boku tak, raczej z dystansu. A pan?

– Ja z wewnątrz – odparł.

Czarnowłosa wręczyła mu kopertę z pieniędzmi. Schował do kieszeni.

– Powinien pan przeliczyć.

Rozległo się pukanie. Do pokoju wślizgnął się chłopak o kędzierzawych jak runo włosach. Ukłonił się nisko.

– Pani kierowniczo, czy mógłbym kogoś wprowadzić?

– Tylko dziewczynę – odpowiedziała.

– To jest kolega – rzekł z zafrasowaniem. – Przyjechał z daleka...

Zatoczył się i zaleciało od niego wódką. Odprawiła go energicznym gestem.

– Wprowadzają obcych – mruknęła – a potem trzeba wzywać milicję.

– Jak w tamtą sobotę – dodała czarnowłosa.

Jeszcze wszedł jeden. Bez pukania. Poprosił o karty do bridża. Czarnowłosa zażądała legitymacji. Wpisała jego nazwisko do grubego brulionu.

Pisarz spojrział na zegarek. Pożegnał się. Spieszył się na pociąg. Odprowadzało go uważne i chyba zawiedzione spojrzenie kierowniczkii.

## Wieczór autorski II

Spotkanie z pisarzem miało charakter uroczysty. Kwiaty, stoisko z jego książkami, kilkadziesiąt osób i sensowne pytania. Próżność pisarza tym razem w pełni została zaspokojona. Nawet wręczono mu prezencik w postaci gazowej zapalniczki, których próbną serię zaczął produkować Energom.

Po spotkaniu dyrektor zaprosił do swego gabinetu na poczęstunek. Grono było ścisłe. Pisarz, którego opowiadanie *Kiedy ranne wstają zorze* bardzo spodobało się dyrektorowi. Dyrektor właśnie, człowiek o skromnym zachowaniu i upartej, kwadratowej brodzie. Jeszcze główny technolog i kierownik świetlicy, okularnik z nerwowym tikiem lewego policzka, rzeczywiście odczytany, jak sam mówił – rozkochany w literaturze. Otworzył dyrektor swój barek i zasiedli przy stole konferencyjnym, pokrytym mahoniowym fornirem z wysokim połyskiem. W tej brązowej tafli odbijały się dosyć wyraźnie ich twarze. Każdy z nich trzymał pod ręką egzemplarz ostatniej książki pisarza z jego dedykacją. Kierownik świetlicy z zadowoleniem penetrował zawartość baru i z własnej ochoty podjął się roli szafarza.

Obok pisarza usiadł główny technolog i demonstrował mu sposób używania zapalniczki.

– Wcale nie ustępują zachodnim – podkreślił – mimo pewnej toporności.

– Te grzyby... – powtarzał ze śmiechem dyrektor – ...jak to oni zbierali. Zupełnie jak u nas, kiedy rada zakładowa autokarem wycieczki organizuje...

– Wiedziałem, że zainteresuje pana dyrektora – ucieszył się kierownik świetlicy – to dobry pisarz.

Wypili pod słońce paluszki.

– Taki początek – powiedział dyrektor – drink, jak tam na świecie mówią...

Skinął na kierownika świetlicy. Ten wybiegł z gabinetu. Słysząc było tupot jego kroków na schodach. Wnet wrócił, zadyszany, z tekturowym pudłem pod pachą. Z tego pudła na stół konferencyjny wykladać zaczął suchą kiełbasę, żółty ser i piklingi. Znalazły się też talerzyki i widelce.

– Męski poczęstunek – oświadczył dyrektor – tak na poczekaniu zaimprovizowany...

– My zawsze – dodał główny technolog – naszych gości całym sercem...

Tempo picia narzucił kierownik świetlicy, czy raczej fabrycznego klubu, jak tutaj mówiono. Ponaglił nerwowo i wódkę golił do dna.

Technolog przychylił się do pisarza.

– Dobry chłop – szepnął – ale szybko ona go rozbiera...

Dyrektor uśmiechał się przyjaźnie, wokół oczu wyskakiwały promieniste zmarszczki.

– Śmiało pan pisze – rzucił przez stół. – To grzybobranie takie, jak trzeba.

– Tylko u nas ludzie nie podgryzają dyrektora – wtrącił przypoohlebnie kierownik świetlicy. – Swoją chłop z naszego bossa.

– Nie przesadzajmy – machnął ręką dyrektor. – Wszędzie ryją.

Główny technolog zgrabnie ściągał skórę z piklinga. Podsunął oprawioną rybę dyrektorowi.

– Sam pan widzi, kolego Marku – zatarł dłonie kierownik świetlicy. – Pańskie utwory trafiły na podatny grunt.

Główny technolog pogładził książkę. Przewrócił stronę i zatrzymał wzrok na obwolucie, gdzie wypisane były tytuły książek tego autora.

– Namachał pan niemało – mruknął. – Gratulacje.

– Ja na literaturze się znam! – powiedział donośnie świetlicowy. – Czuję. Faulkner, Steinbeck, Dos Passos, już Hemingway znacznie słabszy... Albo z ruskich, Babel, Platonow. Oni stworzyli wizję ludzkiej udreki. Udreki! – powtórzył. – Bo czyż życie nie jest udreką?

Dyrektor znów uśmiechnął się dobrotliwie.

– Lubi patos – szepnął technolog pisarzowi. – Ale źle u nas nie ma. Doceniamy jego umiejętności.

– Hłaskę też znałem – wyrzucił z siebie pośpiesznie kierownik świetlicy. – Obijał się w tych stronach. Niejedną wódkę wypiliśmy... Ciężarówką jeździł. Dziki Zachód tu wtedy... No nie?

Dyrektor pokiwał głową. Wyglądał na równego chłopca. Niedbale zawiązany krawat, szary garnitur i mocne, szerokie dłonie. Skromny taki.

– Kto z was czytał Hłaskę? – zapytał kierownik fabrycznej świetlicy.

– Drogi kolego – odparł główny technolog – to już pańska kompetencja. Zresztą nigdy nam pan tego autora nie polecał. Kierownik świetlicy nie zwrócił na jego słowa żadnej uwagi. Wyciągnął przez stół rękę i wskazującym palcem stuknął w pierś pisarza.

– Oto jego następca – powiedział.

Pisarz wznosił kieliszek.

– Żeby takich, jak panowie, przyjaciół literatury było więcej!

Wypili. Za oknem noc. Chybotliwe światło latarni z fabrycznego placu wpadało do gabinetu, w którym panował półmrok. Zapalono tylko dwa boczne kinkiety na ścianie. Była to inicjatywa kierownika świetlicy.

– Bardziej nastrojowo – uznał. – Dość tych reflektorów, co oślepiają.

Pisarz spoglądał w ciemność za oknem. W ciemności zarysy kominów, masyw głównej hali produkcyjnej, dźwig z czerwonym światłem na końcu łąpy. Dyrektor uczynił krótki gest dłonią i kierownik świetlicy otworzył drugą butelkę winiaku w plecionym koszyczku.

– Cały bar panu opróżnimy – zauważył pisarz. – Wyczerpiemy zapas na długo przeznaczony.

– Ii tam – zbagatelizował dyrektor. – Żeby tylko takie straty były.

– A ile to razy te osoby z rady wpadają – rzekł kierownik świetlicy. – Charty takie...

Zmarszczył czoło, chwilę myślał intensywnie i rzucił do pisarza: – Czytał pan *Pod wulkanem*?

Pisarz przytaknął.

– Niezwykła książka – rzekł kierownik świetlicy. – Co jakiś czas ją powtarzam.

Wzdrygnął się, jakby znów *Pod wulkanem* przeżywał.

– Wrażliwy – szepnął główny technolog. – Jak kobieta – dodał jeszcze ciszej.

Jednak kierownik świetlicy posłyszał ten szept, jego pierwszą część właściwie, i popatrzył wojowniczo.

– Wrażliwy – powtórzył. – Pewnie! Kto was do książek wciągnął? Kto wam podsuwał Grahama Greene'a, Cortazara, tego, jak on tam, co taką wariacką o wojsku, no, *Paragraf 22*...

– Zdjął okulary, zamrugał bezradnie oczyma, przetarł szkła chusteczką.

– Heller – odpowiedział pisarz.

– Ta o wojsku bardzo dobra – przytaknął dyrektor – w niedzielę skończyłem... Znam się trochę na tym. Sam od Lenino cały ten szlak bojowy zdeptałem...

– Jak nasz dyrektor wystąpi na akademii – odezwał się główny technolog – to medale tylko dzwonią. Cała pierś.

– Dajcie spokój – przerwał mu niecierpliwie dyrektor. Musnął go krótkim, ostrym spojrzeniem. Technolog zmieszał się i uśmiechnął niewyraźnie. Kierownik świetlicy napełnił kieliszki. Czynił to jednak już nieudolnie. Drżała mu ręka, rozlewał. Dyrektor z naganą popatrzył na zalany wódką błyszczący fornir stołu konferencyjnego.

Technolog, niemłody mężczyzna, ze stałym, jak przylepionym uśmiechem, odebrał świetlicowemu butelkę i sprawnie zajął się napełnianiem kieliszków. Kierownik świetlicy popadł w chwilową apatię. Twarz mu obwisła, nerwowy tik ustał i tylko poruszał wargami. Sprężył się niespodziewanie i przechylając się przez stół chwycił pisarza mocno za przegub dłoni.

– Tyle mam panu do powiedzenia! To pańskie opowiadanie *Robaki* na przykład. Baby jak wrzód! To prawda. Ciągłe pęcznienie, boli, pęka i abarot!

Pisarz chrząknął zakłopotany.

– Albo te kłaki na nogach. Też na to reaguję! Panie, to jest otchłanny temat... – Oczy mu rozgorzały i ze zdwojoną mocą powrócił nerwowy tik na lewy policzek.

– Łatwo popaść w kłopoty – wtrącił główny technolog. – Jak to było z tą Jadzią?

Dyrektor zachichotał całkiem po sztubacka.

– Eh! – obruszył się kierownik świetlicy. – Trywialna sprawa. Miałem taką cizię – wykonał miarowy, jednoznaczny ruch ręką zgiętą w łokciu. – Mąż wywęszył, zrobił się szum...

Dyrektor ciągle chichotał, zakrywając usta dłonią.

– Artystyczna dusza – powiedział złośliwie główny technolog. – Motyl. Tak sobie fruwa tu i tam.

– Motyl! – warknął kierownik świetlicy. – Motyl z przypalonymi skrzydłami – uśmiechnął się gorzko. – Czy tu jest miejsce dla motyli? Niech pisarz powie.

– Ciężko motylom – zgodził się pisarz. – Tyle tych reflektorów i pułap taki niski...

– Komu nie jest ciężko – westchnął dyrektor. – Na przykład ja... Zawałowy zawód. Ilu kolegów już do niczego. Laseczka, człap, człap po parku z wnuczętami, i gołębie karmią.

– Motyl – wrócił do poprzedniego tematu świetlicowy. – Kawalerem jestem, więc dlatego mam sobie żałować.

– Jednak nie udało się koledze z panią naczelnik – zauważył główny technolog. – Twarda sztuka.

– Jaka tam twarda! – zachnął się kierownik świetlicy. – Wie, komu dawać.

– Baby – powiedział dyrektor. – Istny lep. Ta nasza naczelnik groźna taka, narady, odprawy, kontrole, dyrektywy, a na dansingu w Centralce jak ogień, tańczyła, piła. Urodziwa. Taki biust!

– Mówią pokątnie – dodał główny technolog – że tym biustem pozycję sobie wywalczyła. Gdzie trzeba, tam umie pokazać. Nie tylko... – zawiesił dwuznacznie głos.

– Wykształcona – ciągnął dyrektor – magister ekonomii... Doktoryzować się zamierza.

– I co z tego? – przerwał mu z gniewem kierownik świetlicy. – Miała sieczkę we łbie i będzie mieć. To tylko instynkt, zwierzęcy instynkt, mówię wam, dlatego do żłobu nieomylnie podąża... Ja nawet magisterium nie zdażyłem zrobić. Tak się złożyło. Ale pamiętam te nasze noce, dyskusje, sens życia, cel życia, wiedzę chłoniliśmy, Bergson, Freud, Marks, Malinowski, to jego *Życie seksualne dzikich*... Książki, nasz narkotyk. Potrzeba taka. Bez tego żyć nie można...

– Czy ja czas na książki miałem? – zastanowił się główny technolog. – Skąd! A teraz przeprofilować siebie trudno...

Dyrektor pokiwał ze zrozumieniem głową. Świetlicowy błysnął oczyma w stronę pisarza. Jakby złośliwie.

– Też studiów nie skończyłem – odezwał się pisarz.

– Co ja mam powiedzieć, panowie... – rzekł dyrektor. – Jako szesnastoletni chłopak do wojska się zaciągnąłem, cały ten szlak, z wojska do roboty... Z awansu jestem – podkreślił z naciskiem – wieczorowe studia robiłem. Nie zaprzeczam. – I zakończył: – Kierownik naszego klubu to prawdziwy humanista.

Pojaśniał świetlicowy. Uczynił mu dyrektor prawdziwą przyjemność. Napelnił skwapliwie kieliszki. Wypili. Słabo poszło świetlicowemu. Zakrztusił się i wódką parsknął. Dyrektor popatrzył na połyskliwy blat stołu konferencyjnego. Znaczył go porozlewany alkohol. Główny

technolog chusteczką wytarł do sucha stół. Po dyrektorze jak dotąd nie widać było ani śladu wypitej wódki. Oczy jasne, spokojne. Siedział wyprostowany. Taki barczysty mężczyzna o szerokich, mocnych dłoniach.

– Humanista... – zaszeptał do pisarza główny technolog. – Ale smykałkę do pieniędzy to on ma. Pensję godziwą dostaje, a co jakaś impreza, to sobie osobno liczy. Scenariusz opracować musi, tak nam truje. I każe sobie płacić. Scenariusz pańskiego wieczoru również opracował, na trzysta rachunek wystawił... – urwał, gdyż kierownik świetlicy zaczął zerkać na niego podejrzliwie.

Zapanowało milczenie. Technolog zajął się przygotowywaniem kanapek. Kroił chleb w grube pajdy, na które kładł kiełbasę i żółty ser.

– Dla mnie największa przyjemność – powiedział pisarz – to udane spotkanie. Ludzie słuchali, dyskutowali. Interesowali się po prostu.

– Każdą taką imprezę starannie obmyślam – wyjaśnił kierownik świetlicy – często robię quiz ze znajomości dzieł danego twórcy, organizuję głośne czytanie fragmentów jego utworów.

Technolog podsunął półmisek z kanapkami dyrektorowi i w następnej kolejności pisarzowi.

– Niebawem czeka nas poważna uroczystość – ciągnął kierownik świetlicy – akademie z okazji dwudziestolecia powstania naszego zakładu. Prawda, towarzyszu dyrektorze?

Dyrektor potwierdził. Kierownik świetlicy bardzo się ożywił.

– Już szkicuję scenariusz. Nawet wierszyk okolicznościowy przygotowałem.

Zaczął szukać po kieszeniach. Wyciągał jakieś karteluszkę. Nie znalazł jednak wierszyka.

– Niegdyś popisywałem trochę – zwrócił się do pisarza. – Satyry. Biczem satyry, jak to mówią. – Skupił się i wyrecytował dźwięcznym głosem: – To nie żarty, mili druhowie. Dwadzieścia wiosen nam na kark przybyło. Energom to znaczy ofiarne pogotowie...

Dalej nie pamiętał. Niecierpliwie przetrząsał kieszenie. Wyrzucił na stół drobniaki, chusteczkę, klucze na kółku, pomiętą paczkę sportów.

– Mam pomysł! – wykrzyknął. – Na naszą rocznicę zaprosić musimy pisarza. Jakiś krótki utwór kropnie. Coś powie. Uświetni sztuką, że tak powiem. Tylko zapłacić trzeba mu godziwie.

– Dlaczego nie – odezwał się dyrektor.

Kierownik świetlicy przyglądał się z czułością pisarzowi. Opuścił wzrok niżej. Wyciągnął rękę.

– Porteczki jakie to ma. Biedne.

Pomacał welwet. Zatrzymał pełne troski spojrzenie w miejscu, gdzie prążki były wytarte.

– Welwet – bronił się pisarz – modny. Bardzo lubię.

– Eh... – machnął ręką świetlicowy. – Jaki to ambitny.

Dyrektor i główny technolog też z troską popatrzyli na pisarza. Mimo woli przykulił nogi i rękoma przesłonił wytarte kolana.

– Co on zarabia? – powiedział kierownik świetlicy. – Czy dają mu zarobić? My musimy mu pomóc. Mecenat, ot co! – stuknął pięścią w połyskliwy blat stołu konferencyjnego.

Podskoczyły butelki.

– Honorowym pracownikiem naszych zakładów powinien zostać, pensję otrzymywać. Przyjeżdżać będzie do nas raz w miesiącu – z twórczością swoją na bieżąco zapoznawać... Może o nas coś napisze w końcu? Uśmiechał się jak dziecko zadowolone ze swego pomysłu.

Wpatrzył się w dyrektora, czekając na jego aprobatę. Dyrektor stropił się wyraźnie.

– W zasadzie dobry pomysł – zaczął z ociąganiem. – Tylko przepisy, psiakrew...

– Panowie! – roześmiał się pisarz. – Dajmy temu spokój. Przecież to absolutnie nierealne.

Dyrektor dyskretnie spojrział na jego welwetowe spodnie. Nappełnił kieliszki.

– Żeby nasze dzieci – wznosił toast – lepiej miały!

Po tym kieliszku kierownik świetlicy złamał się zupełnie i już tylko wyrzucał z siebie nieartykułowane dźwięki. Kołysał się na krześle, nadaremnie próbując dłonią podeprzeć głowę. Włosy opadły mu na czoło, odsłaniając rozległą łysinę. Główny technolog chusteczką wytarł starannie stół konferencyjny. Okruchy zgarnął w gazetę. Półmisek z niedojedzoną zakąską wstawił do tekturowego pudła. Dyrektor spojrział na zegarek. Trącił łokciem technologa. Ten sprawnie uchwycił kierownika świetlicy pod pachy i uniósł z krzesła. Świetlicowy opierał się nieporadnie.

– Zaraz – mamrotał – zaraz...

Słaby był i nogi ugiwały mu się jak z gliny. Technolog powlókł go do drzwi.

Dyrektor podziękował pisarzowi za miły wieczór.

– Naprawdę – powiedział. – Tak rzadko mi się zdarza stykać z ludźmi spoza swojej branży.

Zgasił lampy, zamknął drzwi gabinetu na dwa zamki. Wyszli z budynku biurowego na fabryczny dziedziniec. Ich cienie poruszały się na murze. Wartownik otworzył bramę. Fiat dyrektora stał pod bramą.

– Odwiezie pan naszego gościa – polecił dyrektor szoferowi.

Wartownik zasunął przeraźliwie zgrzytającą bramę. Pisarz wsiadł do samochodu.

Zawarczała silnik. Zgasł.

– Ssanie nawala – mruknął szofer. Obrócił kluczyk w stacyjce. Znowu zawarczało.

Kierownik świetlicy wyrwał się z objęć technologa.

– Ja też chcę z nim!! – zawołał. – Będziemy razem!

Samochód ruszył. Kierownik świetlicy, zataczając się, uczepił się klamki. Jego twarz była tuż za szybą. Pisarz odruchowo się odsunął.

– Mógłbym coś w lekkiej muzie! Smykałkę do tego mam. Naprawdę! – wołał świetlicowy.

Potykając się biegł przy samochodzie i z rozpostartymi połamami marynarki jak ptak jakiś wyglądał. Dyrektor i główny technolog chwycili go za poły. Zatrzymali. Zwisł bezwładnie. Dyrektor pomachał pisarzowi ręką.

Ciemno w tych Pyzicach. Tylko nieliczne, zagubione światełka. Psy szczekają. Głos się niesie. Pucha. Jak na wsi. A nad tym wszystkim czarne niebo bez gwiazd.



## Wiosna

Stary podniósł do góry flaszkę, zakręcił i podtrzymując ją kikutem drugiej ręki, wysączył do ostatka. Szyjkę butelki obejmował miękko wargami i pił miarowym rytmem. Ten młodszy spoglądał na niego z ukosa. Ale oczu starego nie mógł zobaczyć. Były przymknięte. Stary skończył pić, odchrząknął. Pustą flaszkę postawił między stopami.

Niebo nad nimi było pogodne. Jego delikatny błękit brudził jedynie dym z fabrycznych kominów. Ziemia, na której siedzieli, była pulchna, rozmiękła i zielone ożywienie pojawiało się już pośród żółtej, zgniłej trawy z tamtego roku.

Ten drugi, młodszy, poruszył się gwałtownie.

– Co to wszystko znaczy? – udręka zabrzmiała w jego głosie.

Stary powoli, jak kura na grzędzie, odchylił powieki. Pokazały się wyblakłe, znużone oczy.

– Nie wiem – odparł.

Kikutem zręcznie przycisnął do piersi metalowe pudełko z barwnym rysunkiem na wieczku i drugą ręką je otworzył. Powiódł obojętnym spojrzeniem po krzewach nadrzecznych, hałdach węgla zrzuconego na rampę, barkach i krypach stojących w porcie, wiklinach gęsto porastających brzeg. Opuścił głowę. Na ziemi przed sobą widział czarne, ruchliwe robaczki. Trącił butem pustą flaszkę. Potoczyła się po pochyłym zboczu. Młody śledził sękaty palec starego, wyłuskujące z metalowego pudełka papierosa. Przepelniał go trudny do wyrażenia niepokój. Stary czuł na sobie jego uparte, ciężkie spojrzenie. Zapalił papierosa, zaciągnął się chciwie i z charkotliwym kaszlem wydmuchnął dym z płuc. Młodszy ciągle czekał. Tak zawsze, kiedy postawił flaszkę, wiercił go oczyma i zadawał niespokojne pytanie.

– Jak ta flaszką... – bąknął wreszcie stary. – Wypili my, cisnęli, poleciała sobie gdzie bądź...

– Znaczący, przypadek? – zadał następne pytanie młodszy.

Stary wyciągnął przed siebie kikut w pustym do połowy rękawie.

– Była cała – rzekł mruklawie. – Taki dzień jakby dziś. Strzelali. I oberwało. A drugi obok pagib... Czy my wiedzieli, co komu będzie pisane?

Syreń holownika rozdarła ciszę. Czarny dym poszedł z komina. Za holownikiem jak obudzone zwierzęta poruszyły się barki transportowe. Ich cielska drgnęły i tnąc wodę dziobami, zaczęły sunąć powoli do wyjścia z portowego basenu. Czulo się wiosnę, powiew wiatru muskał ciepło, przyjemnie. Wikliny, jeszcze gołe i zimowe, kołysały się w niesilnym podmuchu od wody.

– Ile to razy – powiedział młodszy, o zniekanej twarzy – robiła się wiosna... Do czegoś to prowadzi?

Stary dopalał skrętnie papierosa. Sękatymi, ale chwytymi palcami obracał malutki niedopałek, zaciągając się głęboko.

– Wiosna – zaśmiał się chrapliwie – prowadzi do lata.

W rzecznych odnogach wciskających się w piach i wiklinowy gąszcz pozostało jeszcze trochę zepchniętego prądem lodu. Topniał w słońcu. Błyszcząca spływająca z niego woda. Ptaki krzyczały, wzbijając się do lotu lub spadając na połyskliwą, falującą powierzchnię rzeki.

– Żerują – mruknął stary.

Mrużąc oczy śledził harce skrzydlatych myśliwych. Jeszcze raz westchnął. Młodszy zwiesił głowę. Włosy miał gęste, niesforne. Pytania, które zadawał, zmęczyły jego twarz. Tam w

dole zaczynał się portowy ruch. Z barek do wagonów podstawionych na rampę sunął na taśmie czarnym potokiem węgla. Słysząc było zatarty chrzęst potracających się brył węgla i głosy tragarzy. Młodszy uniósł głowę i z jego twarzy spłynęła zaduma.

– Czas na mnie – powiedział.

Stary przytaknął.

Młodszy rażnym, zwinnym krokiem pobiegł z boczem w dół, do portu. Śpieszył się do roboty. Stary patrzył za nim. Już był tylko małą figurką. Zniknął wśród takich samych figurek. Stary też dźwignął się z ziemi i niespiesznie podążył w swoją stronę. Mieszkał tu w pobliżu. Domek był mały, wpadnięty w ziemię, z mchem porastającym słomianą strzechę. Obejścia pilnował biały, chudy pies na łańcuchu. Zamachał kilka razy ogonem na widok starego. Suche chwasty zarastały podwórze i w błotnistej kałuży taplały się gęsi. Kura dziobała gnojówkę. Gnojówka puściła już zielony sok. Na płocie wisiała martwa wrona dla odstraszenia jastrzębi. Stary stał pośrodku podwórza i medytował nad czymś. Ruszył w stronę domu. Szedł nie omijając kałuży i nie czując wcale wody, która wlewała się do płytkich kamaszy. Pies jeszcze parę razy zamachał ogonem i pokręcił się wymownie nad pustą miską. Zaszczekał cienko. Stary poruszył kikutem. Załopotał pusty rękaw marynarki. Pies schował się w budzie. Stary wszedł do sionki. Potknął się o szaflik. Podłoga trzeszczała, kiedy stapał. Przystanął. Ciemno. Cicho. Muchy jeszcze się nie pojawiły i odczuł nagle brak ich monotonnego bzykania. Izba była przepelniona ciężką, przykrą wonią. Pod ścianą, na szerokim łożu, w brudnej pościeli, przykryta kraciatą pierzyną, leżała stara kobieta o twarzy wykrzywionej bólem, nalanej, zastygłej jak woskowa maska. Pochylił się nad nią. Wpatrzył się w zlepione potem rzadkie włosy i sinawe, lekko rozchylone usta. Oczy miała szeroko otwarte, zmętniałe i nieobecne. Czoło błyszczało lepłą, chorobliwą wilgocią. Naraz jęk jak szmer wydobył się z jej rozchylonych ust.

– Lepiej ci? – zapytał stary.

I nie czekając na odpowiedź podszedł do pieca. Z trudem pochylił się i pogrzebaczem przegarnął popiół w palenisku. Znieruchomiał na chwilę, wpatrzony w czarną jamę.

– Do czegoś to prowadzi? – powtórzył pytanie młodego znad rzeki.

Ni to się zaśmiał, ni to stęknął. Wybrał ze stosu polan pod piecem kilka cieńszych szczap, trochę chrustu. Owinął w gazetę i wsunął do paleniska. Podpalił. Zahuczało ogniem. Stary przykucnął i z upodobaniem wsłuchiwał się w dudniący głos ognia.

– Cug – zamruczał.

Zaskrzypiało łożko. Obejrzał się. Kobieta drgnęła lekko. Też posłyszała głos ognia.

## Tamto lato

*Matce*

Tamto lato było rude od kurzu. Takim widokiem przywitało mnie ceglaste, osypujące się rumowisko za bramą Gęsiówki.

Na gruzach, porosłych z rzadka łopianami i pokrzywą, siedzieli ludzie. Przeważnie kobiety. Oczekiwały na tych, co wychodzili na wolność. Był to czas amnestii. Wielu wychodziło wtedy na wolność.

Pamiętam więc doskonale ten upalny dzień. Żółte mury starego więzienia i ceglany, rudy kurz, który wznosił się ponad gruzami. Towarzyszył temu stuk kilofów obtłukujących cegły. Ciężarówki i konne platformy przetaczały się wąwozami wśród ruin miasta. Usuwali gruzy.

Moja matka była z walizką. Poszliśmy ścieżyną wśród zwałów cegieł i za ocalałym fragmentem ściany, gdzie śmierdziało moczem, przebrałem się szybko. Zrzuciłem to woniejące dezynfekcją i pomięte ubranie z worka depozytowego, które otrzymałem w magazynie. Ubrałem się w białą wiatrówkę i szare, starannie odprasowane spodnie. Stare zimowe buty pozostawiłem w gruzach. Matka wyjęła z walizki skórzane plecione półbuty, które kupiła z okazji mojego wyjścia na wolność. Odetchnęła z ulgą, kiedy okazały się nie za ciasne.

Przy sobie miałem dwa grypsy i to było dla mnie najważniejsze. Chciałem od razu udać się z tymi grypsami pod wskazane adresy, ale pod błagalnym spojrzeniem matki ustąpiłem. Pojechaliliśmy do domu. Tam czekał na mnie powitalny, obfity obiad.

Otrzeptałem białą bluzę z lekkiego rudego nalotu. Zajrzałem do swego pokoju. Ulubione książki na półce. Obrazek przedstawiający starców nad szachami zawieszony nad łóżkiem. Popatrzyłem na to wszystko bez wzruszenia. Odzwyczaiłem się od tego wnętrza i ciągle jeszcze byłem tam za żółtym murem, na Gęsiówce. Ojciec stanął za mną i chrząknął z zakłopotaniem.

– No, chłopcze – zaczął – czas zabrać się do normalnego życia...

Nie dałem mu dokończyć. Wróciłem do stołu zastawionego jedzeniem. Ojciec podreptał za mną.

Najadłem się do przesyty. Ale mimo to nieustannie myślałem o grypsach. Na jeden oczekiwał wspólnik Koli, ruskiego wora. Adresowany był na daleki Targówek. Powtarzałem sobie w pamięci nazwę ulicy. Iść trzeba za wiadukt, Księcia Ziemowita i od niej boczna, Ołycka. Ołycka. Drugi gryps na Annopol, do rodziny Kaczora, maleńkiego i ruchliwego jak rtęć dolińiarza, który w tych swoich drobnych dłoniach miał inny jeszcze talent: rysował i wykłubał piękne tatuaże.

Zacząłem głośno wspominać tamte poobiednie godziny pod celą, kiedy upał i duchota dochodziły do zenitu, a my tresowaliśmy chamów i frajerów lub dawaliśmy okrutną szkołę kapusiom.

Kaczor mieszkał na Annopolu i tam postanowiłem udać się najpierw. Rodzice spojrzeli na siebie.

– Może ja tam pojedę – odezwała się matka – a ty sobie odpoczniesz.

– Albo ja – wtrącił ojciec.

Zaśmiałem się, ubawiony ich pomysłem. Oboje byli nauczycielami i moje ostatnie doświadczenie przerażało ich swoją niepojętą logiką. Znowu gorliwie podsunęli mi półmisek ze schabowymi kotletami i mizerię.

– Jedz, jedz – powtarzali, próbując odsunąć jak najdalej to, co zburzyło ich radość z mojego powrotu.

Odstawiłem talerz. Spojrzałem na zegarek. Wstałem od stołu. Za mną podniosła się matka.

– Pojedziemy razem – powiedziała i mimo mojego gniewnego spojrzenia nie ustąpiła.

Wzruszyłem ramionami.

Daleka to była droga. Przy cerkwi przesiadliśmy się w tramwaj jadący ulicą Świętego Wincentego na bródnowski cmentarz. Stamtąd uliczkami wśród drewnianych ruder podążyliśmy na Annopol. Mijaliśmy ogródki z rachitycznymi krzewami, gołębniki i ciemne, otwarte na przestrzał bramy, w których ślaniali się poszukujący cienia pijacy. Podczas całej drogi milczeliśmy. Ja szedłem pierwszy. Matka z trudem nadążała za mną.

Zaczęła się już ulica Marywilska. Rząd długich, w rdzawym kolorze baraków. W oknach stały pelargonie. Przed oknami zwieszały swoje ciężkie łby słoneczniki. Matka chciała dalej iść za mną. Nie zgodziłem się jednak. Zatrzymała się przy narożnej knajpie, do której wchodziło się po schodkach. Dobiał stamtąd wrzask i woniało kapustą i piwem.

– Nie siedź tam długo – odezwała się matka ocierając chusteczką spoconą twarz. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wystraszył ją mężczyzna o błędnych oczach, który charcząc wypadł z knajpy. Potoczył się kilka kroków i padł na bruk twarzą do słońca. Poszedłem szybko, rozglądając się po numerach. W jednym z tych rdzawych, wpadniętych w ziemię baraków mieszkała rodzina Kaczora. Zapukałem do drzwi. Pochyliwszy głowę, wszedłem do niskiej sieni. Niewidoczny w mroku mężczyzna zagroził mi drogę.

– Ja od Kaczora – powiedziałem.

Przepuścił, a ja potykając się o próg wszedłem do izby, gdzie stara kobieta siedząca na niskim stołeczku obierała ziemniaki. Spojrzała na mnie i coś mruknęła.

– Matka! – krzyknął z sieni mężczyzna. – Cynk od Kaczorka!

Stara kobieta przestała obierać ziemniaki. Podałem jej gryps, ale go nie wzięła.

– Przeczytaj – powiedziała.

Słuchała pilnie, potakując głową. Znowu zabrała się do obierania ziemniaków.

Wtedy dopiero zauważyłem w głębi izby leżącą na łóżku kobietę. Była odwrócona do ściany. Zwróciła do mnie młodą twarz. Wyciągnęła rękę. Podałem jej gryps. Czytała po cichu, poruszając wargami. Sięgnęła pod łóżko. Wyjęła stamtąd litrową butelkę z mętym żółtawym płynem. Stara wskazała grubą szklanekę na stole. Nalałem sobie do połowy. Wypiłem duszkiem. Był to cuchnący bimber.

– Jak mu tam? – zapytała stara. Jej pokurczone, reumatyczne palce zręcznie obracały ziemniaki, nóż zbierał cienką, zwijającą się jak spirala skórkę.

– Daje sobie radę – odpowiedziałem.

– Co by nie miał dawać sobie rady – odezwała się z łóżka młoda kobieta. Bluzkę miała rozpiętą i siny ścieg tatuażu pokazał się na jej piersiach.

– Pierwszy raz nie siedzi – dodał mężczyzna, który reperował w sieni rower.

Chcieli nalać mi jeszcze jedną kolejkę. Pomyślałem jednak o swojej matce i wymówiłem się brakiem czasu. Młoda kobieta sięgnęła po butelkę.

– Nie chlaj tyle – warknęła stara. – Żeby Kaczor chlaj mniej, to by tam nie siedział.

Zaczęły się kłócić. Wyszedłem nie zauważony. Matka spacerowała na rogu. Z knajpy wytaczali się pijacy.

– Już? – zapytała.

Pokiwałem głową.

– Już... dasz temu spokój?

Znowu niedbale pokiwałem głową.

Ruszyliśmy w powrotną drogę.

## Zimna łapa

Z sądu poszliśmy w krzaki, za halę targową. Po drodze kupiliśmy flaszkę, salceson i od znajomego, co ma wózek z wodą sodową, pożyczaliśmy plastikowy kubek.

Sprawę miał Benek rozwodową i jak to w tej procedurze jest ustalone, pierwsze było posiedzenie pojednawcze. Następny termin został wyznaczony za kilka dni.

– Mąż!!! – śmiał się Jurek Impresario. – A za parę dni rozwodnik.

– Ekspresowo załatwili – powiedział Benek – musieli nieźle posmarować.

Był podniecony. Roztrząsał każdy szczegół i podejrzewał właściciela kwaciarni, jego żonę, Zośkę, i jej siostrę, która była jego ślubną przez bardzo krótki czas, o Bóg wie jaką zmo-  
wę.

– Benuś – uspokajał go Olek Osochin – szkoda nerw. Na warszawskim meldunku zależało chamicy i poszedłeś jej na rękę.

Byliśmy w swoim gronie. Przyjaciele Benka. Olek Osochin od wódki. Jurek Impresario na wyścigach typy do porządku i na tryplę mu podaje. Ja pisarz i przez te dwadzieścia lat pisani-  
ny zbierało mi się kilka opowiadań, których bohaterem był Benek.

Siedliśmy na ławeczce pod wierzbą. Siedziała tam już młoda matka z dzieckiem w wózku, ale zobaczywszy, że zabieramy się do odbijania butelki, odeła wargi i opuściła ławkę.

Patrzyłem na swoich przyjaciół. Kiedyś ja byłem młody, a oni starsi. Teraz wyglądaliśmy jednakowo. Pomarszczeni, włosy mieliśmy przerzedzone i wory pod oczyma, a śmiejąc się pokazywaliśmy luki w uzębieniu.

Olek Osochin jak zwykle przechwalał się swoimi sukcesami w bijatykach. Wystawiał wielkie jak łopaty dłonie i mówił:

– Drapnąłem nygusa, o ziemię rzuciłem i nie wstał, nie miał prawa wstać.

Jurek Impresario narzekał na ostatnie niepowodzenia w ruletce.

– Osiemnaście tysięcy jestem do tyłu – powtarzał.

Benek milczał. Wciąż przeżuwał tę sprawę rozwodową.

– Te, rozwodnik – zapytałem – czy ty w ogóle żyłeś z nią?

– Parę razy – odmruknął. – Ale to nie dla mnie towar. Zdrowa, dziewięćdziesiąt kilo wagi, beka łaju wprost. I może całą noc.

Olek Osochin ponaglał do picia. Łapczywy, sam w kubek lał sobie najwięcej. Wódka szybko go ożywiła.

– Ja też mogę całą noc – przechwalać się zaczął swoją krzepą w harcach z babami.

Ale my go nie słuchaliśmy. Dzień był słoneczny. W krzakach świergotały ptaki, na ławkach wygrzewali się emerycy i dzieci bawiły się w piaskownicy. Patrzyłem na Benka. Kumpel z rodzinnego przedmieścia. Rosły chłop, z mocnym zarostem podchodzącym pod oczy. Ale w oczach już nie miał tej swojej kpiarskiej, przewrotnej wesołości. Oczy były zgaszone. Zniknęła też bez śladu ta swada, która cechowała jego mowę.

Nieoczekiwane skojarzenia, przedziwne, własnego wynalazku słowa, powiedzenia i te barwne opowieści, w których on, Benek, bywał ofiarą, poszkodowanym i wcale to go nie smuciło. Ten czas, wiele lat, co minęło, przemaglowało każdego z nas.

Przypomniałem sobie posiedzenia nad glinianką w dawnych czasach. Siadywaliśmy pod pochylą wierzbą na wysokim zboczu, patrzyliśmy na trzciną porośnięte brzegi i popijaliśmy. Mało już wiem o dawnych kumplach.

– Co u Kraczocho? – zapytałem.

– Rok będzie, jak umarł – odparł Benek.

Kraczoch to moja wczesna młodość. Kurs dla analfabetów wtedy prowadziłem i on moim uczniem. Nauczyłem go czytać i pisać.

– Na raka gardła – powiedział Benek. – Rurkę mu wsadzili do brzucha, wystawała ta rurka z koszuli i tam sobie wlewał wódkę. Tylko do żołądka mógł od razu.

Kraczoch miał tors atlety, wzrost karła i nogi w pałąk od krzywicy. Mieszkał niegdyś na starych fortach. Tam przed wojną w wilgotnych kazamatach mieszkała biedota z naszego przedmieścia. Jego ojciec był bezrobotny i pił likier Baczewskiego, czyli denaturat.

– Nie żyje – powtórzyłem patrząc w błękitne niebo. Był to pierwszy dzień wiosny.

– Za trzy dni ta rozprawa – odezwał się Benek. – Wtedy już rozwód. – Zamyślił się, tarł nieogoloną brodę. – Ona, ta moja niby żona, obiecała parę złotych dać, znaczy odprawę.

– Musi ci dać – przytaknął Olek Osochin. – Zgodziłeś się na rozwód.

– Wcale nie musi! – Jurek Impresario był raczej sceptyczny. – Jak można ją zmusić?

– Przez nią popsute mam personalia – powiedział Benek – jak czytam ogłoszenia matrymonialne w „Expressie”, to zawsze: rozwodnik wykluczony, czyli ja.

– Musi ci dać – pocieszyłem go bezsensownie.

Benek palił zachłannie papierosa. Postarzał się mocno. Te jego końskie, żółte zęby się przerzedziły. Cały przód ział rozległą przerwą.

– Powypadały z braku witamin – wyjaśnił. – Sam jestem... Kiedy żyła matka, to było inaczej.

Pamiętałem matkę Benka. Chuda kobieta ze sportem osadzonym w szklanej lufce. Handlarka na ręczniaku z przedwojennego Kercelaka. Świetnie gotowała zupy, zalewajki, kartoflanki, kapuśniaki. Leczyliśmy tymi zupami kaca.

– Matka też może mieć do mnie żal – powiedział Benek. – Na Wólce Węglowej ją pochowałem. A chciała na Bródnie. Ale tam na Wólce ładnie teraz. Betonowe alejki, meleksy jeżdżą. Czyściutko, klomby z kwiatami porobili.

Jurek Impresario zatroszczył się o dalszy los Benka. Rzucił przecież stałą robotę. Pracuje dorywczo po parę godzin i tak żyje z dnia na dzień. Wiercił się Impresario na ławce, co chwila spoglądał na zegarek. Ta hazardowa namiętność tak go w pogotowiu trzyma.

– A co ma jak ten muł w kieracie – zahuczał głosem jak dzwon Olek Osochin. – Wolny jest... ptica znaczy.

On jeden poweselał. Wódka go urządziła.

– Tyle masz przepracowanych lat – mówił Jurek. Impresario – do emerytury będzie potrzebna ciągłość.

– Niepotrzebna mi żadna ciągłość. – Benek kołysał pochyloną głową. – Ja tam do emerytury nie dożyję.

– No pewnie – poparł go dziarsko Olek Osochin. – Szlag przecież może trafić w każdej chwili.

Kondycji do picia jednak nie miał. Oczy mu zmętniały, ceglastego koloru rumieńce wylały na policzki i język się plątał. Obzerał się salcesonem. Palce świeciły mu się tłusto. Te jego wielkie łapy mordercy, czerwone, odmrożone bochny, były te same co dawniej. Kiedyś miał w tych łapach niebywałą siłę.

Benek swoje życie chciał opisać.

– Jak handlowałem gazetami... – tak mówił dawno temu. – Jak pod Amerykanami w Niemczech byłem... Jak zacząłem to kwaciarstwo...

Jeden rozdział napisał. Dobry to był kawałek. Z rozmachem, soczysty. Język miał niegramotny, nie zatrzymywały go kropki ani przecinki i widziało się w obrazach to jego życie.

– Pisałbyś dalej – odezwałem się żując bez apetytu salceson i wypluwając chrząstki.

– Kilkaset ma na książeczce – głośno rozważał Benek. – Bufetową była w Zgorzelcu. Ale jak nic może nie dać. Obieca i nie da...

Nadzieja odprawy pieniężnej za rozwód dręczyła go nieustannie.

– Dwie dychy co najmniej powinna ci dać – rzekł Olek Osochin. – Zameldowanie w Warszawie to kosztowna sprawa.

Benek przymknął oczy i przeciągnął się jak kot.

– Dwie dychy – powtórzył.

– Chłęptaj! – Olek podsunął mi plastikowy kubek.

Taki jego toast. Był jak zwierzę. Stare, wyliniłe zwierzę.

Wypiłem mały łyk. Olek wysączył ze smakiem do ostatniej kropli. Końcówka. Kraczoł umarł na raka gardła i jeszcze miesiąc przed śmiercią do tej rurki, co mu wsadzili w brzuch, wlewał sobie gorzałę. I tak siedzieliśmy na ławce pod wierzbą. Obok bawiły się dzieci pod opieką drzemiących w słońcu staruszek. Nawet chłęptać gorzały się nie chciało.

## Odmieniec

To wydarzyło się po południu w najruchliwszym miejscu miasta, przed nowoczesnym domem towarowym. Rzędem stały tutaj stare, sine przekupki w sutych spódnicach, zachwalające pumeks do pięt, grzebienie i oprawki do dowodów. Kotylsali się gdzieniegdzie pijaczkowie, skołowani upałem i wódką. Gwar i jazgot samochodowych klaksonów.

– Pan w niebieskiej koszuli proszony jest o powrót na chodnik... – głos z megafonu.

Z pobliskiej szaszłykarni buchało smrodem smażeniny i piwa. Nieco dalej liczna grupa gapiów tkwiła przy parkanie, obserwując z napięciem spychacz rozwalający resztki starych murów. Wąskim przejściem między oszklonym domem towarowym i parkanem sunął jak rzeka zapędzony tłum. Akurat był czas powrotów z pracy. Więc kiedy ten młody pojawił się wśród tłumu, od razu wyglądał jak egzotyczny ptak. A że taki mały i drobny, więc jak koliber. Długowłose, z lokami zwijającymi się w pukle na ramionach, ubrany w kolorową koszulę jak poncho, spodnie miał z frędzlami na sposób indiański, pas szeroki i nabijany błyszczącymi guzami, na bosych stopach drewniaki. Zgarbiony, szedł chyłkiem i rzucał płochliwe spojrzenia wokół. Może niedawno włożył ten strój i nie oswoił się jeszcze... I taki był młody, dzieciennie młody, twarz z delikatnym puchem pierwszego zarostu i wielkie niebieskie oczy. Z początku zabiegany tłum, wśród którego się przemykał, nie zwracał na niego uwagi. Czasem czyjeś spojrzenie, puste i roztargnione, zatrzymywało się na tym młodym, ale zaraz ześlizgiwało się obojętnie. Młody klekocząc drewniakami dotarł do niewielkiego placu przed szaszłykarnią. Stamtąd akurat wychodzili trzej mężczyźni w średnim wieku. Jeden, z aktówką pod pachą, jeszcze jadł kielbasę umazaną musztardą. Wszyscy trzej schludni, w garniturach i śnieżnych non-ironach, spod których przebijały siatkowe podkoszulki, spoceni nieco i barczyści. Nie spieszyli się i rozglądali leniwie. Ich spojrzenia zatrzymały się na tym dziwnie ubranym młodym. Pierwszy wybuchnął śmiechem ten z plastikową aktówką. A dziwny młody właśnie minąć ich chciał. Zastąpili mu drogę.

– Skąd to szanowny koleś... – zaczął ten z aktówką.

Młody przystanął. Wystraszył się wyraźnie. Jeszcze bardziej zgarbił się i wtulił głowę w ramiona.

Oni się roześmieli.

– Skąd? – powtórzył ten najbardziej łysy. – Wiadomo, z czubków...

– Nie kapujesz? – ten z aktówką chwycił młodego za rękę. – Znaczy się z Głupiejowa...

Znowu wybuchnęli śmiechem. Ale życzliwi jeszcze byli. Tylko z zaciekawieniem oglądali jego strój. Pociągali za frędzle na spodniach, obmacywali pas.

– Może piwko byś z nami chlapnął? – zaproponował ten z aktówką.

– Stawiamy – dodał najmłodszy, z grubymi bakami. I ujął go pod pachę. Młody pokręcił przecząco głową. Spróbował uwolnić rękę z uścisku tamtego. Ten z bakami chwycił go mocniej.

– Ważniak – stwierdził.

Młody usiłował wyrwać się gwałtownie. Ten najbardziej łysy przydeptał mu z tyłu drewniak. Młody potknął się. I stał się jeszcze bardziej bezradny. A oni już niezyczliwi. Patrzyli koso na niego. Ten z aktówką schwycił go za długą koszulę niczym poncho i pchnął mocno. Młody zatoczył się na parkan.

– Jak pijany... – zachichotał ten z bakami – pewno za dużo tri się nawąchał...



A tłum wokół płynął i płynął... Choć popatrywano w tę stronę. Ale na razie widok ciekawszy był za parkanem. Akurat spychacz zwałił wysoką ścianę i wzbił się kłęb rudego ceglanego pyłu. Jak grzyb unosił się nad rumowiskiem.

Ten z grubymi bakami pociągnął młodego za włosy. Twarz chłopca wykrzywiła się grymasem bólu. I krzyknął cienko, przenikliwie. Już przystawali ludzie.

– Ale małpizjon – ktoś powiedział.

– Chodzi takie coś i nie wstydzi się – ktoś dodał.

– A bo oni mają wstyd...

Ten z aktówką popatrzył z troską na młodego.

– Co z tobą zrobić... – zastanowił się głośno.

Ludzie przysunęli się zaciekawieni. Wtedy młody skulił się i spróbował dać nura w tłum. Ale mu się nie udało.

Trzymali go silnie.

– Ukradł coś? – ktoś się zainteresował.

– Wszystko możliwe – odparł wymijająco ten z aktówką.

Już ciasny krąg gapiów. Roześmiane twarze. Ponure twarze. Wszystkie wyczekujące. Ci trzej, wyraźnie zdopingowani przez publiczność, szarpać zaczęli młodego za spodnie. Tak jakby ściągnąć chcieli. Młody kulił się wstydliwie.

– To są spodnie?... – szydził ten z bakami. – To jest kpina ze spodni...

– A te loki na perukę – wtrącił jeden z gapiów. Był to młodzik o wilczych oczach. – Żeby tak nożyczki – zamarzył złowrogo.

Starszy elegancki pan dopiero co przystanął, a już aż kipiał z pasji.

– Po prostu bestia – powiedział. – Gdzie człowieczeństwo! – I splunął temu młodemu pod nogi.

Gapie zachichotali.

– Widzisz... – zwrócił się do młodego ten z aktówką – wszystkim podpadłeś... Zamyślił się i dodał po chwili: – Musi przeprosić!

– A co zrobił? – zapytał ktoś.

– Świństwo – odparł krótko ten z aktówką.

Coraz więcej gapiów. Nawet ci, co dotąd kontemplowali spychacz, też przyłączyli się do gromady otaczającej dziwaczne młodzieńca.

I ta pomyłona, co grasuje po mieście, nawołując do jedności w Bogu i tradycji, też się tu znalazła.

– Oto rakowata narośl na zdrowym polskim szczepie! – powiedziała z patosem.

A młody, szarpany coraz mocniej przez tych trzech, nagle kopnął na oślep. Trafił w goleń tego z aktówką.

Tamten wykrzywił się boleśnie.

– Kopiesz... – wycedził i poczerwieniał. Dłonie zacisnął w pięści i pochylił się nieco. Ale jego towarzysze trącili go ostrzegawczo.

Wśród gapiów pojawił się milicjant.

– Co tu się dzieje... – przeciskał się między ludźmi. Był bardzo młody i surową miną pokrywał nieśmiałość.

Ten z aktówką skłonił się z szacunkiem.

– Właśnie wychodzimy sobie z szaszłykarni, wie pan, panie władzo, po pracy coś przetrącić się chciało, aż tu ten osobnik... – wskazał na młodego – zaczepia nas i ubliża...

– W dodatku – odezwał się ten z bakami – kopnął... – Też się ukłonił.

– Świadkowie potwierdzą – rzekł trzeci, najbardziej łysy. Gapie przytaknęli.

Młody milicjant popatrzył po ludziach.

– Nawet ulicą spokojnie przejść nie można – odezwał się znowu ten z bakami. – Człowiek z roboty, umordowany, za przeproszeniem, jak muł, a tu taki nygus zaczepia...

Milicjant spojrział na młodego. On milczał.  
– Co wy... – powiedział milicjant surowo. – Chwilę patrzyli na siebie. Młody milczał wciąż, oczy miał zaczerwienione, jakby płakał, pocierał je dłonią.  
Wtedy ci trzej wyciągnęli dowody.  
– Proszę... – mówili – tutaj obok pracujemy. W Zjednoczeniu Materiałów Budowlanych...  
Milicjant przejrzał dowody, oddał po chwili.  
– A wy? – zwrócił się do młodego.  
On nic nie odpowiedział.  
– Znaczą się, rozrabiają – powiedział w zastanowieniu milicjant i urwał.  
Wahał się. Dziwiła go nieco ta milcząca zgodność ludzi wobec młodego. Ci trzej tacy przecież pewni siebie, bykowaci. I ten młody, drobny i wąły. To zestawienie trochę go zastanowiło.  
Usłyszał za plecami chichoty. Odwrócił się szybko i popatrzył surowo. Poprawił czapkę, obciągnął pas i przesunął dłonią po pałce.  
– Chodźcie ze mną – zdecydował i skinął na młodego.  
Młody poszedł posłusznie za nim.  
Ci trzej uśmiechnęli się nieznacznie.  
Gawieź rozchodziła się powoli. Tylko ten głupi Fredziu, co handluje bagnetem na mole, zaczął mamrotać: – Przecież to oni zaczęli...  
Ale nikt go nie słuchał.  
Tłum znowu płynął jak rzeka wąskim przejściem między domem towarowym i parkanem, za którym rozwalano stare mury.

## Pierwszy opatrunek

Chłopiec liczył sobie piętnaście lat i był wyrosnięty nad wiek. Wracał z lekcji angielskiego. Biegł właściwie, po całym dniu obowiązkowych zajęć miał nareszcie wolny czas. Spieszył się do przyjaciela. Więc biegł i radował się sztywnym szelestem farmerskich spodni, kupionych niedawno na bazarze. Wskoczywszy zza węgła czerwonej kamienicy, zderzył się z barczystym mężczyzną około czterdziestki, który akurat zamknął za sobą drzwi „Zdroju”, baru drugiej kategorii. A zamknawszy drzwi ujął pod ramię swoją młodą partnerkę i rozglądał się za taksówką.

– Bardzo przepraszam – powiedział chłopiec.

Uklonił się grzecznie. Już odchodził.

Barczysty zaklął półgłosem. Jego partnerka wybuchnęła śmiechem.

– Mało co, a byś fiknął koziołka – powiedziała. Barczysty zacisnął pięści i w oczach zago-rzała mu wściekłość.

– Halo! – zawołał.

Chłopiec przystanął. Barczysty jednym sprężystym skokiem był przy nim. Chwycił go za kłapy płaszcza, uderzył pięścią w twarz. A widząc tę młodą i przerażoną twarz tak blisko siebie, zaczął bić jak w transie. Czując, że chłopiec osuwa się już bezwładnie, owinął jego długie włosy wokół dłoni i wywalił mu piorunujący cios głową w podbródek. Wtedy puścił. Chłopiec padł na bruk.

– Ja tym łobuzom nic nie popuszczam – ucieszył się barczysty.

Jego partnerka, wpierv jakby wstrząśnięta tą okrutną sceną, teraz popatrzyła na niego z podziwem. Taki męski, brutalny, w skórzanej kurtce.

– Jak im nie dołożysz – powiedział barczysty prężąc się jak kogut – to jutro na ciebie na-padną albo młotkiem zatłuką taksówkarza.....

– Boże! – westchnęła kobieta.

I poszli sobie.

A na bruku w pustce tej małej uliczki pozostał chłopiec. Po długiej chwili dźwignął się na kolana. Latarnie i gwiazdy wirowały mu w oczach. Z baru „Zdrój” dochodził gwar i śmiech. Chybotliwe cienie za szybami. Twarz miał opuchniętą i zakrwawioną. Zobaczyła go staruszka wracająca z wieczornego spaceru z pieszkiem.

– Chłopcze! – stanęła jak wryta. – Kto cię tak urządził?

Popatrzył na nią błędnym wzrokiem.

– Natychmiast na pogotowie!

Staruszka była osobą energiczną i jeszcze krzepką. Pomogła mu wstać i podtrzymując, za-prowadziła pod gmach pogotowia ratunkowego. Otworzyła drzwi i popchnęła go lekko. Wszedł.

W poczekalni zobaczył kilka obandażowanych i jakiegoś pijanego, który ryczał jednostajnie: – Psy! Psy!

Rozglądał się niepewnie. Naprzeciw schodów prowadzących na górę siedziała w okienku kobieta w białym fartuchu.

– Przepraszam... – powiedział chłopiec – czy mógłbym otrzymać...

Wyglądał jak widmo, krew sącząca się strużkami z rozbitej głowy i nosa pokryła całą twarz. Kobieta przerwała mu niecierpliwym gestem.

– Widzisz, że jestem zajęta...

Wykręcała numer telefonu. Na twarz chłopca popatrzyła obojętnie.

Usiadł na ławce.

Pijany urwał nagle swój monotony poryk. Z korytarza wynurzył się milicjant i począł potrząsać nim energicznie.

– W porządku, panie władzo, w porządku – zabelkotał potulnie pijany.

Milicjant usiadł obok niego, rozluźnił pas i spojrzał na pokrwawionego chłopca.

– Co, jakieś boksy były? – zainteresował się z uśmiechem. – Nieźle cię załatwili...

– Jego lepiej – wtrącił ktoś z siedzących na ławce. Wskazał na mężczyznę o pokiereszowanej twarzy.

– Żyletką – wyjaśnił ten pocięty.

Przez uchylone okno słychać było przeraźliwe syreny ambulansów wyruszających do wypadków.

Po jakimś czasie chłopiec znalazł się w gabinecie zabiegowym.

– Płytkie rany... – stwierdził lekarz. – Nie trzeba klamerek...

Obandażowano mu głowę i zatamowano krew sączącą się z nosa.

– Za co cię tak urządzili? – zapytał lekarz, patrząc na niego w roztargnieniu i pocierając załzawione z bezsenności oczy.

– Potrafiłem jednego pana – wyjaśnił chłopiec.

– Na drugi raz nie potracaj – powiedział lekarz i zaczął coś pisać w grubej księdze oprawionej w szare płótno.

– Ale przecież przeprosiłem – powiedział chłopiec i broda zaczęła mu drgać żałośnie, a w oczach pokazały się łzy.

– Widocznie słabo przeprosiłeś – roześmiał się pielęgniarz i wykruszył starannie niedopakęte ze szklanej lufki. – Ale włosy to oni sobie zapuszczają – powiedział jakby do siebie, patrząc na długie, faliste loki chłopca, opadające na ramiona. – Jak mały... – zwrócił się do lekarza.

Ale ten nie usłyszał, zajęty chuchaniem w wyschniętą pieczętkę.

I wtedy broda przestała drgać i łzy ustąpiły z oczu chłopca. I choć obita i pokaleczona twarz bolała dotkliwie, wyprostował się i tak chłodno, uważnie popatrzył na tych dwóch mężczyzn w średnim wieku.

– Dziękuję panom... – urwał, zastanowił się i dodał dźwięcznym, silnym głosem – za opatrunek...

Kiedy lekarz podniósł głowę, zdziwiony brzmieniem tego głosu, chłopca już nie było.

## Nocny gość

Po północy skończyłem *Azyl*. Zgasilem lampkę i rozmyślałem o gangsterze przezwiskiem Wytrzeszcz. Jego spokój w śmiertelnej celi. Te zapalki, które układał w oczekiwaniu, i ta mała łapka, tak niezawodna w zespoleniu z pistoletem... W tamtych czasach wtargnęła w naszą wyobraźnię literatura Wielkich Amerykanów. Po latach postu to była burza. Wytrzeszcz o kauczukowych, nieruchomych oczach. Temple, młoda, głupia dziewczucha, i kaczan kukurydzy rozsadzający jej krocze. Wspaniale!

Babcia w sąsiednim pokoju przestała pojękiwać i modlić się niezmordowanie. Zasnęła. Dziadkowi grała w płucach astmatyczna orkiestra. Też zasnął.

I naprawdę, żaden to fałsz pamięci, pomyślałem wtedy również o Marku Hłasce. W tamtych czasach on dla nas był taką samą przygodą jak Amerykanie. Jego proza przyniosła prawdę warszawskich ulic, bazarów i knajp, kipiała od brutalnych, dosadnych dialogów, przetykanych gorzałą, w której najchętniej i najłatwiej topi się ból, klęskę. Tak oceniałem tę prozę. Zapewne z zazdrością. Wielu z nas w tamtych czasach marzyło o pisarskich ostrogach. Świat był taki barwny, dziwny i domagał się opisanego. Też w głowie kłębiło mi się od strzepów rozmów, obrazów, sylwetek poznanych ludzi. Naładowana tym głowa. A kiedy zapisać to chciałem, ręka drętwiała jak sparaliżowana i słowa, zdania, obrazy na papierze też były jak sparaliżowane. Więc pomyślałem o Nim i o sobie. Od roku był naszym pisarzem. Wykupywaliśmy literackie tygodniki, poszukując Jego opowiadań. Dopytywaliśmy się, jak wygląda. Opisy bywały różne. Silny, barczysty brunet o brutalnej urodzie. To znów wysoki, giętki jak trzcina blondyn, przypominający wikinga. Aż zobaczyłem go pewnego razu. Słusznego wzrostu, miał jasne, żywe oczy i twarz skrzywioną w przekornym, cwaniackim grymasie.

Ten dom dziadków kolegi, gdzie już od miesiąca mieszkałem. Dziadek, wesołek i dawny birbant, przed samą wojną wygrał w ruletkę pięć tysięcy dolarów. Gest miał szeroki i lekką rękę. Toteż gdyby nie babcia, nic by z wygranej nie pozostało. A tak był ten domek z przybudówką w starym sadzie. - Przybudówkę zajmował Pietia, biały Rosjanin. Wyglądał jak pop. Potrafił godzinami z niezrównaną swadą wskrzeszać dawno umarłe czasy. Odwiedzały go hałaśliwe kobiety i wtedy Pietia uśmiechał się do nas figlarnie. Następnie zaciągał firanki. Dziadek chodził podglądać.

Rodzice kolegi rozeszli się i on mieszkał tutaj wraz z matką. Dziadkowie potępiali syna, który porzucił żonę dla innej kobiety. Babcia opłacała uliczników i oni biegali przez bazar na Pańskiej za tą kobietą, wołając: – Stara kurwa Antonina!

Dziwność, niespodzianki i pozorny brak logiki w ludzkich poczynaniach fascynowały najbardziej i umieć to opisać wydawało mi się najwyższym kunsztem, bliskim stanu cudownej łaski.

I nie wstydziłem się wcale tego wyznania, które uczyniłem koledze w nocnej „Kameralnej”. Popijaliśmy wtedy, orkiestra grała modne szlagiery i na parkiecie hasał znany warszawski lowelas i aferzysta, popularny nie tylko z powodu hulank. Od niego bowiem rozpoczęła się krwawa sprawa wielokrotnego mordercy Mazurkiewicza. Mazurkiewicz jego również postanowił pozbawić życia i pieniędzy. Zaprosił więc na przejażdżkę autem i strzelił mu w łeb. Strzelił niecelnie. Lowelas stracił jedynie przytomność i ocknął się niebawem, nieświadom tego, co zaszło. Wyszedł z życiem, ale bolała go głowa. Poszedł do lekarza i ten wydobyl kule, która utkwiała u nasady czaszki. Lowelas hasał na parkiecie beztrosko uśmiechnięty, obmacując swą partnerkę o wybujałych kształtach. Imponował witalnością.

Kolega kiwał głową w takt muzyki i powtarzał: – To był numer... Wiesz – przychylił się do mnie – ja też bym chciał, żeby... – nie dokończył, przytłoczony niewyraźną śmiałością swoich pragnień.

Natomiast ja, ośmielony alkoholem, wypowiedziałem się do końca: – Chciałbym umieć opisać to wszystko. I nawet kosztem życia. Rozumiesz? Niech mi nic nie wychodzi, w miłości, w pieniądzech, w różnych takich... Byle tylko to! Rozlałem sobie kawę na kolana. Podskoczyłem oparzony gorącym płynem. Patetyczne to było wyznanie. Ale nie czułem się śmieszny. Taki to był czas. Szukaliśmy swojej drogi i nie wstydziliśmy się zbyt wielkich słów. Kolega przytaknął z powagą:

– Tak jak On – powiedział myśląc o sławnym młodym pisarzu.

Sam nie miał pisarskich ambicji, ale był moim oddanym powiernikiem, a ten młody pisarz dla niego gwiazdorem. Wtedy na sztukę panowała moda. Nawet Tadek Miller, cyniczny podrywacz, nosił ze sobą futerał na skrzypce i zaczął przedstawiać się jako skrzypek. Futerał wypychał gazetami, czasem miał tam wałówkę. Powoli moje myśli leniwały, rozlażyły się i gasły. Nadchodziła senność. Ale ta noc komponowała się jak literatura. Z pierwszego, płytkiego snu wyrwało mnie walenie w okienną szybę. Wrócił kolega. Otworzyłem okno. Był z kimś drugim. Obejmując tego drugiego i pomagając mu przesadzić parapet, powtarzał w euforii: – To On! Jestem z Nim!

Znaleźli się w środku.

– Poznajcie się – kolega przedstawił swego towarzysza.

Tamten wyciągnął dłoń. Była miękka, wilgotna. Kolega biegał gorączkowo po pokoju.

– Trzeba obudzić dziadka – zdecydował. – Niech nam da swojej nalewki. Musimy to oblać.

Ten drugi był niewysoki i milczał. Ogarnęła mnie emocja. Wreszcie porozmawiam z Nim. Wiele miałem do powiedzenia. Zapaliłem małą lampkę. I ta odsłona, która zaraz nastąpiła, spowodowała, że zacząłem się głośno śmiać. Był to taki szczurek. Spotykałem go na szlaku. Żerował na niedopitych kieliszkach. Wyśługiwał się dziewczynom. Często miał ze sobą papierową teczkę. Siadywał po kątach i bazgrał coś. Tak samo jak ja. Marzenia pisarskie domagały się choćby tej marnej namiastki w postaci teczki z zapisanymi arkusikami papieru. Stał pod ścianą, bezradnie mrużąc oczy. Chudy, niewysoki,

w za obszernym swetrze, o okrągłej, aniołkowatej twarzy.

– Pomyliłeś się – powiedziałem do kolegi. – To nie On.

– Jak to? – wytrzeszczył oczy.

Ciągle się śmiejąc, przedstawiłem mu nocnego gościa. Tamten cofnął się za piec i zgarbił.

Kolega rzucił się na niego z całym impetem swego rozczarowania. Wymierzył mu mocny policzek. Nie bronił się. Stał z opuszczonymi rękoma.

– Tak jakoś wyszło – szepnął. – Siedziałem sobie, pisałem, a on podszedł do mnie i sam zagadnął o to pisanie.

– Won, won – wykrzykiwał kolega.

Nie rozbierając się, zwałił się na kanapę. Odwrócił się do ściany.

Ten w za obszernym swetrze popatrzył na mnie błagalnie.

– Gdzie ja pójdę? Tak po nocy...

Wskazałem mu dywanik na podłodze. Rzuciłem koc. Ułożył się tam pośpiesznie. Przyglądałem mu się z uwagą. Twarz miał delikatną i falujące włosy. Wytrzymał moje spojrzenie. Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

– Czasami – wybąkał – wydaje mi się, że jestem nim naprawdę.

– Często tak? – zapytałem.

Pokiwał głową. Zdjął z fotela poduszkę i ułożył się wygodnie.

– To wszystko już mam w głowie. Jakby gotowe – głos jego z szeptu stawał się coraz mocniejszy, śmiały. – Tytuł też mam. *Żelazny Wilk*. Niezły, prawda? I mówił dalej. A to, co

mówił o zdeptanej miłości, miotającym się bezsilnie alkoholiku, przedmiejskich żulikach i posepnej praskiej ulicy, było mieszaniną wielu opowiadań sławnego młodego pisarza.

Kolega poruszył się gwałtownie na kanapie.

– Won! – wymamrotał.

Nocny gość przerwał swą opowieść i przykulił się strachliwie. Te jego chude, brudne dłonie w skąpym blasku lampki tak kurczowo osłaniały twarz. Te jego oczy błyszczące jak u zwierzątka poprzez palce. Zapanowała cisza. Zgasilem lampkę.

I po tylu latach znowu przypominają mi się Oni, Wielcy Amerykanie, Marek Hłasko, inni jeszcze, ci anonimowi, którzy wtedy dopiero nieśmiało skrobali w ścianę... Podążam więc tą uliczką, co wąwozem opada w dół. Na początku drogi kiosk z piwem, gdzie wystawali węglarze i ten najstarszy dorożkarz z sumiastymi siwymi wąsami. A dalej stare kamienice o odrapanych, ospowatych od pocisków ścianach i na jednej z nich egzotyczna tablica, która dzisiaj też tam widnieje: „Islam Parvari Zadeh. Naprawa i czyszczenie perskich dywanów”.

## Po drugiej stronie

Już nie było kolejki. Ani śladu torów nawet. Położyli asfalt i ta asfaltowa droga biegła czarną wstęgą między polami. Na polach stały wysokie domy. Jedne zamieszkałe. Inne w budowie. Tu i ówdzie pozostały jeszcze ogrodnicze uprawy. Dawniej były tu tylko pola uprawne. Rozglądał się i nie poznawał niczego. Tam gdzie znajdowało się skrzyżowanie torów, wyrosła jakaś fabryka. Na rozległym parkingu stały samochody różnych marek. Z trudem umiejscowił dawną krzyżówkę i budę dróżnika, który handlował wódką. Drewniany krzyż pozostał. Grób samobójcy. Tak mówili najstarsi ludzie. Rozpoznał gospodarstwo Szele-  
ra. Szło się ścieżką przez podmokłą łąkę i kumkały żaby. Łąki nie było. Wysiadł z autobusu i poszedł drogą, której dawniej też nie było. Szukał Pekinu. Pekin był trzypiętrowy, drewniany i przed jego ciemną, cuchnącą bramą wystawali godzinami. Pekinu nie było. Ale na pewno znajdował się w tym miejscu. Stał przed willą z frontową ścianą wyłożoną kolorowymi szkiełkami. Za parkanem na starannie wygrabionych klombach wyrastała pierwsza zieleń.

– Co się stało z Pekinem? – zapytał starą kobietę, objuczoną torbami.

– Pekin? – wzruszyła ramionami. – Nie znam takiego.

A kiedy już odchodził, dobiegły jej słowa:

– Pewnie ta drewniana rudera. Rozwalili w czortu!

Kasztanów nie wycięto. Jeszcze gołe, bezlistne. Stąd bez trudności znalazł drogę do glinianek. Mijali go ludzie. Żadna twarz nie była znajoma. Pod sklepem spożywczym stała grupka mężczyzn. Tak jak dawniej. Pili piwo. Znalazł się w swojej dzielnicy. Dzielnicy małych, biednych domków, ogrodniczych gospodarstw i starych fabryk z czerwonej cegły. Ta największa fabryka była stąd dobrze widoczna. Jej czarny komin wyrastał wysoko ponad dachami niskiej, parterowej zabudowy. Świece tutaj robiono i zaczepiając dziewczyny, mieli zwyczaj mówić: – Świece „Polo” nic nie boją.

Zaśmiał się po raz pierwszy. Komin nie dymił. Odkrył również szkołę, w której się uczył. Schowana była za rusztowaniem jakiejś budowy. Zmałała. Doszedł do pierwszej glinianki. Ta glinianka zwana była Pokusą. Tutaj starsi chłopcy zepchnęli go z wysokiej burty. Wpadł do wody i od razu zabrakło gruntu. W ten sposób nauczył się pływać. Stanął na wysokim brzegu i patrzył w dół. Glinianka zarosła trzcina. Pod pochyłą wierzbą pili wódkę. W tym miejscu zabawiali się z dziewczynami, skryci pod opadającymi gałęziami drzewa. Taką samą wiosenną porą też pili wódkę. Pochyła wierzba uschła prawie cała. Tylko na jednej gałęzi pokazywały się zielone pędy. Pusto było i cicho. Zapragnął przejść na drugą stronę i zobaczyć ten domek z gołębnikiem w podwórzu. Do tego domu przywiązywał największe znaczenie. Ukrywał się tam i ta kobieta ostatniego dnia przyrzadziła na kolację duszonego królika. Ogryzali małe, kruche kostki. Butelka wódki stała na stole. Wtedy przyszli po niego. Nie zdziwił się zbytnio. Od pewnego czasu zdążył się już przyzwyczać, że muszą przyjść. Wstając posłusznie, wychylił jeszcze jedną szklaneczkę i przekąsił kawałkiem miękkiego króliczego mięsa.

Od tamtego wieczoru upłynęło wiele lat, a ciągle czuł smak tego króliczego mięsa.

Zboczem glinianki prowadziła ścieżynka. Powoli szedł i patrzył na drugą stronę. Tam był ten domek. Przy cypelku siedział w kucki stary człowiek w kolejarskim szynelu. Drobił chleb, ugniatał w kulki i rzucał do wody. Nęcił. Ale wędki nie miał przy sobie.

Zatrzymał się.

– Ryby tu jeszcze biorą? – zapytał.



Kolejarz odwrócił niespiesznie głowę. – Iii tam – mruknął. W skupieniu ugniatał chleb i rzucał do wody.

Przysiadł obok starego. Też w kucki. Patrzył w wodę skąpo przeświecającą między trzciami. Przed laty gdzieś w pobliżu rybacy wyciągnęli wielką rybę. To był sum. Pamiętał jak przez mgłę.

– Kiedyś – odezwał się – sumy tu się trafiały.

– Kiedyś – przytaknął kolejarz – ryb tu było zatrzęsienie.

Resztę chleba owinał w gazetę i schował do kieszeni.

– Dla gołębi – uśmiechnął się, pokazując bezzębne dziąsła.

Siedział koło starego i milczał. Przypominał sobie domek po drugiej stronie. Długo tam mieszkał. Naprawiał piece. Dymiły. Znał się na zduńskiej robocie. Przestały dymić. Spali na górcie i kiedy szło się tam, trzeszczały schody. Jednak twarzy kobiety nie mógł sobie przypomnieć. Nakładały się na nią inne twarze. Zdziwił się tą niewiernością pamięci.

– A jak tam po drugiej stronie? – zagadał. – Te domki jeszcze są? Nie wyburzyli?

Stary po raz pierwszy przyjrzał mu się uważnie ostrym spojrzeniem. Spodziewał się natarczywych pytań.

– Tam – odpowiedział po długiej chwili – nic się nie zmieniło.

Wyciągnął papierosy. Poczęstował starego. Palili. Od ziemi szedł chłód. Ale w łagodnym słońcu kryła się już zapowiedź lata, upału, nieruchomości i leniwego bzykania owadów.

– Znał pan Kowalczyka? – wystawił twarz do słońca i ożywił się naraz.

Kolejarz zmarszczył czoło.

– Tego co siedział za napady? – po raz drugi przyjrzał mu się uważnie.

Przytaknął.

– Nie żyje – odparł kolejarz – będzie parę lat, jak poszedł do piachu.

Przymknął oczy i zobaczył Kowalczyka. Twarz miał zawziętą, suchą, oczy krwią nabiegłe i na roboty zabierał dwóch swoich synów. Szli gęsiego. Kowalczyk pierwszy, synowie według wieku za nim. Później on był czwarty. Chodził z nimi. Kowalczyk kłął i szydził ze strachu, który na początku ogarniał go dygotem nie do opanowania. Glinianka szeleściła suchą, martwą trzcina.

– Nie żyje – powtórzył półgłosem.

– Co proszę? – nie dosłyszał kolejarz.

Wzruszył ramionami. Kolejarz wyjął z kieszeni staroświecką cebulę na łańcuszku. Uważnie sprawdził czas. Wstał. Poczłapał ciężkim, zmęczonym krokiem. Przystanął. Odwrócił głowę. Przyjrzał mu się z nagle obudzonym zastanowieniem. Nic nie powiedział. Poszedł sobie.

Siedział w kucki. Opuścił głowę i butem żłobił gliniastą ziemię.

## Puste miejsce

*Petarowi Vujićiiowi*

Wyrko, na którym sypiał, było pościelone. Stara czerwona kapa niezbyt dokładnie zakrywała kołdrę. Na tym wyrku zawsze leżał, kiedy przychodzili tutaj. Siadali na kanapce pod ścianą. Tak jak dzisiaj. Zaskrzypiały sprężyny. Tylko jego już nie było. Jego matka siedziała na wyrku. Pośpiesznym, machinalnym ruchem poprawiła włosy.

– Może herbaty? – zapytała.

Podziękowali. Patrzyli w ścianę nad wyrkiem. Wisiał tam widoczek egzotyczny. Zawsze tam wisiał.

– Tak leżał i nic nie mówił – powiedziała jego matka. – Nawet pić nie chciał. – Spojrzała na kanapkę, na której siedzieli. Znów głucho stęknęły sprężyny. – Tylko budził się bardzo wcześnie. Ja też się wtedy budziłam.

– Chcielibyśmy wyrazić... – zaczął prozaik.

Chudy poeta wyprostował się.

Obaj znali go wiele lat i nieraz zachodzili tutaj.

Ale jego matka nie westchnęła ani nie otarła oczu chusteczką, którą trzymała w zaciśniętej dłoni.

– I wychodził na róg bardzo rzadko. Wołali go, a on nic. Raz wyszedł, napił się i na schodach złamał sobie nogę. – Wyglądziła czerwoną kapę. Strząsnęła z niej jakiś niewidoczny pył. – Nie chciał się leczyć. Po co mi noga. Tak mówił.

Ścienny zegar zacykał mocno. Chaotycznie i jakby w popłochu poruszyły się ciężarki.

– Z pogrzebem tyle zachodu – powiedziała. – Trzy dni biegałam – w jej głosie zabrzmiała ulga.

Wpatrzyła się w tarczę zegara.

– W szpitalu też tak leżał i nic nie mówił.

Wstała i podeszła do kredensu. Spod koronkowej serwetki wyciągnęła fotografię. Była to fotografia z bardzo dawnych lat.

– Czesiek przy nim. Znają panowie Czeška?

Stara, pożółkła fotografia. Trzech młodzieńców opartych o kontuar baru. Spełniają toast. On był w środku. Ciemny garnitur i muszka. Twarz z tym jego uśmieszkiem, lekko kpiącym i pobłażliwym wobec siebie i innych.

– Noc sylwestrowa w „Paradisie” – rozpoznał chudy poeta.

– Zmienił się po śmierci – powiedziała jego matka. – Nie do poznania.

Wsluchwała się w odgłosy ulicy dochodzące przez uchylone okno. Jakiś daleki krzyk.

– Jeszcze dzisiaj wołali na niego – odezwała się. – Wielu nie wie, że go już nie ma. A wielu czyta nekrolog i nie wie, że to on. Nie znają nazwiska. Buba. On dla wielu był Buba i koniec. – Uśmiechnęła się łagodnie. Jej twarz przypominała jego twarz. Ten sam uśmiech. Prozaik przypomniał sobie, jak pił z nim wódkę w „Polonii”, a ona przyszła i w siatce miała rzodkiewki. Z dezaprobatą popatrzyła na butelkę. Podsunęła im rzodkiewki.

– Jedzcie, to witaminy – powiedziała.

W „Polonii” czytał mu pierwsze swoje opowiadanie.

– Czy to wydrukują? – zapytał Buba.

Opuścił głowę. Za dużo się przypominało. Podłoga była czarna, zdeptana przez tych, którzy odwiedzili go tutaj. A kiedy głowę uniósł, jego matka jeszcze wpatrywała się w tę foto-

grafię z bardzo dawnych lat. Nakryła dłonią. Wygładziła zadarte rogi. Wstała i z powrotem umieściła ją pod koronkową serwetką na kredensie. Wracając na wyrko potrafiła kulawy taboret.

– Taki mały pokoik – westchnęła. – Zawsze było nam tak ciasno. A teraz tyle miejsca. – Ze zdziwieniem rozglądała się po tym niewielkim, zagraconym pokoiku. Zegar przestał cykać. Widoczek egzotyczny rozmazał się. Jego jaskrawe kolory przygasły w mroku wypełniającym to wnętrze. Wybąkali niezgrabnie słowa współczucia i wyszli. Ostrożnie zamknęli drzwi za sobą.

– Sylwester – powiedział chudy poeta. – Byłem wtedy z nim. – Prozaik popatrzył na niego. Chudy poeta napisał kiedyś wiersz o przemijaniu, które samo jest śmiercią. Chudy poeta odparował jego spojrzenie ostrym, nieufnym błyskiem zza okularów. W bramie zauważyli ręcznie wykaligrafowaną klepsydrę. Długo wpatrywali się w karteczkę obwiedzioną czarnym szlakiem.

– Przyjdiesz na pogrzeb? – zapytał chudy poeta. Głos miał nosowy, drażniący.

Prozaik pokręcił przecząco głową.

– Dwie książki o nim napisałeś – chudy poeta patrzył na niego z nie skrywaną niechęcią. – I wszystko tam było na wyrost. Nawet końcówka – jego głos klekotał jak kościana grzechotka.

W czarnym garniturze, pobłyskujący okularami, cienki i giętki, w lśniących czarnych butach, wyglądał w półmroku bramy jak ponury ptak nie wiadomo skąd. Prozaik nic nie odpowiedział. Odwrócił głowę i zapatrzył się na tę kamienicę-ruinę, podpartą belkami i okopconą śladami pożaru, stojącą naprzeciw bramy. Tam on zwykł wystawać i czekać. A dalej były krzaki. Jeszcze dalej rzeka. Tam znajdowała się piaszczysta łacha.

Wyspa Arara – tak on nazywał to miejsce.

Patrzył i nie słyszał wcale głosu chudego poety, który wciąż mówił. W jego dawnym opowiadaniu ten róg przed wypaloną kamienicą też został opisany. I krzaki. I wyspa. A na koniec uprzytomnił sobie, że i wyspy Arary już nie ma. W tym roku rzeka zmieniła nurt i zakryła piaszczystą łachę.

## Renata

Chłopak w popelinowym płaszczu spojrzął na zegarek. Było jeszcze wcześniej. Dziewczyny wychodzą zwykle później. Około dziewiątej.

W pierwszej bramie za gruzami tkwiła już jedna, stara i zapijaczona, o małpiej twarzy. Tej nie chciał.

Do „Flisa” wtoczył się krępy mężczyzna z małą, nawet niebrzydką. Ale o tej nie można nawet marzyć. Krępy trzymał ją mocno za rękę.

Chłopak w popelinowym płaszczu przystanął za tablicą z ogłoszeniami. Stąd lepiej widać tę mdło oświetloną ulicę. Mżył uporczywy deszczyk, który jeszcze bardziej zamazywał widoczność. Dwa razy się pomylił. Zwiódł go sylwetki kobiece w oddali, wolno sunące chodnikiem. Poszedł za nimi szybkim krokiem, rozchlapując kałuże. To nie były dziwki. Obrzuciły go zdziwionym spojrzeniem. W plecy uderzył ich dźwięczny śmiech. Wrócił pod tablicę. Na przeciwległym rogu tkwił ktoś w nasuniętym nisko kapeluszu. Ślisko jarzył się ognek papierosa. Facet rozglądał się nieustannie, wykonując krótkie i płochliwe ruchy głową. Też szuka – uznał chłopak w popelinowym płaszczu. Tutaj, na zapleczu niedługiej ulicy, zalegała martwa cisza. Dziwiła tym bardziej, że wystarczyło przejść sto metrów, żeby znaleźć się w gwarze śródmieścia. Chłopak w popelinowym płaszczu powoli przenikał wilgocią wieczoru. Na brwiach osiadały kropelki wody. Twarz stawała się chłodna i oślizgła. Do uszu wdzierały się niedalekie odgłosy ludnych i oświetlonych ulic. Przymknął oczy. Kobieta, która wynurzyła się zza parkanu, była na pewno dziwką. Znalazła się w kręgu światła latarni. Miała błyszczące włosy zaplecione w koronę.

Korona – uśmiechnął się chłopak – fryzura naszych matek. Obejrzał ją nieznacznie. Założnie wyglądał króliczy kołnierz płaszcza, zmoknięty jak bezpieczeństwa, włóczące się po deszczu zwierzątko.

Facet na przeciwległym rogu poruszył się gwałtownie. Odrzucił niedopałek papierosa.

Może wyprzedzić – pomyślał chłopak w popelinowym płaszczu.

– Ile? – odezwał się zachodząc od tyłu.

Jego „ile” nie było zbyt pewne. Miał tylko czterdzieści złotych.

Spojrzała na niego przenikliwie. Zwyczajem tych kobiet przesunęła wzrokiem od stóp do głowy. Była niestara. Też niemłoda. Uśmiech skurczył jej twarz w małą, pomarszczoną piąstkę. Tylko oczy miała wielkie i uważne. Zmieszał się trochę.

– Ile? – powtórzył niewyraźnie.

– Ile, ile... – przedrzeźniła.

Przysunęła się bliżej. Czuł jej kwaśny oddech.

– Nie jestem zaprawiona, kotku – powiedziała. – Jestem chora, cholernie chora, rozumiesz – mówiła dobitnie, starannie zaokrąglając słowa.

Chłopak w popelinowym płaszczu dostrzegł, że facet z rogu zniknął w ciemności.

Uśmiechnęła się znów. Zęby miała równe i czyste.

– Ile – jeszcze raz powtórzyła.

Wyglądała jak sowa, która przycupnęła gdzieś wysoko i patrzy.

– Każdy to mówi – powiedziała. – A nikt nie da więcej. – Miała rację. Wszyscy trzymali się taryfy obowiązującej na tej ulicy.

Od strony wielkiego biurowca, czerniejącego na uboczu, zbliżała się grupka ludzi. Pociągnął ją za rękę, usunęli się z kręgu światła. Gdy tamci już przeszli, kobieta pokiwała głową i

odezwała się miękko: – Wstydzisz się. – Wyjęła z kieszeni szklaną lufkę z osadzonym w niej niedopałkiem. Zapaliła, osłaniając dłońmi ogień. Palce miała chude, czerwone i brudne.

– Będiesz pierwszy... – mruknęła, wypuszczając cienką strużkę dymu przez nos. – Pierwszy klient. Dopiero co wyszłam na ulicę.

Rozweseliła się.

– To będzie pierwszy gol – trąciła go w plecy.

Ulica już się ożywiła. Słysząc było ochryple głosy dziewczyn. Majaczyły ich postacie.

– Znam wszystkie – powiedziała. – I one mnie znają.

Miała na imię Renata. To go zdziwiło.

– Renata – powtarzał bezgłośnie. – Renata...

Stara, pomarszczona dziwka.

Przesunęła dłonią po kołnierzu, podnosząc wylizane królicze futerko.

– Jest tu jedna taka, Włada – odezwała się. – Ona pije jeszcze więcej. Ale tylko ona – podkreśliła z naciskiem. – I z niej jest duża łachudra. Niesolidna.

– Chodźmy – chłopak poruszył się niecierpliwie. – Na co czekać.

Wsunął ręce do kieszeni, postawił kołnierz. Puścił ją przodem. Ktoś krzyknął piskliwie za nimi. Obejrzał się spłoszony.

– To koleżanka – wyjaśniła Renata. – Zawsze chodzimy we dwie. Jedna obstawia, bo są tacy, co nie chcą płacić. Ale ty nie taki, wiem – uśmiechnęła się dobrotliwie.

Dalej na lewo sterczał płot i rozwalona brama. Tan wśród dołów i porośniętych trawą wysypisk szukały miejsca dziewczyny z klientami. Gruzy przybierały w ciemności kształty najdziwaczniejsze. Kawał muru nad bramą wyglądał jak zapraszająca ręka. Z bramy wionął odór odpadków i gnijącego śmiecia. Oczy dziwiły dalekie jasne domy i ulice śródmieścia. Zamajaczył czerwony tramwaj, nierealny jak złuda, możliwa w taki deszczowy, zamazany wieczór.

Renata człapała buciorami. Były zbyt obszerne, pokazywały się pięty. Minęła bramę.

– Przecież to tutaj – zdziwił się chłopak w popelinowym płaszczu.

– Jak chcesz – Renata zatrzymała się. – Ale lepiej wpierw wypić. A potem już bez pieniędzy.

– E tam – wybąkał.

– Bo tak nie mam smaku – powiedziała. Widać jego twarz nie wyrażała zrozumienia, gdyż dodała: – Napijemy się i pójdziemy w gruzy. Ale już nie będziesz płacił. Tylko za wódkę.

Poruszył brwiami, kilka kropelek wody osiadło na powiekach i powoli spływało.

– Tak będzie lepiej – rzekła stanowczo Renata. Ruszyli dalej.

Może ma rację – pomyślał chłopak i szczerzej okręcił się płaszczem. Mokraś na policzkach stawała się nieznośna. Wyciągnął chusteczkę.

– Ładna – powiedziała Renata.

Byli teraz dobrze oświetleni. Ulica kończyła się prostokątnym placykiem nasyconym światłem wielu latarni. Asfalt lśnił jak mokra skóra płaza.

– To jest mała knajpa. – Renata otworzyła drzwi. – Przyjemna.

Weszli do środka. Zapach piwa i wódki jakoś rozdrażnił chłopaka. Bufetowa zagapiła się na niego. Był niebrzydki. Potem przeniosła spojrzenie na Renatę. Uśmiechnęła się złośliwie. Tłusta. W dużym dekolcie rysowały się białe piersi. Chłopak w popelinowym płaszczu zaciął szczęki. Kilku mężczyzn w zawapnionych kombinezonach prawie jednocześnie wychyliło szklanki. Najniższy z nich za-krztusił się.

– Jestem trzeźwy, zupełnie trzeźwy – jęczał siwawy chłop. Inni rechotali. Siwawy jęczał i czkał. Renata rozpięła płaszcz. Rzadki sweterek przygniatał obwisłe piersi. Spódniczka była podarta i zaplamiona. Wytarła z ust szminkę.

– Zawsze wycieram – powiedziała – przed wódką i całowaniem.

Chłopak w popelinowym płaszczu nie patrząc na bufetową zapłacił za ćwiartkę. Pieniądzy starczyło jeszcze na jedną sałatkę śledziową.

Renata ostrożnie ujęła butelkę. Usiedli w kącie, zasłonięci plecami mężczyzny opartego o bar. Renata zapomniała o chłopcu, zapatrzona w błyszczące szkło butelki. Piła wolno, smakując z wprawą. Niewiele jej trzeba – pomyślał chłopak w popelinowym płaszczu. Zauważył szkarłatne rumieńce, które szybko wystąpiły na policzki. Kilka niebieskich żyłek jak deseń zaznaczyło się w tym szkarłacie. Nappełnił szklanki. Chciał, żeby butelka stała się już pusta. Przez oszkloną gablotę z zakąskami dostrzegł oczy bufetowej śledzące ich z rozbawieniem. Głos Renaty, która mówiła dużo i szybko, nie docierał do niego wcale. Poruszył się niespokojnie.

– Chodźmy – mruknął.

– Ja piję powolutku – powiedziała Renata. Poglądziła butelkę. – A tam w gruzach... robię wszystko szybko. Szybko! – podniosła głos. – Rozumiesz!

– Pij – warknął chłopak w popelinowym płaszczu. – Pij szybciej.

Mężczyzna oparty o bar poruszał monotonicznie głową okoloną nikłymi jak puch kaczącia włosami. Nagle zwił bezwładnie i dłonią strącił z szynkwasu szklankę. Rozprysła się z brzękiem.

– Uchłął się – mruknęła bufetowa.

Renata postukiwała palcem w butelkę.

– Puściutka – mówiła śpiewnie – puściutka.

Jej oczy stały się szkliste, z tańczącymi w źrenicach ognikami.

– Chcesz iść w gruzy? – odezwała się. – W gruzy!

Patrzył na nią z niepokojem.

– Co ci z tego przyjdzie? – ciągnęła Renata. – Powiedz, co? Taki ładny. Przystojniak! – śmiała się kurcząc twarz. – Przecież my już mamy tylko ramki! – krztusiła się coraz głośniejszym śmiechem. – Tylko ramki!

Obejrzał się, ale w tym gwarze nikt nic nie usłyszał.

– Lepiej ręką – bełkotała. – Naprawdę lepiej.

Zaklął pod nosem.

– Pij szybciej albo... – poczerwieniał.

Renata zacisnęła palce na bibułce. Zgniotła ją tak, jak dławi się coś obdarzonego życiem.

– Szybkiś – powiedziała kpiąco i znów zapatrzyła się w butelkę.

Wstał gwałtownie.

– Chodźmy – rzekł stanowczo. – Dość tego.

Ktoś trącił go w ramię. Bezzębna starucha uśmiechnęła się przymilnie.

– Nic jej nie wierz – powiedziała. – Nic nie wierz Renacie. Wykiwa cię, synku.

Nieustannie mrużyła czerwone, wypętlone oko; drugie zdawało się martwe, ściągnęła ze stolika Mocne. Coś jeszcze mówiła.

– Chodźmy – powtórzył spoglądając na Renatę.

Z trudem przecisnęli się przez kłębowisko pijanych. W drzwiach chłopak w popelinowym płaszczu z rozkoszą wciągnął wilgotne powietrze. Orzeźwiło go nieco. Renata zmarszczyła czoło i chwyciła go za rękę. Wzdrygnął się. Jej dłoń była mokra i zimna.

– Tam – Renata wskazała gdzieś w ciemność – tam jest druga knajpa. Też tania i cicha – w jej głosie brzmiała prośba, a nawet błaganie. Niezręcznie próbowała go musnąć wargami w policzek. Odepchnął ją. Mężczyzna przechodzący przez jezdnię zaśmiał się dźwięcznie. Z bramy płynęła smuga światła, w której widać było dolną część jego twarzy, z opadającymi wąsami. Renata szła posłusznie, zataczając się z lekka.

Chłopak w popelinowym płaszczu pomyślał: Chciała wykiwać. Na pewno chciała wykiwać.

Jej obszerne buty człapały denerwująco.

Zniknęli w czarnym wnętrzu bramy, z której cuchnęło gnijącymi odpadkami i śmieciem. Daleko migotało jasno oświetlone śródmieście.

To wszystko trwało około dziesięciu minut. Chłopak w popelinowym płaszczu wyszedł pierwszy. Poprawił szalik, chusteczką otarł twarz i westchnął. Renata pociągała hałaśliwie nosem. Zatrzymali się przed tablicą z ogłoszeniami.

– I co ci to dało – burczała obrażonym głosem Renata. Śmiech wstrząsał jej małą postacią.  
– I tak dałam ci na odczepnego – powiedziała. – A mogłam lepiej. Nie dałam. Popatrzyła na chłopaka.

– Tu zaraz jest druga knajpa – powiedziała jakby do siebie. – Tania i cicha. – Coś jeszcze szeptała.

Lecz chłopak w popelinowym płaszczu nic już nie słyszał.

Oddalał się wielkimi krokami.

## Ulica Nowogrodzka

Było ciemno i cicho. Po jednej stronie ceglasty mur starego szpitala. Z drugiej strony tyły solidnych przedwojennych kamienic. Latarni mało i rzucały nikłe światło. Z niedaleka docierał wieczorny hałas miasta. Przytłumiony i odległy, choć z tak bliska przecież.

Między chodnikami zachował się bruk. Na bruku nie było już szyn. Kiedyś przejeżdżała tędy niebiesko-żółta kolejka EKD.

Szedłem samotny i tylko moje kroki uderzały o bruk jezdni. Stukot kroków budził dawny zgiełk. Dawniej była to przecież ulica bujnego życia. Ulica mojej młodości. Kolejka zatrzymywała się przy placu Zawiszy i zaczynała się ta ulica. Zaczynał się też szpitalny mur. Naprzeciw zabudowania „Expressu Wieczornego”, i pamiętam jeszcze ostatnich gazeciarzy, którzy w pośpiechu odbierali stąd pachnące farbą drukarską pliki gazet. Wśród nich Fredek ze szklanym okiem, przedwojenny majdaniarz. Starego budynku już nie ma. Na jego miejscu nowoczesny, oszklony.

Następny przystanek był przy skwerze Starynkiewicza. Skwer opustoszały. Na ławkach ledwie kilka przytulonych do siebie postaci. Skwer dawniej nazywał się Małpim Gajem i tutaj w krzakach ci ze śródmieścia pili wódkę i obmacywali dziewczyny. W krzakach bywała milicja i wypatrzywszy nieobyczajną scenę oświetlała silnymi latarkami.

Na tym skwerze zostałem schwytyany na gorącym uczynku. Z kobietą. Ona jęczała się zaczęła z przerażenia. Była mężatką.

– No tak... – powtarzali milicjanci. – Powiadomimy męża i będzie tararam...

Minąłem skwer i dalej szedłem pustą, ciemną ulicą Nowogrodzką. Drzewa przy murze zazieleniły się bujnie i pachniało delikatnie. To wiosna. Mur szpitalnego ogrodzenia przypominał mi przyjaciela i duchowego wodza z tamtych czasów, Maćka. W Trampolinie nazwałem go Zenonem Mordą. Był śmiały, okrutny i sławny na śródmieściu. Śródmieście, ten rdzeń naszego świata, dla nas mieściło się w prostokącie Marszałkowskiej, Alej Jerozolimskich, Poznańskiej i Nowogrodzkiej właśnie.

Odwiedzałem Maćka w tym szpitalu. Postrzelony w udo, leżał na białym łóżku w aureoli bohatera. Dla nas, małoletnich, w aureoli bohatera z awanturniczych książek, które pochłanialiśmy nocami, osłaniając lampkę kołdrą. Wykradałem smakołyki z kuchennego schowka matki i pędziłem do przystanku kolejki EKD. Jechałem ulicą Nowogrodzką i wysiadałem przy wejściu do szpitala. Wbiegałem na oddział chirurgiczny i tam w pięcioosobowej sali leżał mój idol, wodnistooki, o trójkątnej twarzy, chudy jak szczapa Maciek, Zenon Morda z Trampoliny. Czasem odrzucał kołdrę i pokazywał różowiejący od krwi bandaż, który opasywał udo wysoko nad kolanem. Później pojawiła się tam ropa. Jeszcze później goić się zaczęło i spacerował w pasiastym szlafroku po dziedzińcu szpitalnym.

Naprzeciwko szpitalnego muru rozpoznałem kamienicę, do której wchodziłem od Alej Jerozolimskich. Ciemne okna łazienek i służbówek. Na małym podwórku trzepak i święta figura. Wszystko to obnażone od tej tylnej strony. Była to kamienica z czasów moich najdawniejszych wypadów do śródmieścia. Tam mieszkała niska dziewczyna o pełnych kształtach, śniada i ciemnooka. Chodziłem z nią. Tak się mówiło. Chodziliśmy ze sobą. Podchodziłem pod bramę tej secesyjnej kamienicy, ozdobionej mitologicznymi figurami na frontonie, i czekałem. Dziewczyna sprawiała wrażenie dojrzałej i nudziły ją książki, które jej opowiadałem. Wtedy jeszcze byłem „bezradny”. Patrzyłem ukradkiem na jej bujne ciało i zaraz odwracałem



głowę. Teraz spoglądam na ciemną ścianę tej wielkiej kamienicy z początku wieku. Które okno było jej oknem? Co się z nią stało?

Posuwając się dalej, doszedłem do warownego gmachu Wojskowego Instytutu Kartografii, gdzie żołnierz w białym hełmie przechadzał się miarowo przy pasiastej, czerwono-białej budce. Leżały tam stopy pierwszomajowych płócien, napiętych na ramach. I dalej już nie było nic. Nowe, wysokie domy. Podobne do siebie, takie same jak wszędzie, nie budziły żadnych skojarzeń. Chociaż niezupełnie.

Na powierzchnię pamięci wynurzył się jeden fakt. Z któregoś z tych nowych domów wyskoczył z szóstego piętra człowiek z moich czasów, czasów młodości. Dwa lata temu tym samobójczym skokiem zamknął jak klamrą bujną, niepokojącą przeszłość ulicy Nowogrodzkiej. A dalej już nie było nic. Ulicę rozcinała taśma szybkiej trasy samochodowej, piętrowa estakada na betonowych słupach, dołem dudniły tramwaje i w pobliżu sterczał ogromny maszyniarz biurowca budowanego przez Szwedów. Migotały na jego szczycie czerwone światła i niby filmowy potwór Godzilla przychyłał się dźwig. Nie było przejścia. Ulica została rozcięta i jedna część, ta przyszpitalna, nie łączyła się z drugą. A tam przecież, za samochodową arterią, był dawniej najważniejszy odcinek tej ulicy. Tam znajdowały się tyły hotelu „Polonia”, ostatni przystanek mojej kolejki EKD, bar o tej samej nazwie, „Przystanek”. I gruzy, dużo gruzów, gdzie snuły się widma, stare prostytutki, gruzinki. O tym wspaniale opowiada proza Mirona Białoszewskiego. Zresztą Miron Białoszewski dawniej mieszkał też blisko Nowogrodzkiej, na Poznańskiej.

Archeologia już dzisiaj. O tym próbowałem napisać w *Księżu Nocy*. Tam na końcu ulicy Nowogrodzkiej była niegdyś kipiela. Poczta Główna zwana Telekomem, knajpy, gruzy, meliny w resztkach starych kamienic. Zbyszek Młotek, złodziejska ferajna z nieistniejącego już baru „Metro”...

Stałem więc przy wejściu do szpitala i dalej nie było drogi. W portierce paliło się światło. Stary mężczyzna w granatowym uniformie dłubał w nosie. Nie ma ulicy Nowogrodzkiej. Pozostały tylko wspomnienia. Tak zanurzyć się w dawny zgiełk, mieć dawną twarz, oczy, duszę...

## Z wysokości

*Stefanowi Wiśniewskiemu*

Tak patrzę na tę fotografię, stoimy we trzech, Maniek Kura, Zezol i ja, wierzyć mi się nie chce, w wesołym miasteczku lajkarz nas pstryknął, stoimy we trzech, dwurzędowe marynary, spodnie szerokie, taka wtedy moda, oprychówę wypchaną gazetami na czoło nacisnął sobie Maniek Kura, Zezol tak się rozkraczył, młode chłopaki byliśmy, lajkarz cwaniaczek chciał jeszcze z tyłu dekorację podstawić, to znaczy palmy i Araba na wielbłądzie, nie trzeba, obciął go Zezol, to pasuje dla wsiowych, sami sobie starczymy, dobrze powiedział, sami sobie starczymy, stara to fotografia, żółta i porysowana, ile to już lat, takie były początki, nasłuchiwałem się wtedy od stryjka, co w swoim czasie największym był kozakiem na Budach, Arle jego przezywali, bo „r” w wymowie słabo mu wychodziło, jak to stryjek miał zatarg z Krokami, czterech braci Kroków było na Woli i stryjek sam jeden do nich wyszedł, tłukli się chyba z godzinę, krwi się polało jak w rzeźni, hop, siup, śmiał się stryjek, już po Krokach, opowiadał, jak dwóch policjantów zderzył łbami i oni padli, ucieczki miał różne, raz z więzienia za cara jeszcze, albo plecy pokazywał, całe w bliznach, tak go znów ci fachowcy z laskami od papy Tasiemki urządzili, stryjek wylapywał ich pojedynczo i zdrowie odbierał, później Tasiemka osobiście przychodził przeproszać, u jednego Żyda na Kercelaku miał stryjek roczny kredyt na gorzałkę, u nas na Budach dużo było kozaków, całe familie, a ilu po drodze poszło do piachu, Jureczka Grabarka sam jeszcze pamiętam, jeden z lepszych na Budach, pięknie walczył; na zabawach w zajezdni tramwajowej występował, zaczynał bić i orkiestra przestawała grać, cała publika się patrzyła, tramwaj ostatni na pętłę go przywiózł, nóż miał w plecach i wyglądał, jakby spał, nie dali mu się rozwinąć, dziewiętnaście liczył sobie lat, tak jak my na tej starej fotografii, dopadli go w locie i szlus, wtedy na samym początku bokserów lubiliśmy tłuc, tych wszystkich mocnych, co to w Hali Gwardii występowali, o wagę wcale nam się nie rozchodziło, od papierowej do ciężkiej mogli być, w gruzach na Żytnej nasz ring, chodzili ci bokserzy w sławie i miasto o nich gadało, my zaczynaliśmy z nimi tak: no co, panowie mistrzowie, spróbujemy się?, uczyliśmy ich boks uliczny od ringowego odróżniać, jeden taki bokser, mistrz swojej wagi na całe województwo, śmieje się i mówi: pryskaj, pętaku, bo cię rozniosę!, Maniek Kura z wyglądu nieporutny, a złał tego mistrza jak kota, od słowa do słowa z bokserami się zaczynało, był na nich sposób, łeb i brzuch szczelnie osłaniać, jak trafi, to przepadłeś, przychylić się i za nogi go zniecka, tracił równowagę, opuszczał gardę, łapałeś go za kudły i kolanem od spodu, myśliwi na bokserów, tak nas stryjek mój Arle przezywał, przyjemnie było na mecz jakiś się wybrać, tłum, gong, oklaski, sędzia wynik ogłasza, patrzysz: zwycięża taki, co go ulicznym sposobem znokautowałeś w gruzach na Żytnej, my czasem też mieliśmy niepowodzenia, raz Kura Maniek odsłonił się i trafił go bokser, poprawił i Kura w dziurę do piwnicy wpadł, nogę złamał, gips trzy miesiące nosił, tylko jak dopadł tego boksera w knajpie, to dopiero zrobił się ciąg dalszy, lachą sobie pomógł, bo lachą z powodu tej nogi się podpierał, gablotę z zakąskami rozbił, ten bokser cały w majonezie, tak się Kura Maniek odegrał, lata całe go nie widziałem, w wodociągach robi i podobno brzucha wielkiego dostał, a Zezol od wódki zupełnie zgłupiał, tam koło rzeźni na Krowiej ulicy można go spotkać, brzoźówkę i salicyl pije, dogadać się z nim trudno, wypije więcej i płacze, z początku to wszystko wyglądało zupełnie inaczej, ja, mówił Zezol, dopiero popajacuję, każdy z nas tak myślał, ile się nasłuchaliśmy od dawnych kozaków, napatrzyliśmy się też niemało, stryjek mój Arle do siedemdziesiątki jako mocny się trzymał, młodym wcale nie ustępował, na rękę się ze mną łapał, ani ja jego, ani on mnie, miał tę łapę jak cęgi jakieś, dla mnie wiek się nie liczy, mówił stryjek, aby para w środku była, czekaj, zgredzie, jak ja wystąpię, do do-

piero gały wytrzeszczysz, tak przyszłość widziałem, przeleciały te lata i nie mogę patrzeć na tę fotografię, gdzie stoimy we trzech, Maniek Kura, Zezol i ja, litr gorzały to mnie kosztuje, po gorzale jeszcze gorzej, całkiem w tamtych latach się gubię, czego szukałem, bo ja wiem, każdy czegoś szukał, co mi z tego szukania przyszło, długo szukałem, zawzięty byłem i nieraz po głowie dostałem, jedni mnie chcieli złamać, innych ja łamałem, nieraz tłukli i pytali: starczy?, przymało, z uśmiechem odpowiadałem, uśmiech dotąd pozostał, tylko za tym uśmiechem mało co pewnie się kołacze, nie było lepszego ode mnie współnika, coś z małą szansą, coś z ryzykiem dużym, od razu oczy mi się jak głodnemu wilkowi świeciły i już bym szedł, nie taki też byłem, żebym potem żałował, nie żałuję, podskakiwałem, podskakiwałem, niczego nie przeskoczyłem, ale nie żałuję, tylko gadać o tym nie lubię, czasem słyszę, jak różni tacy wspominają, przechwalają się, kim kiedyś nie byli, czego nie robili, śmiać mi się chce, każdy chciał kimś być, no i co z tego wyszło, dobrze wiem, jak mało jest do powiedzenia, żadnego światelka w tamtych latach nie widzę, szare jakieś, przydeptane te moje awantury, skoki, wyroki, ilu robiło tak samo, ani się obejrzałem, czterdziestka mi stuknęła, włosy wypadły, łysiną świecę, zęby mam własne, nigdy nie bolały i dwóch tylko brakuje, zęby zostały z tamtej fotografii, co to stoimy we trzech, Maniek Kura, Zezol i ja, młode chłopaki na rozbiegu, przed wielkim skokiem, można powiedzieć, tyle lat przeskakałem i nic nie mam do powiedzenia, musi jednak człowiek z tego, co minęło, coś wywlec na światło, odkurzyć i obstukać, dobrze to zostało zrobione, nadaje się do pokazania, musi coś takiego być, przelatuję pamięcią po tamtych latach i nic nie widzę, rozłazi się wszystko, trociny się sypią, patrzę wstecz w pustkę, kiedyś zdawało mi się, że będę wygarniał z nich tak jak z worka bez dna, co tu wygarniać, moja matka tak mówi: najłatwiej zmarnuje się taki, co za wysoko mierzył i Bóg wie co sobie wyobrażał, moja matka jeszcze mówi: trzeba przez życie iść z szacunkiem i pokorą, szacunek? dla kogo, pytam, pokora? rozmaite zabawy z ludźmi robiliśmy, rozplaszczal się w końcu taki jeden z drugim, śmieć wprost na podłodze i do wszystkiego był gotów, na czworakach musieli chodzić, służyć, czyli na dwóch łapach stawać, nie mówić, ale czekać, i jeszcze gorzej, niezłe zabawy – mówi się: człowiek, a ile paskudztwa w nim, mało ja mam szacunku dla człowieka, szacunek największy to ja mam dla swojego ojca, nie dlatego że ojciec i tak dalej, dawniej mało co o ojcu myślałem, teraz coraz więcej, jak my we trzech, Maniek Kura, Zezol i ja, bokserów nokautowaliśmy, tak mnie stary trafił zniecka, wtedy wyszedłem z kolejnej odsiadki i do kochanicy zachodzę, miałem z nią swoje rozliczenia, przez trzy lata wyroku ani razu na widzeniu nie była i paczki nie przysłała, choć pieniądze jej zostawiłem, znalazła sobie innego i o mnie zapomniała, rozliczyłem się krótko, w pysk jej naplułem, ten mój zmiennik też oberwał, to co miałem u niej na przechowaniu, zabrałem, kupiec już czekał: i pieniądz z ręki do ręki, osiemdziesiąt tysięcy, gdzie tu iść, do starych pójdę, dość tych dziwek sprzedajnych i melin byle jakich, do domku naszego na Budach wróciłem, już go nie ma, zburzyli, kiedy zaczęli bloki tam stawiać, matka kolację szykuje, stary flaszkę postawił, ogień w piecu trzeszczy, mróz i śnieg za oknem, dobrze się w naszym domu na Budach poczułem, patrz, matka, stary mówi, wyszumiał się synek i mądrości nabrał, znaczy rzucasz to całe barachło, mnie się pyta, rzucam, odpowiadam, ale goły nie przychodzę, ten gruby plik pięćsetek na stół wykładam, wtedy stary tak na mnie popatrzył i się skrzywił, długo tak patrzył i ciągle się krzywił, aż te pięćsetki zagarnął, drzwiczki od pieca otwiera i buch to wszystko: całe osiemdziesiąt tysięcy wrzucił, zbaraniałem i w ogień patrzę, płomień ten gruby plik papierów ogarnął, nic już nie widać, tylko ogień, w porządku, stary powiedział, gorzałę rozlał, przepiliśmy do siebie, a moja matka jeszcze długo w ten ogień się gapiła i: Boże, Boże, powtarzała, stary drzwiczki od pieca zatrzasnął, co rok w Zaduszki na jego grób chodzę i świeczki zapalam, świeczki stryjek Arle własnoręcznie robi, świeczki się palą i tę forszę, co do pieca poszła, zawsze widzę, stryjkowi już ze sklerozy we łbie się pomieszało, tak nad grobem starego: baranie, baranie, powtarza, jakąś pretensję ma do niego, stary na kolei robił i tyle forsy nigdy w życiu nie miał naraz, jak lekko to do pieca wpakował, ani mu ręka nie drgnęła,

kozacki numer, po latach coraz bardziej mi się podoba, tego numeru niczym nie przebiłem i chyba nie przebiję, pary ma w sobie człowiek coraz mniej, wypuściłem tej pary przez tamte lata, co tak na ślepo się miotalem to tu, to tam, może trochę mi zostało, zapas jakiś, Maniek Kura i Zezol może już wcale pary w sobie nie mają, kto to wie, głupie lata, sam siebie traktowałem, ale nie żałuję, jakbym miał od początku zaczynać, tak samo by poleciało, na Zamek to bym chyba jeszcze wrócił, po starego numerze z moją forsą zawsze do tego dochodzę, Zamek, lubię sobie powtarzać, jakbym modlitwę jakąś klepał, pajądę mi przyładowali, pięć lat wyroku, czas dłużył się i dłużył, głupio wpadłem, nie mogłem sobie darować, różne myśli po głowie się pętały, zacząłem się rozklejać, w połowie wyroku na Zamek mnie przenieśli, starożytna to była budowla, książąt czy hrabiów siedziba, na górze postawiony, z jednej strony przepaść, z drugiej rzeka i las, tam zacząłem siedzieć, z początku jak wszędzie, kraty, apele, kocioł z zarcieciem na oddział przynoszą, trzej ze mną pod celą siedzieli, ksiądz, taki jeden, co władzę chciał obalać, Motyczka go przezywali, trzeci był włamywacz, znałem go z wolności, czwartego jeszcze nam dorzucili, takiego z dożywotką, banderowca, co to Polakom łby jak kurom na pieńku obcinał, wszyscy pod celą jednakowi, takie prawo, ale tego rzeźnika to nie mogłem znieść, katowałem go trochę, twardy, nawet nie jęknął, jeszcze bardziej mnie to drażniło, z tego rozdrażnienia pewnego wieczoru na kracie go powiesiłem do góry nogami i czekam, aż skomleć zacznie, wpadli klawiszę i do karca mnie wywlekli, wymordowałem się w karcu, wilgoć, i szczury biegały, podziemia pod tym Zamkiem podobno ciągną się kilometrami, dwie noce musiałem opędzać się od szczurów, skończył się czas karca i do izolátky zostałem przeniesiony, od razu lepiej się poczułem, światło z okna, oddycham świeżym powietrzem i po celi spaceruję, napisy na ścianach czytam, od stu lat ludzie tu siedzieli, a na drzwiach grubych, dębowych odkryłem takie słowa głęboko wyrezane: Bogu i Ojczyźnie wszystkie swe myśli gorące posyłam, ten co napisał, siedział w 1890 roku, więzień z dawnych czasów, kiedy jeszcze mego ojca i stryjka na świecie nie było, tak do wieczornego apelu przepacerowałem, to najważniejsze nastąpiło o świecie, zawsze wcześniej wstaję, tak i tym razem wstałem, podchodzę do okienka, okienko wychodziło na urwisko skaliste i całą okolicę pod sobą miałem, Dolina w siwej, gęstej mgłę, niebo różowieć zaczyna, widno już, tylko cicho, żadnych ptaków, nic, ta mgła tak wisi nad Doliną, patrzę i myślę sobie, co pod tą mgłą może być, ta mgła w rozmaite kształty się układała, słońce wschodzić zaczęło, czerwone na niebo wylazło, mgła opadała powoli, aż rozplynęła się zupełnie i miasteczko tam w dole się odsłoniło, domki jak zabawki, ludzi i wozy nawet widać, a na stoku góry przy samym więziennym murze był warzywniak i do tego warzywnika, między grządki żony klawiszów wchodzi, rozczochrane, ziewają, w szlafrokach albo w samych koszulach tylko, gorące to było lato, takie prosto ze snu baby zady swoje nad zagonami wypinają, napatrzyłem się na te zady i dopiero na naszym izolacyjnym oddziale zaczął się apel, cele otwierali, inspekcyjny raport odbierał i kostki z ubraniami wnosili, tak co rano o świecie w oknie wystawałem, po miesiącu przenieśli mnie stamtąd pod dawną celę, już tam nie mogłem siedzieć, znów za nogi tego ukraińskiego bandziora na kracie powiesiłem, tym sposobem do karca się dostałem, z karca na izolatkę, taka była kolejność, nic tym draniom nie mówiłem, że to mi pasuje właśnie, tylko krzyczałem, jak to zawsze krzyczą starzy recydywiści: za co? za co ludzi tak męczycie?!, a ledwie się tam znalazłem, świtu niecierpliwie wyczekiwałem, kiedy niebo tak czerwienieje i wszystko jak we śnie wygląda, cisza, nawet ptaki nie śpiewają, krat się czepiałem i tam na dół patrzyłem, urwisko pode mną, tak się czułem jak orzeł jaki czy co, może to z tego się wzięło, że za bardzo stryjka Arlego się nasłuchiwałem i nic mi się potem nie sprawdziło, może dlatego w tej mgłę, co o świecie nakrywała Dolinę, różne obrazy mi się przedstawiały, aż nagle opadała ta mgła i nic, po dawnemu. Dolina wyglądała, kościół, miasteczko, jarmark czasem wtedy karuzelę na placu stawiali, a bliżej, w warzywna ku przy więziennym murze żony klawiszów swoje dupy wypinały, co rano tak wstawałem i z wysokości patrzyłem, jak ta mgła powoli opada...